NOWA TWARZ DONALDA TUSKA

SZKOŁA CZEKA NA PSYCHOLOGA

ULMOWIE: KIM BYLI NAPRAWDĘ

COŚ ZOSTANIE PO LUDZKOŚCI

Kraków 6 – 12 września 2023 nr 37 (3870) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

ANTONI DUDEK:

Wybory nie będą uczciwe

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

STRONY SPECJALNE
POWSTANIE STYCZNIOWE. 160 LAT PAMIĘCI

REKLAMA

PIŁKA NOŻNA TO **PIĘKNA GRA**.
PIŁKA NOŻNA TO **WSTRĘTNA GRA**.

NOWA KSIĄŻKA
MICHAŁA OKOŃSKIEGO

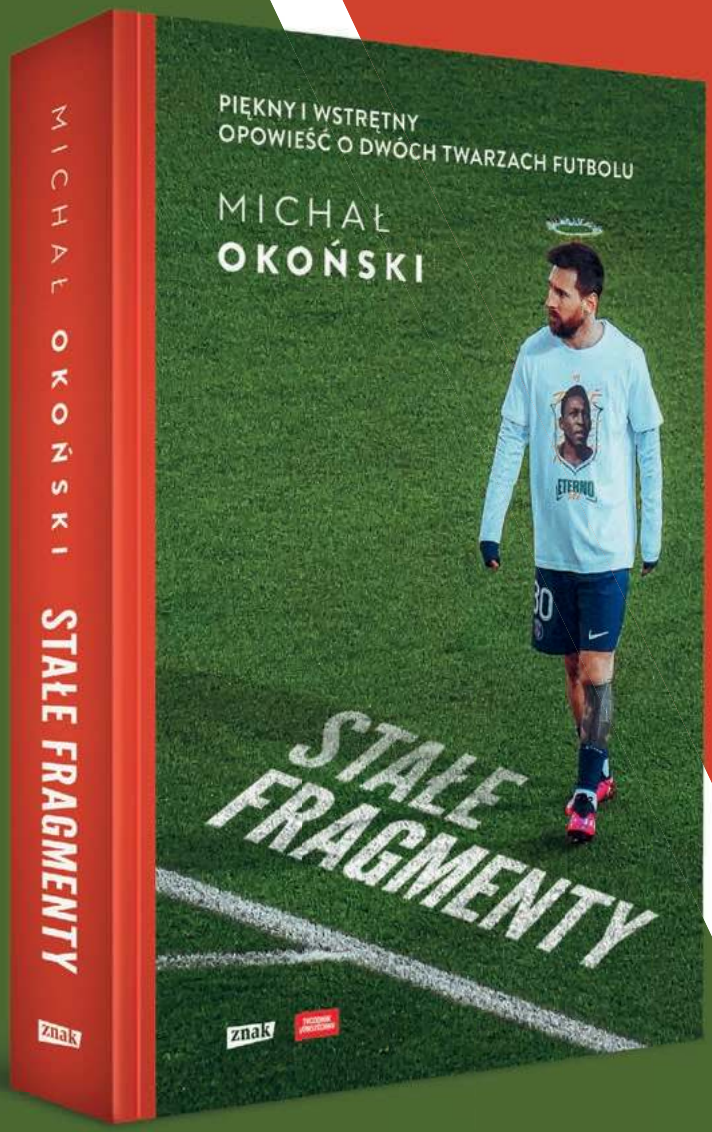

Stałe fragmenty to niezwykły portret współczesnego futbolu. Jego piękna i brzydoty. Rozczarowań i zachwytów. Michał Okoński opowiada tak, że kibice zakochują się w piłce jeszcze bardziej, a ci, którzy trzymali się od niej na dystans, czują zaproszenie do nowej przygody.

znak TYGODNIK POWSZECHNY

©Grażyna Makara

KS. ADAM

Boniecki: *Manipulacje*

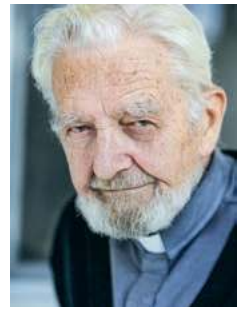

Dwa teksty – choć jeden dotyczy spraw dawnych, drugi całkiem bliskich, to w obu chodzi w gruncie rzeczy o sprawy bardzo podobne: historyczną prawdę. Pierwszy, Macieja Müllera „Biskup zdrajca i król przeklęty", dotyczy przypadku Bolesława Szczodrego i biskupa Stanisława. Drugi, autorstwa Zuzanny Radzik – bliskiej nam w czasie rodziny Ulmów. Trzeba, chcąc nie chcąc, pogodzić się z zasadniczymi trudnościami w rozwikłaniu sprawy pierwszej. Druga, choć bliższa nam i doskonale udokumentowana, to bardzo łatwo – o dziwo – może wzbogacić zbiór legend.

Trudno mówić o historycznych manipulacjach *sensu stricto* w sprawie Bolesława Szczodrego i zabicia biskupa Stanisława. Artykuł Macieja Müllera każe nam przynajmniej wstrzymać kategoryczne sądy. Historia beatyfikowanej właśnie rodziny Ulmów wydaje się prostsza w interpretacji, choć i tu można spodziewać się specyficznych manipulacji. Trudność dotycząca króla Bolesława wynika z braku dostatecznych źródeł. Te zachowane bardziej niż o władcy świadczą o ich autorach i politycznych celach, które chcieli osiągnąć. Ale już kardynał Wojtyła, który do celebracji pamięci biskupa Stanisława przywiązywał wielką wagę, nigdy się źle o królu nie wyraził. Przyjąwszy taką wersję wydarzeń, jaką przedstawia Maciej Müller, można uznać, że użyto zmodyfikowanej *ex post* opowieści o śmierci krakowskiego biskupa do realizowania wizji zjednoczenia dzielnic w jedno polskie państwo. Tak czy inaczej, państwo takie powstało. Jego późniejsze dzieje to inna sprawa.

Inaczej jest ze sprawą Ulmów. Myślę, że wiele osób patrzyło na historię, którą naszej pamięci przywraca obecna beatyfikacja, w oderwaniu od kontekstu, w mocnych słowach przypomnianego przez Zuzannę Radzik. O czynie rodziny Ulmów wiedzieliśmy wszyscy. Ale co z wiedzą o tym, co wtedy działo się w Markowej? Czy o 24 Żydach zamordowanych przez tych, którzy ich wcześniej ukrywali (nie wszyscy, którzy ukrywali, potem mordowali), wiedzieliśmy? Nie. Czy o ukrywanych, którzy przeżyli wojnę, wiedzieliśmy? Nie. Czy znaliśmy nazwiska, które Radzik w swoim tekście przypomina? Niestety, także nie.

Wiedząc o czynie Ulmów, ukrywaniu Żydów, wiedząc o tym, jakie to miało konsekwencje, zatrzymaliśmy się na tym jednym przypadku. Nikt nam przecież nie sugerował brania innych w nawias, przemilczania ich, z uzasadnieniem, że „dziś zajmujemy się tymi, ale przecież pamiętamy innych". Nie, nie pamiętaliśmy, nawet nie myśleliśmy o nich. Beatyfikacja, ba, nawet czekanie na nią było związane z wymazaniem tła, historycznego kontekstu. Jakbyśmy zapomnieli o koszmarze całej ideologii zbrodniczego antysemityzmu, która potem przyniosła właśnie takie owoce. Uwaga skupiona na beatyfikowanych, w tym momencie uzasadniona i zrozumiała, nie może oznaczać wybiórczości pamięci.

Problem jest jednak szerszy. Nasza (prywatna i poniekąd publiczna) hagiografia zawęża uwagę. Historia indywidualna jest ważna, w jakimś sensie najważniejsza, jednak nie może przesłonić nam szerszej perspektywy w postrzeganiu wydarzeń. W zabójstwie biskupa Stanisława w roku 1079 znalazł finał jakiś dramat. Wyjaśnienie go do dziś jest trudne, czy wręcz niemożliwe. Dramat rodziny Ulmów, bliski nam, korzeniami sięga daleko i nie przybliżymy się do jego zrozumienia bez analizy całej doktryny antysemityzmu. Ulmowie stanęli wobec niego sami. Wiedzieli, czym ryzykują. My dziś, patrząc na to, co się działo i co się stało, nie możemy na tym poprzestać. Musimy iść dalej, do pierwszej przyczyny tego zła. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Wspieraj dojrzałe, wysokiej jakości dziennikarstwo, zostając mecenasem „Tygodnika Powszechnego"

Szczegóły na stronie powszech.net/mecenat

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Wszystkie „ale” Donalda Tuska
JACEK GĄDEK
Nie nadstawiać drugiego policzka, ale publicznie oddać, mieć determinację, spryt i sięgać po fortele. Tak lider opozycji szuka 10 milionów głosów, by pokonać PiS.

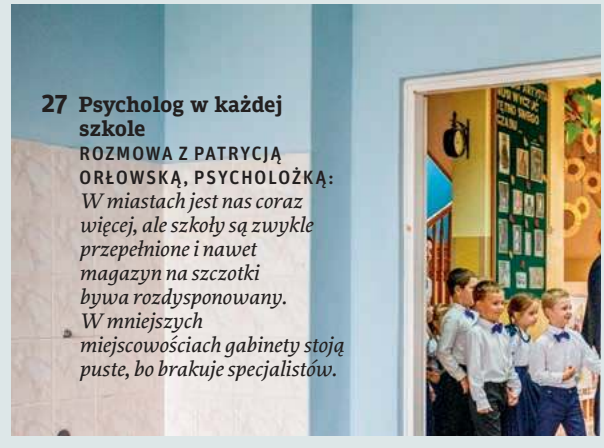

27 Psycholog w każdej szkole
ROZMOWA Z PATRYCJĄ ORŁOWSKĄ, PSYCHOLOŻKĄ:
W miastach jest nas coraz więcej, ale szkoły są zwykle przepełnione i nawet magazyn na szczotki bywa rozdysponowany. W mniejszych miejscowościach gabinety stoją puste, bo brakuje specjalistów.

32 Ulmowie: życie po życiu
ZUZANNA RADZIK
Rozstrzelani za pomoc Żydom nowi błogosławieni będą używani jako tarcza w dyskusji o winach Polaków podczas okupacji. Jak ochronić ich świętość?

64 Gdzie wbić gwóźdź
ŁUKASZ LAMŻA
Geolodzy spierają się dziś, czy żyjemy w nowej epoce – antropocenie. I jak to właściwie udowodnić.

70 Kosmos i granica
ROZMOWA Z JULIĄ FIEDORCZUK, PISARKĄ:
Patrzę na życia innych istot, które będą się toczyć i ewoluować nawet wtedy, gdy my już stąd odejdziemy. Nie wszystko jest o nas i dla nas – czy to nie wspaniałe?

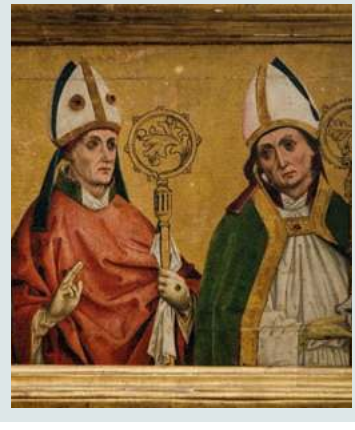

84 Tablica z Yorku
MAGDALENA ŁANUSZKA
Złodziej zabrał jeden nieduży obraz, w sam raz, by go niepostrzeżenie schować. Przez 44 lata nie udało się go odnaleźć. Aż do teraz.

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER // WOJTEK JARGIŁO / PAP // THILINA KALUTHOTAGE / AFP / EAST NEWS // ART LOSS REGISTER / MATERIAŁY PRASOWE // ALBERT ZAWADA / MATERIAŁY PRASOWE WL // ARCHIWUM IPN / ZE ZBIORÓW MATEUSZA SZPYTMY

Szanowni Państwo, Czytelniczki i Czytelnicy

Z uwagi na utrzymujące się od wielu miesięcy bardzo wysokie ceny papieru gazetowego, wysokie koszty usługi druku i nadal wysoką inflację, jesteśmy zmuszeni podnieść cenę egzemplarzową „Tygodnika Powszechnego” do 13 zł. Mamy nadzieję, że przyjmą Państwo tę podwyżkę ze zrozumieniem.
Nie ulega zmianie cena prenumeraty naszego pisma.

Serdecznie zachęcamy Państwa również do wykupienia dostępu do stale aktualizowanego serwisu internetowego TygodnikPowszechny.pl. Pozwoli to Państwu pobierać najnowsze wydanie „Tygodnika” także w formatach PDF, EPUB i MOBI. Szczegóły: TygodnikPowszechny.pl/sklep.

„Tygodnik” jest suwerenny dzięki Wam, Czytelniczkom i Czytelnikom.

Jacek Ślusarczyk
dyrektor wydawnictwa, prezes zarządu

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Co robią w Polsce agenci Kremla
MARCIN ŻYŁA

8-9 Komentarze

10-11 Wydarzenia

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, ABP GRZEGORZ RYŚ, PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Wszystkie „ale" Donalda Tuska
JACEK GĄDEK

24 Bezrobocie: o co jest ten spór
STEFAN SĘKOWSKI: *Wielu Polaków nie może znaleźć zatrudnienia za godne stawki*

27 Psycholog w każdej szkole
ROZMOWA Z PATRYCJĄ ORŁOWSKĄ

■ ■ WIARA

32 Ulmowie: życie po życiu
ZUZANNA RADZIK

36 Kościół mnie boli
JAN RYBICKI *o siostrze Barbarze Radzimińskiej, która chce wziąć odpowiedzialność za wspólnotę katolików*

39 Watykan dolewa oliwy do ognia
MARCIN CHODUŃ: *Są Kościołem tak starożytnym, jak tradycja łacińska. Dlatego nie lubią, gdy Rzym im coś narzuca*

41 Czy papież jest rusofilem
EDWARD AUGUSTYN: *Watykan znów musiał prostować wypowiedzi Franciszka*

■ ■ ŚWIAT

42 To nie jest moja Ameryka
MARTA ZDZIEBORSKA: *Przybywa tych, którzy odwracają się i od Bidena, i od Trumpa*

TEMAT TYGODNIKA

MICHAŁ KOŚĆ / AGENCJA WSCHÓD / REPORTER

12 Polityka przesady
ROZMOWA Z PROF. ANTONIM DUDKIEM, POLITOLOGIEM:
Wybory będą wolne, ale nie będą uczciwe. Wyłonią rząd mniejszościowy. Dwuletni okres chaosu skończy się dopiero ze zmianą prezydenta.

■ DODATKI ■

59 Powstanie styczniowe. 160 lat pamięci

80 Conrad Festival 2023: program

■ FELIETONY ■

30 TOMASZ STAWISZYŃSKI **31** ZUZANNA RADZIK
69 ELIZA KĄCKA
82 OLGA DRENDA **83** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: ANTONI DUDEK
FOTOGRAFIA: MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

46 Polski fantom w Berlinie
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z NIEMIEC: *Spór o pomnik Polskich Ofiar II Wojny Światowej*

48 Lekcje pod bombami
ROZMOWA Z GABRIELLĄ JÓŹWIAK, BRYTYJSKĄ DZIENNIKARKĄ *o uczniach w Ukrainie*

50 Sekrety Chortycy
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z ZAPOROŻA: *Ukraina, wojna i archeologia*

53 Kawa czy herbata?
PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI: *Stało się: więcej Brytyjczyków wybiera małą czarną*

■ ■ HISTORIA

54 Biskup zdrajca i król przeklęty
MACIEJ MÜLLER: *Średniowieczne Czechy, Węgry i Ruś miały świętych władców. My za patrona mamy postać, o której nie wiadomo nic pewnego*

■ ■ NAUKA

64 Gdzie wbić gwóźdź
ŁUKASZ LAMŻA

■ ■ KULTURA

70 Kosmos i granica
ROZMOWA Z JULIĄ FIEDORCZUK

74 Czarny język
PIOTR KOFTA: *O co chodzi w powieści noir*

78 Wybudzanie ze śpiączki
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Limbo" Ivana Sena*

79 W świecie Wojtkiewicza
LEKTOR *o książce „Przebierańcy w nicości" Piotra Pazińskiego*

■ ■ ZMYSŁY

84 Tablica z Yorku
MAGDALENA ŁANUSZKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Papież w Mongolii
Franciszek przypomniał prawdę o wszechobecności Boga, którego można spotkać nawet i bez sakramentów sprawowanych w świątyni | tygodnikpowszechny.pl/franciszekwmongolii

Co dalej z Grupą Wagnera?
Rosja nie chce zamknąć złotego interesu w Afryce. Pytanie, czy nadal znajdzie klientów dla swoich najemników. Słuchaj w podkaście JAGIELSKI STORY | tygodnikpowszechny.pl/podkast

Serwisy specjalne: patrz szerzej
POLSKA SZKOŁA
Uczniowie, nauczyciele i lekcje do odrobienia
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/SZKOLA

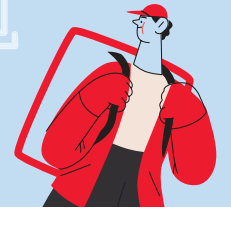

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

CO ROBIĄ W POLSCE AGENCI KREMLA

Rosyjskie służby specjalne coraz bardziej interesują się naszymi liniami kolejowymi, kluczowym elementem systemu transportu broni do Ukrainy.

MARCIN ŻYŁA

Nie jest pewne, czy za awaryjnymi zatrzymaniami pociągów, do których doszło ostatnio w województwach podlaskim, pomorskim i zachodniopomorskim, faktycznie stoją rosyjskie służby. Władze dawkują informacje – wiadomo tylko, że w związku ze sprawą zatrzymano dwie osoby. Oprócz włamań do systemu „Radio-Stop", 24 sierpnia doszło do trzech wykolejeń pociągów; w poprzednich tygodniach zaś w węźle warszawskim kilka składów skierowano na niewłaściwe tory. Co więcej, dziennik „The Washington Post" opisał – a nasze władze potwierdziły – rozbicie grupy młodych szpiegów amatorów, którzy mieli działać m.in. na polskiej kolei.

Czy jest się więc czego obawiać? „Radio-Stop" to wprowadzony po serii tragicznych katastrof kolejowych na przełomie lat 70. i 80. XX w. system bazujący na łączności radiowej; pozwala maszyniście (a w praktyce każdemu operatorowi krótkofalówki, który zna właściwą częstotliwość) wstrzymać na krótko ruch kolejowy w danej okolicy. Zdaniem kolejarzy ta prostota wielokrotnie ocaliła życie pasażerów; jest też jednak słabym punktem systemu – według portalu Rynek Kolejowy w Polsce co roku notuje się średnio 567 włamań do niego. „Radio-Stopem" nie da się kontrolować ruchu pociągów – jest on raczej odpowiednikiem hamulca ręcznego w wagonie, którego może użyć każdy pasażer kolei.

Pułkownik Grzegorz Małecki, były szef Agencji Wywiadu, mówi „Tygodnikowi", że rosyjski wywiad może obecnie testować reakcję polskich służb, a także wypróbowywać nietypowe sposoby działania [patrz rozmowa obok]. Po wydaleniu z Polski w 2022 r. kilkudziesięciu rosyjskich dyplomatów, którym Warszawa zarzucała działalność szpiegowską, Rosja nie może już polegać na swojej rezydenturze – i niemal na pewno szuka nowych metod.

Należałaby do nich wspomniana grupa szpiegów amatorów – w większości młodych uchodźców z Ukrainy – których GRU miało w Polsce zwerbować w sieci społecznościowej Telegram pod pozorem ogłoszeń o pracę. Zrazu chodziło o wywieszanie niewinnych plakatów, potem o dystrybucję prorosyjskiej propagandy. Ostatecznie, według cytowanego przez „The Washington Post" anonimowego funkcjonariusza ABW, rekruci mieli w marcu otrzymywać pole-

POWYŻEJ:
Rozbudowa dworca Warszawa Zachodnia. 2 marca 2023 r.

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

cenia podpaleń, a nawet zabójstwa. Motywacje większości członków grupy były prawdopodobnie finansowe, a nie ideologiczne. Rekrutów podzielono na komórki, z których każda miała własnego oficera prowadzącego; jej członkowie nie wiedzieli o sobie nawzajem do momentu, gdy nie stawało się to konieczne. Spisek miał zostać ostatecznie rozpracowany dzięki sygnałowi od obywatela, który zauważył podejrzaną kamerę na drzewie w pobliżu linii kolejowej; grupę rozbito wiosną, gdy jej członkowie zaczęli otrzymywać polecenia wykolejenia składów z bronią jadących w stronę Ukrainy. Służby aresztowały 12 Ukraińców, jednego Rosjanina i trzech obywateli Białorusi.

Wzmożenie aktywności grupy na początku roku zbiegło się w czasie z ukraińskimi przygotowaniami do kontrofensywy na froncie oraz wzrostem natężenia tranzytu broni przez Polskę. Wzrostem tak dużym, że obciążone wcześniej lotnisko w Rzeszowie-Jasionce stało się drugoplanowanym hubem – duża część zachodniego sprzętu wojskowego trafia już na naszą wschodnią granicę właśnie koleją.

W ciągu ostatnich 16 miesięcy dostarczono do Ukrainy ok. 150 tys. ton broni i amunicji – 80 proc. transportu odbywa się przez Polskę. Patrząc na to z tej perspektywy, można więc powiedzieć, iż dużym sukcesem polskich i zachodnich służb jest to, że dotąd nie doszło (a w każdym razie nie wie o tym opinia publiczna) do żadnego poważnego rosyjskiego sabotażu. „Jest dla mnie zdumiewające, że minęło 18 miesięcy wojny, a oni [Rosjanie] nie byli w stanie zniszczyć ani jednego konwoju czy pociągu. Żaden ruchomy cel nie został trafiony" – mówił „The Washington Post" gen. Ben Hodges, były dowódca armii amerykańskiej w Europie. Poufne analizy wywiadu USA, do których dotarł dziennik już w lutym, ostrzegały, że wobec trudności działania „z otwartą przyłbicą" na terytorium NATO Rosja może uciec się do metod, które będzie trudno przypisać jej służbom.

Nic z tego nie powinno być dla polskiego kontrwywiadu zaskoczeniem. Co więcej, byłoby dziwne, gdyby Kreml nie wypróbowywał w Polsce innych metod, nie budował trwalszych struktur, obliczonych na działanie przez wiele lat. Mimo nowych technologii elementarz szpiegostwa nie zmienia się przecież od dekad. ©℗

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

PUŁKOWNIK GRZEGORZ MAŁECKI BYŁY SZEF AGENCJI WYWIADU:

Rosja nas testuje

MARCIN ŻYŁA: Zatrzymania pociągów, rozbicie grupy szpiegów amatorów werbowanych przez GRU... Co się właściwie dzieje?

GRZEGORZ MAŁECKI: Wygląda na to, że Rosja testuje różne sposoby działania, z których w stosownej chwili wybierze najwłaściwsze. Sprawa amatorskiej grupy dywersyjno-sabotażowo-dezinformacyjnej pokazuje, że nie zawsze musi wykorzystywać profesjonalnych szpiegów. Z kolei użycie systemu „Radio-Stop" do zatrzymania pociągów – jeśli faktycznie stał za tym Kreml – mogło być testem reakcji naszych służb.

Mówi Pan o incydentach z 24 sierpnia i wcześniejszych, w węźle warszawskim.

O ryzyku włamania się do kolejowego systemu informatycznego ostrzegam od lat. Technologie do sterowania ruchem kolejowym powstawały we współpracy z firmami kontrolowanymi przez spółki rosyjskie, i to podejrzewane o związki ze służbami.

W Polsce znajduje się infrastruktura służącą tranzytowi broni do Ukrainy. Żeby jej zagrozić, Rosja potrzebuje profesjonalistów.

To, że wykryto jedną grupę, nie oznacza, że nie ma innych. Jest prawdopodobne, że Rosjanie chcieli, aby polski kontrwywiad zaangażował się w rozpoznawanie grupy amatorów – żeby odwrócić uwagę od innych działań. Jedno jest pewne: wiemy już, że naszymi liniami kolejowymi interesują się służby rosyjskie. Trzeba zabezpieczyć kluczowe miejsca i wyeliminować słabości systemu sterowania ruchem, zwiększyć bezpieczeństwo torów.

Namierzenie grupy szpiegów amatorów było możliwe dzięki przypadkowemu odkryciu przez obywatela kamery na drzewie. Na co powinniśmy zwracać uwagę?

Na zdarzenia, które odbiegają od normy: pojawienie się czegoś, co budzi wątpliwości; nietypowe zachowania ludzi, którzy zjawiają się w naszym otoczeniu z niewiadomych powodów i zadają nietypowe pytania. Zwłaszcza jeśli dzieje się to w pobliżu obiektów militarnych, ale także np. przy ujęciach wody. ©℗

PŁK GRZEGORZ MAŁECKI ***był szefem Agencji Wywiadu w latach 2015-16.***

Duszenie zdrowia

MAŁGORZATA SOLECKA

Szpitale powiatowe działają poniżej progu opłacalności, połowa oddziałów generuje straty, personel jest skrajnie przepracowany, a szans na poprawę nie widać – to wnioski płynące z opublikowanego właśnie raportu Najwyższej Izby Kontroli.

Nic nowego, chciałoby się powiedzieć. Według danych GUS za 2022 r. z publicznych pieniędzy na zdrowie wydaliśmy 4,91 proc. PKB. Średnia UE oscyluje już wokół 8 proc., a kraje Europy Zachodniej wydają na ten cel znacząco powyżej 10 proc. Od lat wiadomo, że brak całościowego pomysłu na funkcjonowanie systemu ochrony zdrowia, włączając w to skrajnie niski poziom finansowania, kończy się na poszczególnych odcinkach mniej lub bardziej spektakularną katastrofą. Następnie jest ona łatana przed decydentów środkami zabranymi tym, którym powodzi się chwilowo lepiej lub nie mają sił krzyczeć o swoim położeniu.

W kampanii wyborczej będzie można usłyszeć zapewnienia o podwojeniu wydatków na zdrowie w ciągu ośmiu lat. „W 2015 roku było to 77 mld zł, teraz jest ponad 180 mld zł" – będzie mówić a to premier, a to minister zdrowia. W odsetku PKB było 4,6 proc., jest – 4,91 proc. Niby więcej, ale...

W cieniu raportu NIK pozostał apel organizacji pracodawców oraz wszystkich związków zawodowych wchodzących w skład Zespołu Trójstronnego ds. Ochrony Zdrowia, dotyczący wydatków na zdrowie. Partnerzy społeczni mają dwa postulaty: 15 mld zł dotacji podmiotowej z budżetu państwa do NFZ oraz przejęcie (z powrotem) przez budżet finansowania zadań na kwotę 7-8 mld zł. Bo od początku 2023 r. przykładowo na ratownictwo medyczne, bezpłatne leki dla niektórych grup (1 września uprawnienia otrzymało kilkanaście milionów osób), szczepienia – czyli cały pakiet wydatków, za które płacił do końca 2022 r. minister zdrowia – wykłada pieniądze Fundusz. Pracodawcy i związkowcy ostrzegają, że bez tych dodatkowych 22-23 mld zł ochrona zdrowia zacznie się dusić. Co oznacza zawieszanie i zamykanie kolejnych oddziałów w szpitalach powiatowych, rosnące kolejki do lekarzy specjalistów, problemy z dostępnością badań... Stan przedzawałowy, do którego zdążyliśmy się przyzwyczaić, przejdzie w stan ostry. ©

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

Niedofinansowanie ochrony zdrowia odbija się szczególnie na szpitalach powiatowych.

MATERIAŁY PRASOWE PREZYDENT.PL

PROF. PIOTR SZUKALSKI, DEMOGRAF:

Demografia w kampanii? O naszej przyszłości zdecydują dwaj emeryci.

PIOTR SZUKALSKI: Zacznę od oświadczenia, zanim zapyta pan o prognozę Głównego Urzędu Statystycznego. Otóż przewidując przyszłość, pamiętajmy o tzw. czarnych łabędziach – zjawiskach takich jak pandemia czy wojna – które są nieprzewidywalne, ale gdy się już pojawią, zmieniają wszystko.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Załóżmy, że w najbliższych dekadach ich nie będzie...

...a rzeczywistość będzie mniej więcej przedłużeniem obecnej? Wówczas możemy się w Polsce spodziewać pogłębienia trendów: wyludniania, dalszego przemieszczania się ludzi z peryferii do metropolii, a także starzenia się populacji.

Nowa prognoza GUS na lata 2023-2060 daje trzy warianty depopulacji – za 37 lat będzie nas niecałe 35, nieco ponad 30 albo 26,7 mln – i potwierdza drastyczne spadki dzietności. Co robić, by zmiany nie były dotkliwe?

Po pierwsze, zredefiniować starość: za chwilę nikogo nie będzie stać na brak aktywności w wieku 65 lat. Normą więc będzie aktywny 75-latek, nawet jeśli ta aktywność to nie cały etat, tylko kilka godzin w osiedlowej bibliotece. Po drugie, dobra edukacja. Mniejsza liczba pracowników w dobie automatyzacji i sztucznej inteligencji nie będzie tragedią, jeśli ci nieliczni aktywni będą dobrze wykształceni. Po trzecie, rozbudowa systemu usług: medycznych, opiekuńczych, aktywizacyjnych.

Demografia jest wielką nieobecną kolejnej kampanii.

Pośrednio jest obecna: o władzę i decydowanie o naszej przyszłości ubiegają się dwaj panowie w wieku emerytalnym... A jeden z nich podjął decyzję o referendum, w którym dwa pytania odnoszą się – też pośrednio – do tego zjawiska. Jedno czaruje przyszłość sugerując, że można być pięknym i bogatym, przechodząc szybko na emeryturę. Zawarta w innym pytaniu sugestia głosi, że każdy napływ imigrantów jest niebezpieczny, choć wiemy, że jedną z recept na wyludnianie się Polski będzie mądra polityka migracyjna. Grając na fobiach i emocjach nie da się odpowiadać na wyzwania przyszłości.

DR HAB. PIOTR SZUKALSKI *jest demografem, profesorem na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym Uniwersytetu Łódzkiego.*

NA PUNKTY

ŻÓŁTA KARTKA
„Na pewnych stanowiskach trzeba oczekiwać i wymagać klasy. To jest ważne. Trzeba wiedzieć, jak się zachować na tym stanowisku i jak zarządzać tym wszystkim" – powiedział kapitan piłkarskiej reprezentacji Polski Robert Lewandowski, komentując opisywane szeroko w mediach incydenty i skandale w PZPN.

GOL SAMOBÓJCZY
Innego zdania jest najwyraźniej kierownictwo PiS, które na swoich listach wyborczych umieściło m.in. b. wiceministra sportu i promującego kontrowersyjne metody leczenia biznesmena Łukasza Mejzę, a także b. prezesa Stowarzyszenia Marsz Niepodległości Roberta Bąkiewicza.

POZYCJA SPALONA
Tymczasem w opozycji niedoszła kandydatka paktu senackiego, rekomendowana przez PSL Małgorzata Zych, straciła miejsce na liście wyborczej w związku z niejasnym stanowiskiem w sprawie rosyjskiej agresji na Ukrainę. „Przepraszam Prezydenta Rosji Władimira Putina za nazwanie go w swoim oświadczeniu z dnia 30 sierpnia br. zbrodniarzem wojennym" – napisała Zych, kiedy jej odcięcie się od wcześniejszych prorosyjskich wypowiedzi spaliło na panewce i stało się jasne, że nie ma już szans na start w wyborach. ©℗

Edukacja: wzrost nierówności

JACEK TARAN

W nowy rok szkolny minister Przemysław Czarnek wchodzi z entuzjazmem. W liście skierowanym do środowiska oświatowego chwali się inwestycjami w infrastrukturę i podnoszeniem prestiżu. Podkreśla troskę o uczniów: liczba psychologów szkolnych w ubiegłym roku szkolnym wzrosła o sto procent.

Jego entuzjazmu nie podzielają nauczyciele. 1 września przed budynkiem MEN protestowało kilka tysięcy członków ZNP. Domagali się m.in. powiązania uposażeń ze średnim wynagrodzeniem i wzrostu nakładów na edukację na poziomie minimum 3 proc. PKB. Protestujących przywitały transparenty na ścianach ministerstwa z informacją, że zarabiają po 7 tysięcy złotych. „To upokorzenie, pogarda i kłamstwo" – mówią i pokazują paski z wypłatami. Dziś pensja początkującego nauczyciela to 3690 zł brutto. Doświadczeni odchodzą do szkół prywatnych albo zmieniają zawód.

MICHAŁ ŻEBROWSKI / EAST NEWS

Trudno też uwierzyć w zapewnienia o dostępie pomocy psychologicznej dla uczniów. Eksperci od lat wskazują na fatalne w skutkach braki w tej dziedzinie. Często jeden psycholog pracuje w kilku szkołach, a w wielu placówkach gabinety stoją puste.

Po ewentualnej wygranej opozycji w wyborach zamiast przełomu możemy spodziewać się drobnych gestów w stronę nauczycieli, dodatkowych podwyżek, ale to za mało, by uzdrowić system. Dzisiejsza edukacja zaczyna przypominać ochronę zdrowia – nie mogę się leczyć w placówkach publicznych, więc szukam pomocy w prywatnych. Ale to szansa jedynie dla dzieci z dużych miast i zamożnych rodzin. Nierówności w dostępie do edukacji będą się pogłębiać. ©℗

Lekcja pokory dla arcybiskupa

ARTUR SPORNIAK

Pod koniec sierpnia metropolita częstochowski abp Wacław Depo mianował nowego asystenta kościelnego i moderatora stowarzyszenia wiernych Wspólnota Przymierza Rodzin „Mamre". Został nim ks. Marian Duda, zasłużony kapłan, były duszpasterz strajkujących studentów i osób represjonowanych w stanie wojennym. Jego nominacja wieńczy proces rozpoznawania nieprawidłowości we wspólnocie, która przez wiele lat funkcjonowała jak sekta. Głównym odpowiedzialnym za taki stan rzeczy jest jej założyciel i do niedawna moderator, ks. Włodzimierz Cyran. Organizując m.in. niezgodne z prawem kanonicznym publiczne egzorcyzmy, narzucił wspólnocie lęk przed działającym w świecie demonem. Protestujących spotykał ostracyzm.

W listopadzie 2021 r. abp Depo zarządził wizytację wspólnoty przez komisję złożoną z teologów, psychologa i prawników kościelnych, która w marcu 2023 r. ujawniła „istotne nieprawidłowości w sposobie kierowania Wspólnotą i jej działalności" (raportu niestety nie upubliczniono). Obecnie trwają prace nad nowym statutem.

Można powiedzieć, że to duszpasterski sukces abp. Depy. Metropolicie udało się „uratować" wspólnotę dla Kościoła, w przeciwieństwie do wspólnoty w Czatachowej, założonej przez ks. Daniela Galusa, która zerwała więź z biskupem. Ale sam metropolita również przeszedł znamienną drogę. Przez lata wspierał wątpliwe duszpasterstwo ks. Cyrana. Dał m.in. imprimatur dla jego „Przewodnika duchowego dla zniewolonych lub dręczonych", według którego małe dzieci mogą dziedziczyć zniewolenie po grzesznych przodkach, niebezpieczna jest też lektura „Harry'ego Pottera" i cyklu o Narni. Długo ignorował skargi i dopiero episkopat wymusił na nim powołanie komisji wizytującej. Ostatecznie w liście z 7 sierpnia do obecnych i byłych członków wspólnoty abp Depo przeprosił wszystkich pokrzywdzonych. „Moje przeprosiny zapewne nie zdołają ukoić bólu, ale mimo wszystko proszę o wybaczenie wszelkich błędów i niedopatrzeń" – napisał. ©℗

SAM HARIRI / AFP / EAST NEWS

Demonstranci w mieście Suwajda, 1 września 2023 r.

Druzowie protestują przeciw Asadowi

WOJNA W SYRII ▪ Mieszkańcy miasta Suwajda, położonego w południowej części Syrii, protestowali w piątek 1 września przeciw fatalnym warunkom życia, domagając się też odejścia prezydenta Baszara al-Asada. „Baszar musi odejść, wolność dla Syrii" – skandowali. Według różnych szacunków demonstrantów było od kilkuset do dwóch tysięcy.

Protesty, choć nieliczne, odbyły się tego dnia także w kilku innych miejscach Syrii, w tym w mieście Dara – tym samym, w którym w marcu 2011 r. miała początek Arabska Wiosna: wystąpienia przeciw Asadowi, na które władze odpowiedziały represjami. Pokojowe na początku protesty przerodziły się wówczas w wojnę domową, w której zginęło pół miliona ludzi. Z kraju, który w 2011 r. liczył 21 mln mieszkańców, prawie 7 mln uciekło za granicę, a drugie tyle to uchodźcy wewnętrzni.

Dziś Syria jest podzielona na kilka nieformalnych stref. Największa to tereny kontrolowane przez Asada, który utrzymał się u władzy także dzięki wsparciu Iranu i Rosji (we wrześniu 2015 r. Rosja wysłała do Syrii kontyngent wojskowy, który wsparł armię rządową). Północno-wschodnią część kraju kontrolują Kurdowie, którzy utworzyli tam parapaństwo. Północno-zachodni region Idlib to jedyne miejsce, gdzie utrzymali się antyasadowscy powstańcy wspierani przez Turcję. Z kolei turecka armia kontroluje obszary nadgraniczne w północnej Syrii; jej główny przeciwnik to Kurdowie.

Spustoszony wojną kraj jest w ciężkim kryzysie gospodarczym, waluta jest niewiele warta (dolar amerykański kosztuje ponad 15 tys. syryjskich funtów; wiosną 2011 r. było to 47 funtów), a ONZ ocenia, że 90 proc. mieszkańców żyje poniżej granicy ubóstwa.

Manifestacje w Suwajdzie – pierwsze takie wystąpienia na terenach rządzonych przez Asada od dawna – zaczęły się 18 sierpnia, kilka dni po tym, jak rząd skasował subwencje do benzyny, i odtąd odbywają się tam prawie codziennie. Miasto Suwajda, stolica prowincji o tej samej nazwie, to główne skupisko syryjskich Druzów, niewielkiej grupy etniczno-religijnej (Druzowie żyją głównie w Libanie, Syrii i Izraelu; ich religia czerpie z islamu i chrześcijaństwa). Posiadający pewną autonomię, w tym własną zbrojną milicję, Druzowie zachowywali dotąd neutralność wobec trwającej w Syrii wojny, a ich region – wysunięty na południe i graniczący z Jordanią – formalnie był cały czas pod kontrolą sił Asada. Oszczędzone były mu cierpienia i zniszczenia, które dotknęły większość kraju.

Protesty przebiegają dotąd pokojowo, a rząd nie podjął przeciw nim działań siłowych, choć na ulicach Suwajdy palono portrety Asada, a demonstranci mieli zaatakować lokalną siedzibę jego partii Baas. Obserwatorzy sądzą, że Asad czeka na rozwój sytuacji. W sobotę 2 września w mieście wyłączono internet.

©℗ WP / REUTERS, DPA, AFP, ZDF

Sztuczna inteligencja w Kościele

TECHNOLOGIA ▪ „Jestem Magisterium AI, Twój pomocny przewodnik po naukach Kościoła katolickiego" – tak przedstawia się aplikacja, która do swojego działania wykorzystuje sztuczną inteligencję i której hasłem marketingowym jest ewangeliczne „szukajcie, a znajdziecie". Różni się ona od systemów ChatGPT i Bard tym, że jest szkolona przy użyciu wyselekcjonowanego zbioru danych: dokumentów Kościoła katolickiego. Jej autor, Matthew Sanders, założyciel i dyrektor generalny Longbeard, amerykańskiej firmy programistycznej, zapewnia, że dzięki temu aplikacja nie produkuje „halucynacji", czyli odpowiedzi zmyślanych. Magisterium AI znajduje się obecnie w fazie beta – to otwarta wersja testowa; jej twórca uważa, że może ona „zmienić zasady gry w Kościele".

Sprawdziliśmy, jak aplikacja działa. Na pytanie: „Czy Adam i Ewa istnieli naprawdę?", otrzymaliśmy odpowiedź twierdzącą. Aplikacja oparła się na XIX-wiecznym Katechizmie z Baltimore. Niewiele więcej dało bardziej szczegółowe pytanie: „Czy istnienie Adama i Ewy jest dosłowne czy symboliczne?" – aplikacja trwała przy swoim, odwołując się z kolei do amerykańskiej encyklopedii katolickiej z początku XX w. Wygląda na to, że Magisterium AI dawałoby bardziej aktualne odpowiedzi, gdyby jego baza danych poszerzona została o nowoczesne monografie omawiające pogranicze nauki i wiary, i gdyby algorytm lepiej rozpoznawał to, co w dokumentach Kościoła szybciej się „starzeje".

Sanders zapewnia, iż algorytm uwzględnia rozwój nauczania i zwraca uwagę na datę dokumentów, mocniej promując nowsze wypowiedzi. Sama baza danych jest wciąż rozszerzana – codziennie o kilkadziesiąt dokumentów (obecnie jest ich ok. 3500). Autor aplikacji zapowiada uwzględnienie w przyszłości zdigitalizowanych zasobów biblioteki Papieskiego Instytutu Wschodniego w Rzymie oraz innych katolickich uniwersytetów. Prosi także użytkowników o wszelkie krytyczne uwagi, czemu służy specjalne forum dyskusyjne.

©℗ ARTUR SPORNIAK

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TP"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Państwo Środka prowokuje Indie i Rosję

SPORY GRANICZNE ▪ Chińskie Ministerstwo Zasobów Naturalnych opublikowało nową oficjalną mapę kraju, na której wybrane tereny należące do Indii zaznaczono jako chińskie. Również Rosja straciła na mapie skrawek swojego terytorium na rzecz sąsiada.

Według nowej mapy Chińczycy poszerzyli swoje granice o indyjski stan Arunachal Pradesh oraz sporny region Aksai Chin. O obszary te toczyła się w 1962 r. wojna chińsko-indyjska. Dyplomacja Indii wyraziła stanowczy protest. Indyjski minister spraw zagranicznych Subrahmanyam Jaishankar ocenił, że „takie kroki strony chińskiej tylko komplikują rozwiązanie kwestii granicznej".

Kontrowersyjna mapa ukazała się zaledwie cztery dni po szczycie krajów grupy BRICS (należą do niej także Chiny i Indie), podczas którego doszło do spotkania premiera Indii i przywódcy ChRL. Obaj postanowili wtedy, że zintensyfikują wysiłki na rzecz złagodzenia napięć na granicy. Relacje między oboma krajami pogorszyły się po krwawym starciu żołnierzy obu stron w Himalajach w czerwcu 2020 r., w wyniku którego zginęło dwudziestu żołnierzy indyjskich i czterech chińskich.

ARUN SANKAR / AFP / EAST NEWS

Ćwiczenia żołnierzy indyjskich na granicy z Chinami w stanie Arunachal Pradesh. 23 kwietnia 2023 r.

Publikacja chińskiego ministerstwa uderza również w Kreml. Chińczycy uznali za swoją całą Wielką Wyspę Ussuryjską na rzece Amur, której połowa należy do Rosji. Oba państwa spierały się o ten teren od 1860 r. Ostatecznie w 2008 r. rosyjski parlament przekazał Państwu Środka zachodnią część wyspy. Na „zajęcie" wyspy Rosja zareagowała powściągliwiej niż Indie. „Strony rosyjska i chińska są zgodne co do tego, że kwestia granicy między krajami została ostatecznie rozwiązana" – powiedziała rzeczniczka MSZ Maria Zacharowa.

Malezja, Filipiny i Wietnam, których obszary morskie również zostały zaznaczone na mapie jako chińskie, w ślad za Indiami opublikowały oświadczenia, w których oskarżają Pekin o roszczenia „niemające podstaw w prawie międzynarodowym".

Rzecznik chińskiego MSZ Wang Wenbin wyraził nadzieję, że strony zachowają obiektywizm i spokój oraz „powstrzymają się od nadinterpretacji tej kwestii".

© DAWID WIECHEĆ

Czy milion lat temu ludzie niemal wyginęli?

EWOLUCJA ▪ Ok. 930-813 tys. lat temu populacja naszych przodków mogła zmaleć do zaledwie 1280 rozmnażających się osób – ogłosili w „Science" Wangjie Hu z Chińskiej Akademii Nauk i współpracownicy. Badacze stworzyli nowe narzędzie informatyczne (nazwane FitCoal), dzięki któremu w genomie współczesnych ludzi odnaleziono ślady drastycznego spadku zróżnicowania genetycznego sprzed blisko miliona lat. To ten sygnał został zinterpretowany jako spadek liczebności populacji w naszej linii ewolucyjnej (aż o 98 proc.). Powodem zepchnięcia naszych przodków na skraj zagłady mogło być ochłodzenie się klimatu, które w Eurazji spowodowało narastanie pokrywy lodowej, a w Afryce – falę susz i pustynnienie terenu.

Wyniki są interesujące, ale łatwo je źle zrozumieć. Nie chodzi o to, że na całym świecie żyło wówczas ledwie ponad tysiąc przedstawicieli rodzaju ludzkiego – w tym czasie poza naszymi bezpośrednimi przodkami Afrykę i Eurazję zamieszkiwały inne grupy ludzi, które jednak nie wniosły

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Żuchwa H. heidelbergensis sprzed ok. 650 tys. lat

istotnego wkładu genetycznego do naszej puli. Możliwe też – choć nie jest to scenariusz faworyzowany przez chińskich badaczy – że wykryty sygnał genetyczny był spowodowany przez zjawisko nazywane „efektem założyciela". Dochodzi do niego, gdy część osobników zostaje geograficznie odizolowana od reszty grupy – niekoniecznie w wyniku jakichś katastrofalnych zdarzeń – i to ona daje początek nowej populacji czy gatunkowi.

Autorzy badania sugerują, że w tym czasie w Afryce mogło dojść do powstania gatunku nazywanego *Homo heidelbergensis* lub *Homo bodoensis*, z którego później wyłoniły się trzy populacje: *Homo sapiens* (początkowo występujący wyłącznie w Afryce), neandertalczycy (zamieszkujący głównie Europę) i denisowianie (żyjący w Azji). A w odbudowie populacji naszych przodków miało pomóc opanowanie ognia.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

TEMAT TYGODNIKA

POLITYKA PRZESADY

PROF. ANTONI DUDEK, POLITOLOG:

Wybory będą wolne, ale nie będą uczciwe. Wyłonią rząd mniejszościowy. Dwuletni okres chaosu skończy się dopiero ze zmianą prezydenta.

MICHAŁ KOŚĆ / AGENCJA WSCHÓD / REPORTER

MICHAŁ OKOŃSKI: Umówiłem się z naczelnym, że nie użyję nazwiska „Giertych".
ANTONI DUDEK: Ale dlaczego?

Bo burza o jego kandydowanie odbywa się w bańce. Jeden z problemów polskiej polityki polega na tym, że myli rzeczywistość z rzeczywistością Twittera.
A jeśli ja użyję tego nazwiska?

Pan ma święte prawo. Zwłaszcza że kiedy jadąc tutaj przeglądałem Pańską „Historię polityczną Polski 1989-2015", natrafiłem na nie kilkadziesiąt razy. Zanim został trollem, był uczestnikiem dużej polityki.
Reprezentuje też ważny ród dla XX-wiecznej historii Polski. Jego dziadek Jędrzej to istotna postać w dziejach endecji. Jego ojciec Maciej, też ortodoksyjny endek, kandydował na prezydenta. On zaś zaczynał jako lider Młodzieży Wszechpolskiej, ale jego dzisiejsze poglądy są odległe od linii przodków. Dalej mówimy o centroprawicowcu, ale już w duchu zachodnioeuropejskim.

Z perspektywy Jarosława Kaczyńskiego Giertych przeszedł na ciemną stronę mocy i został wrogiem obozu patriotycznego. Bo cała polska polityka jest tak przez lidera PiS zdefiniowana, że mamy obóz patriotyczny i obóz zdrady narodowej, między którymi ewentualnie wałęsają się jacyś pożyteczni idioci.

Wiem, że denerwuje Kaczyńskiego, ale nie zauważyłem, żeby ostatnio formułował jakieś poglądy. Nawet w sprawie aborcji wije się, żeby nic nie powiedzieć.

Przesadza pan. Oczywiście wielu polityków, zwłaszcza młodszych, to twory marketingu, ale Giertycha bym do nich nie zaliczał – on się po prostu próbuje zainstalować w nowym środowisku. Natomiast rzeczywiście niechęć do wyrażania poglądów i brak wewnętrznej debaty dominują we wszystkich większych partiach. Tusk również nie lubił, jak mu się dyskusjami przeszkadzało w rządzeniu, i już przed laty kierował do psychiatry polityków mówiących o jakichś wizjach.

Mimo wszystko jednak takiego posła Sienkiewicza od takiego posła Sterczewskiego różni mnóstwo.
Wielkie partie muszą być zróżnicowane – widzimy po Republikanach i Demokratach, jak dużo potrafią pomieścić. Ale w USA spór się toczy przy odsłoniętej kurtynie, a u nas różnicy zdań między Sienkiewiczem i Sterczewskim trzeba się domyślać. Pan wie, jaki byłby ich zdaniem pożądany model sądu konstytucyjnego wobec zapaści tego, w co PiS przekształcił Trybunał Konstytucyjny? Słyszał pan jakieś ich dyskusje? Nie, bo po co, zwłaszcza że Tusk wynalazł genialną formułę: „Ja mam na to wszystko odpowiedź, ale nie mogę jej zdradzić, bo to ułatwi PiS-owi walkę ze mną".

Czyli, mówiąc krótko, polityka sprowadza się już wyłącznie do technologii i marketingu.
Dlatego niektórzy mówią o postpolityce. Pytanie tylko, czy tak będzie zawsze.

Ja oczywiście nie jestem fanem dwudziestowiecznych ideologii, a zwłaszcza tego, co robiono w ich imieniu, ale myślę, że między totalną ideologizacją a kompletnym „odprogramowaniem" polityki jest sporo przestrzeni. Dlatego z grupą autorów o różnych poglądach wydaliśmy książkę „Umówmy się na Polskę".

Szczerze mówiąc, miewałem podczas jej lektury poczucie, że to szlachetny odlot. Nawet jeśli sam tęsknię za krajem zdecentralizowanym...
Też nie widzę szans na wcielenie tego programu w życie w najbliższych latach.

...ale był to odlot niezwykle inspirujący. Szkoda, że takie wizje nie rodzą się wśród polityków.

↦ Nie mam poczucia, że zmarnowaliśmy czas. Ludzie ze świata akademickiego powinni reanimować debaty ustrojowe. Alternatywą jest emigracja wewnętrzna albo zostanie partyjnym profesorem. Mamy przecież takich nie tylko w PiS.

Po nazwisku, proszę.

Jak pan śledzi media, to pan wie, o kogo chodzi. A ja mam tę przyjemność, że się do nich nie zaliczam i bawi mnie, jak jestem naprzemiennie hejtowany jako kryptopisowiec albo jako kryptoplatformers.

To się chyba nazywa symetryzm. Też słowo, którego miałem nie użyć.

Ja się definiuję jako asymetryczny symetrysta. Asymetryczny, bo ortodoksyjny symetryzm oznacza, że w każdej sprawie jest się idealnie pośrodku. Tymczasem jeśli wezmę np. kwestię sądownictwa, to nawet jeśli pamiętam, że demontaż Trybunału Konstytucyjnego zaczął się za rządów PO, muszę przyznać, że skala win PiS na tym polu jest nieporównywalnie większa. W kwestii polityki społecznej nie mogę z kolei nie zauważyć, że podczas swoich rządów Platforma tę przestrzeń odpuściła i dlatego zresztą, moim zdaniem, straciła władzę. Ale to też nie oznacza, że pochwalam wszystkie pomysły PiS w tej materii, bo uważam, że poszły za daleko.

Naszym życiem publicznym rządzi, jak napisał kiedyś Maciej Strzembosz, kultura przesady. I nie chodzi tylko o to, że przesadzamy retorycznie, odsądzając przeciwników od czci i wiary i co chwilę wieszcząc katastrofy, które nie nadchodzą. Przesadzamy, deformując sensowne z początku pomysły.

Jakiś przykład?

Trzynasta i czternasta emerytura to podręcznikowa kiełbasa wyborcza. Z kolei program 500 plus nie zadziałał wprawdzie prodemograficznie, ale wyrównywał różnice społeczne, choć był taki moment, kiedy – również z powodów wyborczych – rozszerzono go na pierwsze dziecko, zamiast dawać trochę więcej na dziecko trzecie, jeszcze więcej na czwarte itd.

Problem w tym, że aparat naszego państwa jest do takich operacji kompletnie nieprzygotowany. Łatwo dać wszystkim rodzicom po równo, trudniej powiązać kwotę zasiłku z liczbą dzieci albo ze stopniem dochodów. Tak samo jak trudno zaplombować na granicy wagony z ukraińskim zbożem i konwojować je do kolejnej granicy, żeby wyjechały z Polski nieotwierane. Państwo działa słabo, czasem ratuje mu skórę pospolite ruszenie samorządów – jak w ubiegłym roku, gdy przybyli uchodźcy z Ukrainy – ale generalnie jego aparat jest nieporadny, a nasza wojna plemienna tylko chaos pogłębia.

Aparat państwowy służy do tego, żeby utrzymywać władzę?

I jeszcze czerpać z niej profity. Przecież większość aparatczyków PiS nie popiera Kaczyńskiego dlatego, że jest geniuszem i patriotą, tylko dlatego, że można dzięki niemu dać zarobić krewnym i znajomym. Zgodnie z centralistyczną koncepcją prezesa najwyższą formą gospodarowania jest spółka Skarbu Państwa, a poza obsadzaniem takich spółek, można przecież pozabierać jeszcze kompetencje samorządom, utworzyć instytucję typu Wody Polskie, a potem wsadzić do niej armię swoich ludzi.

Wspomniałem o tym szlachetnym odlocie ludzi piszących programy naprawy państwa, ale w tyle głowy cały czas mam odlot nieszlachetny: polityki uprawianej w mediach społecznościowych i pod ich terrorem. Odwołanie debaty symetrystów na Campusie Polska to przecież efekt wzmożenia użytkowników wspomnianego już Twittera.

Prof. Andrzej Zybertowicz mówi, że nowymi władcami świata są administratorzy Big Techu, a politycy to jedynie kukiełki w ich teatrze. Ja uważam, że to również przesada, choć oczywiście administratorzy Big Techu mogą przy pomocy swoich algorytmów próbować oddziaływać i na polityków, i na tzw. demos. Tyle że dzięki mediom społecznościowym politycy się również demaskują: minister zdrowia poległ za sprawą skandalicznego tweeta i chyba lepiej, że się pogrążył sam, niż miałby puszczać do mediów przecieki.

Są rzeczy bardziej niebezpieczne. Przeczytałem właśnie „Kod życia" Waltera Isaacsona, biografię Jennifer Doudny, która w 2020 r. dostała Nagrodę Nobla za badania nad DNA. Twierdzę, że nieporównanie większym zagrożeniem od Big Techu czy sztucznej inteligencji są eksperymenty w zakresie zmiany naszego genomu. W 2018 r., za sprawą badań, których Doudna była współautorką – metody sekwencjonowania genów CRISPR – niejaki He Jiankui w Chinach doprowadził do przyjścia na świat co najmniej trojga dzieci, które mają inny łańcuch DNA niż my wszyscy. Oczywiście świat naukowy go potępił, na trzy lata trafił do więzienia, ale Rubikon został przekroczony.

W kampaniach wyborczych politycy nie dyskutują o takich rzeczach. Nie mówią o katastrofie klimatycznej czy energetyce. Wolą się straszyć sobą nawzajem.

Przede wszystkim jednak wolą obiecywać. Dziś trwa największa w dziejach III RP licytacja na obietnice socjalne.

Szymon Hołownia mówi, że 800 plus to rozdawnictwo, Konfederacja też.

Ale największe partie rozkręciły to maksymalnie. PiS obiecał kredyt mieszkaniowy na 2 procen – Tusk mówi o kredycie na 0 procent, a przede wszystkim zapowiada podwojenie kwoty wolnej od podatku, co kosztowałoby budżet kilkadziesiąt miliardów.

Ja mam raczej poczucie, że główny temat kampanii to bezpieczeństwo.

Ono też się wiąże z ogromnymi wydatkami. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak gigantyczny program zbrojeniowy uruchomił PiS. Oczywiście wojsko wymaga wzmocnienia, ale zgodnie z kulturą przesady Kaczyński rzucił hasło budowy największej armii lądowej Europy, zakładając następnym rządom pętlę, bo umówione już kontrakty na zakup sprzętu trzeba będzie spłacać przez 30-40 lat. Przypomnę, że w Polsce międzywojennej wydatki na obronność były największą pozycją w budżecie, a w 1939 r. i tak niewiele nam to pomogło.

Ale kiedy pan wspomniał, że temat bezpieczeństwa to główny temat kampanii... Na razie po stronie PiS mówi się wyłącznie o tym, że Tusk chce tu wpuścić imigrantów i zlikwidować zapory na wschodniej granicy, co jest oczywiście nieprawdą. Nie popierając push-backów, uważam zresztą samą budowę zapory za słuszną. Gdyby nie powstała, Łukaszenka systematycznie zwiększałby liczbę migrantów, bo dla niego to świetny biznes: brać od nich pieniądze za przylot, a potem pchać ich na Zachód i wywoływać tam kryzys.

Rozmawiałem niedawno z Mikołajem Grynbergiem. On akurat jest przeciwnikiem zapory, ale podkreśla, że w Polsce w ogóle nie ma debaty na temat polityki migracyjnej.

W tej sprawie zgoda. Każdy ekonomista powie, że nasza gospodarka nie zdoła się rozwijać, jeśli w perspektywie dekady nie zasilą jej ludzie zdolni do pracy – i to nie milion, ale trzy czy cztery miliony.

Wiemy, że PiS po cichu ich wpuszcza.

PiS zawył, kiedy Tusk to pokazał.

To horrendum polskiej debaty: z czegoś, co – jak Pan mówi – jest oczywistą potrzebą, robi się kij.

Tak, to kolejny temat nieobecny: politycy powinni prowadzić poważną debatę na temat modelu polityki migracyjnej, i to w skali całej Unii. W krajach, z których przybywają migranci, powinno się otwierać regularne biura pracy i dobierać ludzi, których potrzebujemy. Np. takich, którzy mają już założone rodziny i poszukiwane u nas wykształcenie.

Ja generalnie nie współczuję politykom, że uprawiają ten zawód, ale gdy słucham czegoś takiego, to zaczynam odczuwać cień empatii. Podjęcie otwartej rozmowy na podobne tematy niweczy szanse na sukces w wyborach.

W naszej epoce politycy boją się mówić, co myślą i co by należało zrobić, bo wiedzą, że na tym stracą. Na szczęście pan i ja nie kandydujemy. Możemy mówić, co myślimy.

Więc co Pan myśli o wyborach?

Czekają nas dwa lata chaosu, który najpewniej zacznie się kończyć dopiero po wyborach prezydenckich. Najbardziej prawdopodobny rezultat wyborów parlamentarnych jest przecież taki, że w Sejmie nie będzie stabilnej większości. A ponieważ kampania jest potwornie kosztowna, w przyszłym roku zaś czekają głosowania w wyborach samorządowych i do Parlamentu Europejskiego, to będzie też opór przed robieniem kolejnych wyborów już po kilku miesiącach. Dlatego w tzw. trzecim kroku konstytucyjnym powstanie rząd mniejszościowy, dryfujący do kolejnego przesilenia. Na dziś się wydaje, że to będzie rząd PiS bez udziału Konfederacji, ale na jej łasce, choć wyobrażam sobie również rząd anty-PiS na łasce Konfederacji. Tylko że przy obecnym prezydencie i jego prawie weta będzie miał skrępowane ręce.

Trwa największa w III RP licytacja na obietnice socjalne.
Programowego sporu o politykę migracyjną, energetykę, klimat – brak.

Z kolei ze względów demograficznych PiS ciężko będzie wygrać kolejne wybory prezydenckie, więc jeśli Dudę zastąpi np. Trzaskowski, wówczas jesienią 2025 r. odbędą się przedterminowe wybory parlamentarne. I dopiero w ich konsekwencji wyłoni się antypisowska większość w Sejmie. Nie wykluczam oczywiście, że opozycja zdoła jakoś uzbierać większość już po tegorocznych wyborach, albo też sięgnie po nią podkupując grupę posłów Konfederacji. Natomiast jest mało prawdopodobne, że PiS rzutem na taśmę, np. za sprawą jakiegoś dramatycznego wydarzenia na granicy, uda się po raz trzeci zdobyć samodzielną większość.

Jakoś sobie nie wyobrażam Jarosława Kaczyńskiego sterującego swoją formacją za dwa lata.

Pyta pan, czy PiS przetrwa odejście prezesa na emeryturę? Moim zdaniem tak. Wybierze nowego szefa, najpewniej namaszczonego przez Kaczyńskiego, i w imię dobrze pojętej obrony swoich interesów będzie funkcjonować nadal.

Prezes zresztą już partii do końca nie kontroluje. Czasem ingeruje punktowo, np. wyrzucając ministra Niedzielskiego, ale w jakim zakresie jest w stanie narzucić swoją wolę, pokazała historia tzw. piątki dla zwierząt, skutecznie zablokowanej przez część jego obozu politycznego.

Piątka dla zwierząt to nie była sprawa kluczowa.

No to niech pan spojrzy na samoograniczenie prezesa w sprawie komisji ds. wpływów rosyjskich. Przygotowywał ją długo, sądząc np. po filmie „Reset", przepychał w Sejmie, wymuszał podpis Dudy, a potem – po jednym telefonie z Waszyngtonu, jak sądzę – musiał się wycofać.

No nie wiem. Właśnie poznaliśmy listę kandydatów, którzy mają wejść w skład tej komisji.

I oczywiście ci kandydaci będą opluskwiać Tuska do woli. Ale nie będą już mogli zrobić czegoś, co zapisano w pierwotnym kształcie ustawy o komisji: nie będą mogli pozbawiać nikogo możliwości zasiadania w Sejmie czy rządzie. Nie dziwię się zresztą irytacji Amerykanów, bo takie coś faktycznie odbierałoby Polsce status kraju demokratycznego.

Przy tym stopniu zależności Trybunału Konstytucyjnego od rządzących to ja nie wiem, czy Polska jest jeszcze krajem demokratycznym.

Spieram się o to z niektórymi politologami. Nadal uważam, że mamy demokrację, tyle że nie jest to już demokracja liberalna. Nazywam nasz system demokracją narodową, idącą stopniowo w stronę autorytaryzmu, śladami Węgier czy Turcji.

Będą wolne wybory?

Będą wolne wybory w takim rozumieniu, że będziemy mogli głosować na wiele list, a nasze głosy zostaną policzone najrzetelniej w dziejach: walczące strony na rekordową skalę zaangażują się w pracę w komisjach, a każdy głos będzie oglądał nie jeden, lecz wszyscy członkowie tychże. Liczenie potrwa dłużej, ale co do jego rzetelności nie mam zastrzeżeń.

Natomiast to, że wybory będą wolne, nie oznacza, że będą uczciwe.

No to mnie Pan pocieszył.

Po pierwsze, nie będą uczciwe, bo tzw. media publiczne będą tubą jednej partii. Po drugie, ta partia zastosuje całą gamę zachęt profrekwencyjnych, takich jak słynne wozy strażackie przed wyborami prezydenckimi. Po trzecie, liczba mandatów przypisana do poszczególnych okręgów pozostaje niezmieniona od dekady, co również sprzyja PiS, który ma ponadprzeciętne poparcie w wyludniających się okręgach nieobejmujących największych miast, gdzie z kolei wzrosła liczba mieszkańców. I po czwarte: odbędzie się to nieszczęsne referendum.

Nabierzemy się na tak prymitywny chwyt?

↦

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

ANTONI DUDEK jest politologiem i historykiem, profesorem UKSW w Warszawie. W latach 2000-16 pracownik, doradca prezesa, a następnie członek Rady IPN. Autor wielu prac o historii Polski XX i XXI w. (m.in. „Historii politycznej Polski 1989-2015"; obecnie pracuje nad jej aktualizacją), gospodarz kanału na YouTubie „Dudek o historii". Książka „Umówmy się na Polskę", której jest współautorem, ukazała się przed kilkoma miesiącami nakładem Wydawnictwa Znak.

Prymitywny czy nie, zapewni rządzącym dodatkowe środki na finansowanie kampanii, poza oficjalnymi limitami. Tak jak wcześniej pikniki rodzinne, rzekomo mające promować 800 plus, a faktycznie kandydatów PiS, kampanię „informacyjną" o pytaniach referendalnych będzie można finansować z budżetu. A poza tym w małych miejscowościach, gdzie wszyscy wszystkich znają, będzie presja: kto nie weźmie kartki referendalnej, ujawni się jako przeciwnik władzy.

O tym trzeba wyraźnie mówić: że nawet jeśli się kartkę referendalną schowa, podrze, zelży się na niej Kaczyńskiego albo zagłosuje cztery razy „tak", *de facto* i tak się poprze PiS. Bo im nie chodzi o skalę poparcia dla tych swoich pytań, tylko o osiągnięcie prawomocności głosowania, co zapewni dopiero frekwencja powyżej 50 proc. A to udało się w Polsce tylko raz, przy referendum akcesyjnym.

Jest jakieś wyjście z duopolu?

Na razie nie ma. Ale to nie duopol – znany z USA, Wielkiej Brytanii, Niemiec – jest problemem, tylko jego jakość. Wyobraźmy sobie, że na czele PiS i PO stoją już nie Kaczyński i Tusk, tylko Morawiecki i Trzaskowski. Poziom toksyczności kampanii byłby o połowę niższy.

O tym się zapomina, widząc jak rośnie temperatura politycznego sporu – ona może też spadać.

To nie leży w interesie mediów społecznościowych, które sprzyjają polaryzacji.

Ale coraz większą liczbę ich użytkowników zaczyna to męczyć. Podobnie jak kiszenie się w swoich bańkach komunikacyjnych. Jeśli podnoszenie temperatury przestanie się opłacać, to natężenie polaryzacji spadnie.

Istotą polityki są rywalizacja i kooperacja. Jeśli ten drugi element zanika, to idziemy w stronę wojny domowej. Na razie rzeczywiście ku niej zdążamy, choć jeśli przyjrzeć się uważniej, to w wielu sprawach Kaczyńskiego i Tuska nie różni tak wiele. W sprawie polityki ukraińskiej czy nawet granicy mówią z grubsza to samo. Podobnie myślą o NATO. Gdyby jeszcze pole kooperacji rozszerzyli na politykę migracyjną i energetykę, a na moim poletku – gdyby porozumieli się w sprawie zdecentralizowania systemu edukacji – byłoby już naprawdę dobrze.

No ale się przecież nie porozumieją.

A może się jednak porozumieją, kiedy system się kompletnie zablokuje i bez jakiejś formy kooperacji nie będzie się dało nic zrobić. Zobaczymy.

Nie wyobrażam sobie takiego momentu.

A *blackout*, czyli sytuacja, w której na kilkadziesiąt godzin padłby cały nasz system energetyczny? Wszystko jedno, kto wtedy będzie rządził, nie zdoła zrzucić winy na poprzedników, nawet jeśli będzie to głównie skutek ich zaniedbań.

Kolejne wyzwanie: kryzys hydrologiczny. To idzie powoli jak cukrzyca, ale może nadejść rok, kiedy objawi się w pełni. W wielu miastach zabraknie wody. Załamią się zbiory. Tu naprawdę nie trzeba rosyjskiej bomby atomowej.

To właściwie niebywałe, że mówiąc o polskiej polityce nie mamy takiego horyzontu, za to poświęcamy tyle miejsca emocji dwóch panów.

I tak się dzieje od 18 lat.

Ale z drugiej strony, jak ci dwaj panowie działają na naszą wyobraźnię: myślimy o nich albo jak o zbawcach, albo jak o wcielonym złu.

Wie pan, na poziomie inżynierii politycznej to są wybitne postacie i właściwie fascynujące byłoby napisanie książki o ich żywotach równoległych – bo te losy się splatały. Często się mówi np., że środowisko Kaczyńskiego przetrwało lata 90., bo się uwłaszczyło na majątku Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej. To oczywiście prawda, ale ponieważ w Komisji Likwidacyjnej RSW zasiadał Donald Tusk, to można powiedzieć, że jednym z ludzi, którzy uwłaszczyli Kaczyńskiego, był jego obecny rywal.

Powiedzmy i to, że opowieść o kraju pod ich rządami jest, mimo tylu straconych szans, przez długi czas historią pozytywną. Historią rozwoju, wzrostu, modernizacji – a czasami także ciągłości i współpracy. Gazoport to dobry przykład czegoś, co zaczęło się za rządów Kaczyńskiego, było kontynuowane za Tuska i dokończone znów za Kaczyńskiego. W zasadzie dopiero od wybuchu pandemii Polska zaczęła jechać na kredytach, a stopień konfliktu stał się taki, że trzeba się obawiać, iż podobnej ciągłości jak przy gazoporcie zabraknie np. w kwestii energetyki jądrowej.

To znaczy?

Wyobraźmy sobie, że Tusk dochodzi do władzy i nie negując potrzeby budowania elektrowni atomowych uzna, że zamiast Koreańczyków powinni to jednak robić Francuzi, bo są naszymi partnerami z UE i świetnie się na tym znają. Stracimy w ten sposób kolejne lata.

W zasadzie już Pan powiedział, że jeśli opozycja wygra wybory, to i tak nie będzie w stanie rządzić.

Chyba że osiągnie pod cichym patronatem naszego wielkiego sojusznika zza Atlantyku jakiś *modus vivendi* z Dudą. Bo jeżeli pójdzie od razu na wojnę z prezydentem, to rzeczywiście będzie w stanie tylko administrować. A jeszcze nie wykluczam, że PiS na ostatniej prostej np. powoła do życia nieodwoływalną bez zmiany ustawy Radę Strategiczną, decydującą o obsadzie spółek Skarbu Państwa. Jeśli coś takiego przepchnie, a podobne pomysły pojawiały się nie dalej jak przed rokiem, to minister aktywów państwowych z PO Obajtka nie ruszy.

Potencjalne game changery kampanii?

Tusk zwołał na 1 października tzw. marsz miliona – po 4 czerwca poprzeczka jest wysoko, bo to był największy sukces lidera PO od powrotu do kraju, ale jeśli uda mu się zgromadzić podobną lub większą liczbę ludzi, może przeważyć szalę. Pytanie, czy Kaczyński odważy się zrobić coś podobnego, niekoniecznie w Warszawie.

Może w Krakowie na Błoniach, żeby upamiętnić Jana Pawła II – rocznica wyboru papieża niemal się zbiega z wyborami.

No, a jak ma spółki Skarbu Państwa, to ma możliwość zmobilizowania setek tysięcy ludzi, podstawienia pociągów i autokarów, które dowiozą ich, gdzie każe.

Oby nie doszło w trakcie tych manifestacji do aktów przemocy – przy tak podgrzanej atmosferze to też może być *game changer*. I pytanie, czy Putin z Łukaszenką nie uznają, że trzeba pomóc PiS, organizując jakieś wydarzenie na granicy. Tu nie ma wątpliwości: każdy kryzys na Wschodzie wywołuje efekt flagi i zwiększa poparcie dla Kaczyńskiego.

A wyobraża Pan sobie większą samodzielność Andrzeja Dudy w końcówce kadencji?

O tym już wspomniałem: jest możliwe osiągnięcie porozumienia rządu opozycyjnego z prezydentem pod patronatem USA. Ale chyba z innym premierem niż Tusk, mającym status arcydiabła także w Pałacu.

Znów mamy się rozbijać o emocje?

Nie tylko o emocje. Duda wprawdzie nigdy nie był klasycznym politykiem partyjnym, ale w kwestiach ideowych zawsze myślał tak, jak inni ludzie PiS. Minimalnie wygrał drugą kadencję, po tym jak Trzaskowski uchylił się od debaty w Końskich, ale nawet jeśli dziś się zastanawia, co dalej, to trudno się spodziewać, że przekreśli wszystko, co robił przez dziewięć lat.

Przyznam, że czasem zdumiewa mnie skala nieprofesjonalizmu i jego samego, i jego otoczenia. Przecież w kwestii komisji ds. rosyjskich wpływów oni naprawdę nie przewidzieli, jak zareagują Amerykanie. W poniedziałek Duda podpisał ustawę, w środę krzyczał na wiecu, że się żadnych trybunałów nie boi i że wszystko naszym sojusznikom wytłumaczy, a w piątek wybąkał, że ustawa wymaga jednak pilnej nowelizacji.

To ciekawe, że przy całej tromtadracji rządzących Pan ich portretuje jako potulnych wykonawców woli Waszyngtonu.

Czasami rzeczywiście wyglądało to kuriozalnie: ambasador Mosbacher zachowywała się jak słoń w składzie porcelany, np. pisząc do premiera list i robiąc błędy w jego nazwisku, ale wie pan... w dzisiejszym świecie na pełną suwerenność stać Chiny, Indie i może jeszcze dwa-trzy państwa spoza Europy. Przyzna pan, że w sumie lepszy Waszyngton niż Moskwa.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Skąd te przekleństwa?

Zagadka: Ojciec wyraźnie go wyróżnia i bracia są zazdrośni. Kiedy jego stosunki z rodzeństwem stają się fatalne, trafia do miejsca bardzo oddalonego od rodzinnego gniazda. Wbrew wszelkim przeciwnościom udaje mu się zająć nad podziw wysokie stanowisko w hierarchii władzy. O kim mowa? Tak, Józef też, ale czytamy teraz z Księgi Powtórzonego Prawa. Człowiek, o którym mówię, pojawia się w Biblii trzykrotnie: w 2 Krl 19, 37 oraz wspominają o nim Izajasz (37, 38) i Ezdrasz (4, 2). To Asarhaddon, obdarzony wieloma innymi tytułami władca Asyrii, syn Sennacheryba – który toczył walki w Judei i oblegał Jerozolimę – oraz ojciec licznego potomstwa, w tym swojego następcy Asurbanipala, założyciela imponującej biblioteki w Niniwie. Ale co ma król Asyrii, Babilonii oraz Sumeru i Akadu do stojących u wrót Ziemi Obiecanej Izraelitów? Wkrótce zdradzę, ale wpierw osadźmy to w biblijnej narracji.

W Pięcioksięgu po trzykroć napotykamy na serię błogosławieństw, dwa razy okraszonych przekleństwami. Kiedy kończy się Księga Przymierza – pokaźny zbiór praw zawarty w Księdze Wyjścia – zaraz za nią czytamy: „jeżeli słuchać będziesz głosu jego [anioła, którego Ja wysyłam] i spełnisz wszystko, co powiem; tedy wrogować będę wrogom twoim, i gnębić gnębicieli twoich" (Wj 23, 22; Cylkow), będziesz długo żył w zdrowiu i sytości, przyjdzie na świat twoje liczne potomstwo, a ty dostaniesz ziemię innych ludów. Po Kodeksie Świętości, czyli solidnej porcji praw stanowiących ostatnią część Księgi Kapłańskiej, napotykamy na takie słowa: „Jeżeli podług ustaw Moich postępować, a przykazań Moich przestrzegać, a pełnić je będziecie, – tedy dam wam deszcze w czasie swoim, i wyda ziemia plon swój, a drzewo polne wyda owoc swój" (Kpł 26, 3-4). Spotka was jeszcze wiele dobra innego rodzaju. „Jeżelibyście zaś nie usłuchali Mnie, i nie pełnili wszystkich przykazań tych" (wers 14), będzie to miało swoje – wyliczone – opłakane w skutkach konsekwencje. W Pwt 11, 26 pada słynne zdanie, które w Biblii Tysiąclecia brzmi: „Widzicie, ja kładę dziś przed wami błogosławieństwo i przekleństwo". Tu też następuje zapowiedź, że – już po znalezieniu się w Kanaanie – należy wygłosić błogosławieństwo na górze Gerizim i przekleństwo na górze Ebal. W rozdziałach 27 i 28 Mojżesz instruuje lewitów odnośnie tej ceremonii, która – jak zaświadcza Joz 8, 30-35 – rzeczywiście się odbyła.

Wpierw mamy zacytowanych 12 krótkich przekleństw do wygłoszenia. Potem skromny opis zwięźle sformułowanych błogosławieństw. Następnie długą listę dość niesamowitych przekleństw (Pwt 28, 15-68). Patrzę na dostępny w bibliotekach przekład przekleństw z traktatów zawartych z wasalami przez Asarhaddona i na tę listę. Podobieństwa porażają – przypadkowość wykluczona. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Wstydu nie mają

Pan powiedział do Ezechiela: „Ciebie, synu człowieczy, ustanowiłem stróżem ludu Izraela. Gdy usłyszysz słowo z moich ust, ostrzeżesz ich w moim imieniu". Ezechiel był nabi, czyli przemawiającym w imieniu Boga. Był prorokiem, co dzisiaj znaczy już tylko jasnowidzem, wróżbitą, rzekomo znającym przeszłość i przyszłość. Pełno mamy takich podrabianych przepowiadaczy, zbijających kasę na ludzkiej naiwności. W Biblii prorok nazywany jest widzącym, umiejącym wskazać, co i gdzie dzisiaj robi Bóg. Dlatego prorokiem na własną miarę może być każdy bez względu na światopogląd, niekoniecznie tylko ustanowiony czy podający się za proroka, czy za takiego uważany. Wiemy o tym z Biblii na przykładzie Balaama, nie mówiąc o jego oślicy. Ale najgroźniejszymi prorokami, stróżami ludu, pasterzami, a nawet ojcami całych narodów, są przywódcy polityczni i religijni, którzy nie biorą na ramiona żadnych owiec, ani swoich, ani obcych, za to skutecznie je wykorzystują do ostatniej kropli potu i krwi. Dlatego trzeba swego pasterza, kimkolwiek jest, obwąchiwać, jak mówi Franciszek, i patrzeć, jak on, zwłaszcza po zmierzchu, owieczki traktuje.

Z nieukrywaną dumą my pasterze i co sprytniejsi politycy ogłaszają wszem i wobec, że jesteśmy ludem Boga, oddanym w „słodką niewolę" Królowej Polski Maryi, poświęconym jej Niepokalanemu Sercu. Z dumą też przypominamy, że dzięki nam słowo „solidarność" weszło do słownika politycznego. Mamy też zastępy wszechmocnych specjalistów od diabłów i zbrojne hufce rycerzy Maryi z mieczami oplecionymi różańcami. I tak zaciekle bronimy „nasz lud", że już nie pamiętamy, co w roku 1987 mówił ukochany nasz św. Jan Paweł: „W imię przyszłości człowieka i ludzkości trzeba było wypowiedzieć to słowo »solidarność«. Dziś płynie ono szeroką falą przez świat, który rozumie, że nie możemy żyć wedle zasady »wszyscy przeciw wszystkim«, ale tylko wedle zasady »wszyscy z wszystkimi«, »wszyscy dla wszystkich«". Płynie? U nas?

W połowie sierpnia, po zatonięciu następnej łodzi z uchodźcami w wodach Morza Śródziemnego, papież Franciszek mówił: „Z bólem i wstydem musimy powiedzieć, że od początku roku już prawie dwa tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci zginęło w tym morzu, próbując dostać się do Europy. To otwarta rana na naszym człowieczeństwie". Spokojnie, Ojcze Święty, na naszym katolickim człowieczeństwie takich ran nie ma, bo być nie może. My (i nasze władze) tylko bronimy naszego katolickiego narodu, właściwie Europy, przed nielegalnymi napastnikami i jesteśmy z tego dumni. Taka jest wola narodu. Spokojnie.

Moja babka Rozalia, słysząc te wywody, rzekłaby: „Wstydu nie mają ani Boga się nie boją". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Roztropna dziewica

Czytaliśmy ostatnio w Liturgii ponownie Jezusową przypowieść o dziesięciu pannach, z których pięć było roztropnych, a pięć nie (Mt 25, 1-13). Ponownie, gdyż niespełna miesiąc temu odczytywaliśmy ją również w liturgiczne święto św. Teresy Benedykty od Krzyża (Edyty Stein). Właśnie ta aplikacja – próba przeczytania tą przypowieścią życia Edyty – pozwala też od nowa (nieco inaczej?) zrozumieć samą przypowieść.

Punktem krytycznym historii opisanej w przypowieści jest niewątpliwie stwierdzenie: „Gdy się pan młody opóźniał, senność ogarnęła wszystkich" (w. 5).

Kiedy mamy poczucie, że nasz Pan się „spóźnia" – że opóźnia swoje przyjście?

Otóż niewątpliwie najbardziej wtedy, gdy doświadczamy momentów rozpanoszonego, przerażającego i przedłużającego się zła. Gdy jesteśmy skonfrontowani ze złem takim, z jakim musiała się zmierzyć Edyta: najpierw z wojną, a następnie z antysemityzmem i Zagładą. Kiedy widzisz trwające i nasilające się, triumfujące zło, wtedy masz pokusę pytać: gdzie jest Bóg? Czy nie powinien interweniować? Natychmiast! Dzisiaj! Albo lepiej: dziesięć lat temu! Czy nie powinien zapobiec dopiero rozwijającemu się w zalążku złu? Gdzie jest? Czemu nie nadchodzi? Dlaczego nie działa? Za chwilę będzie za późno.

Przez próbę zwycięsko przechodzą panny roztropne (czy po prostu: mądre); problemem pozostałych nie było przecież to, że im zabrakło oliwy (to jedynie skutek) – prawdziwym ich problemem był brak roztropności/mądrości.

Czy jest jakaś mądrość, która może nas przeprowadzić przez opisaną wyżej próbę „opóźniania się" Pana?

Św. Teresa Benedykta odpowiada: tak, jest. Jest nią „Wiedza Krzyża". Jej ostatnia książka. Pisana do dnia aresztowania Edyty i jej siostry w holenderskim klasztorze w Echt, 2 sierpnia 1942 r. Z reguły mówi się o tej pracy: „przerwana" lub „niedokończona".

Czy rzeczywiście?

Dzieło składa się z trzech części: „Orędzie Krzyża", „Nauka Krzyża" i „Śladami Krzyża". Otwierając ostatnią część autorka pisze, iż wiedzy Krzyża nie da się sprowadzić do „czysto intelektualnego poznania". Jej punktem dojścia jest „miłość do Krzyża", a właściwie tak naprawdę „miłość do Ukrzyżowanego". Taką wiedzę Krzyża zaczęła – po wnikliwych analizach tekstów św. Jana od Krzyża w dwóch pierwszych częściach pracy – wydobywać z jego życia, postaw i działania. Nie dokończyła pisania. Lecz czy nie dokończyła dzieła?

Dokończyła. 9 sierpnia 1942 r. W Auschwitz-Birkenau. ©

Poznajcie Ducha, który dał samego siebie ludziom, aby każdego dnia przyjmowali od niego życie – bo ma życie w sobie i daje je wszystkim.

NOEMA

Nie masz władzy nad życiem, które w tobie płynie.

LIE ZI

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (10 – 17 IX)

23. niedziela zwykła: Ez 33, 7-9; Ps 95; Rz 13, 8-10; Mt 18, 15-20;
Poniedziałek: Kol 1, 24 – 2, 3; Ps 62; Łk 6, 6-11;
Wtorek: Kol 2, 6-15; Ps 145; Łk 6, 12-19;
Środa: Kol 3, 1-11; Ps 145; Łk 6, 20-26;
Czwartek: Lb 21, 4b-9 lub Flp 2, 6-11; Ps 78; J 3, 13-17;
Piątek: Hbr 5, 7-9; Ps 31; J 19, 25-27 lub Łk 2, 33-35;
Sobota: 1 Tym 1, 15-17; Ps 113; Łk 6, 43-49;
24. niedziela zwykła: Syr 27, 30 – 28, 7; Ps 103; Rz 14, 7-9; Mt 18, 21-35.

WSZYSTKIE „ALE” DONALDA TUSKA

Nie nadstawiać drugiego policzka, ale publicznie oddać, mieć determinację, spryt i sięgać po fortele. Tak lider opozycji szuka 10 milionów głosów, by pokonać PiS.

JACEK GĄDEK

Jest jeden Donald, który za dobre wynagradza, a za złe karze. I to on decyduje, co jest dobre, a co złe – mówi „Tygodnikowi” niby śmiejąc się, ale jednak na serio, polityk bywający w gabinecie lidera Platformy Obywatelskiej.

W co naprawdę wierzy Tusk w polityce? – W siebie. Jest bezwzględny, ale dzisiaj to jest dobra cecha, i dlatego Donald ma szansę wygrać wybory – dodaje. Kolejny rozmówca z jego bliskiego otoczenia, pytany o największy atut szefa PO, mówi: – Naprawdę chce wygrać. Skończył się czas estetycznych i grzecznych porażek.

W PO podkreślają: ich lider haruje „jakby pochodził od innej małpy niż reszta ludzi”, ale zarazem jeszcze bardziej zaczął dbać o swoje zdrowie. Ograniczył nawet palenie cygar, które tak lubi. Robi to, bo znów chce zostać premierem. Ale nie na cztery lata, tylko – jak sam kalkuluje – na raptem 100, może 400 dni. Tyle ma mu wystarczyć, by wbić osinowy kołek w państwo PiS. Czyli – według niego – w czyste zło. Zło bez żadnego „ale”.

Wolność, ale nie symetryzm

Pasja. Furia. Wściekłość. Zdecydowanie. Gdy Donald Tusk słyszy słowo „ale”, tężeje. „To słynne »ale«. Wiecie, że tak naprawdę to, co jest przed »ale«, się nie liczy. Każdy, kto w debacie publicznej wciska na siłę to słowo »ale«: »może PiS jest zły, ale parę rzeczy...«” – wściekał się, nie kończąc zdania podczas przemówienia w 2021 r., gdy na powrót przejmował pogrążoną w kryzysie Platformę. „Jak ja to słyszę, to dostaję furii. Bo to zło, które czyni PiS, jest tak ewidentne, bezwstydne, permanentne” – dodawał.

Sam Tusk jest jednak pełen własnych „ale”, które wcale nie unieważniają tego, co przed spójnikiem.

„Ale” jest dla Tuska symbolem znienawidzonego symetryzmu. Mówi o tym rzekomym zjawisku językiem tygodnika „Polityka” i Tomasza Lisa, definiując je jako równy dystans do sensu i bezsensu, do dobra i zła. Tusk stał się w tej kwestii wręcz obcesowy wobec dziennikarzy. W rozmowie z lokalnym portalem „Zawsze Pomorze” karcił prowadzących, gdy napomknęli o słynnych „ośmiorniczkach”. „To jest jedno z moich głównych zadań w tej chwili w polskim życiu publicznym: przerwać falę symetryzmu, jaka pojawiła się kilka lat temu”.

Owoce morza pałaszowane przez VIP-ów w czasach rządów PO w drogiej restauracji to faktycznie zarzut błahy, ale utuczony do rangi symbolu. Tyle że rządom PO można wypomnieć sto innych, poważniejszych rzeczy i tyleż razy usłyszeć w odpowiedzi zarzut o symetryzowanie, a w efekcie działanie na rzecz PiS. Tusk od mediów oczekuje wręcz lojalności, gdyż w jego narracji Polska w 2023 r. jest nowym PRL-em – dlatego media pragnące prawdziwie wolnej Polski nie powinny czepiać się opozycji, ale tak jak kiedyś wspierać Solidarność. I skupić się na walce z PiS.

Tusk ma alergię na wytykanie potknięć i dawnych grzechów. Ale można zrozumieć dlaczego: jest najbardziej hejtowanym politykiem w mediach. TVP codziennie czyni z niego Niemca, polakożercę, agenta Kremla i Berlina – a to rodzi realne ryzyko dla bezpieczeństwa jego i rodziny. Według lidera PO nikt, nawet przed rokiem 1989, nie był tak brutalnie niszczony przez państwową telewizję.

Lider, ale partię wyjałowił

Wewnątrz Platformy Tusk zaprowadził na powrót swoje porządki. Jego władzy w partii nikt kwestiono-

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

wać nie próbuje. Politycy PO, ale tylko w nieoficjalnych rozmowach, mówią o obyczajach panujących dziś w partii: Tusk coś ogłasza i wszyscy biją brawo, nawet jeśli się nie cieszą. Tak było, gdy wszedł w alians z Michałem Kołodziejczakiem, zapominając mu słowa na swój temat: „Donald Tusk cofnął Polaków o kilka wieków", i uznając, że szansa na zawalczenie z PiS o wieś jest ważniejsza. Tak też było z zapowiedzią umieszczenia Romana Giertycha na liście Koalicji Obywatelskiej – decyzję podjął samodzielnie i niespodziewanie, a niektórzy skonsternowani politycy PO musieli w ostatniej chwili odwoływać swoje wywiady, byle uniknąć pytań o adwokata.

Dziś szczytową formą krytyki decyzji Tuska jest w jego obozie... siedzenie cicho. Inni w tym czasie wychwalają mądrość i odwagę lidera. Czasem autentycznie, czasem teatralnie. Współpracownik Tuska: – Nie boi się ubrudzić rączek. Jeśli Donald uzna, że coś go przybliża do wygranej, to się nie waha, ryzykuje. Unia Demokratyczna chciała być elegancka i gdzie teraz jest?

Za przygarnięciem uzależnionego od polityki Giertycha przemawiała – a to rzecz bardzo rzadka u lidera PO – osobista sympatia i wdzięczność. Mecenas był bowiem pełnomocnikiem procesowym samego Tuska oraz jego rodziny. Lider PO chciał go za to wciągnąć do parlamentu, choć nawet badania zamawiane przez jego sztab pokazywały, że Giertych na liście KO raczej zaszkodzi, niż pomoże. Dla Tuska istotniejsze jest jednak to, by Giertych – startując w tym samym okręgu co Kaczyński – psuł mu krew i prowokował.

Badania Platformy co innego mówiły o Kołodziejczaku – przemawiały za przygarnięciem szefa AgroUnii, choć to też był ryzykowny transfer. Jeden z rozmówców „Tygodnika", znający Tuska od lat, mówi wprost: – Donald wciągnął Kołodziejczaka, ale już teraz myśli, jak w przyszłości będzie wyglądał ich rozwód.

Tu wychodzi słabość, jaką Tusk obarczył kiedyś Platformę. Partia na serio nigdy nie zabiegała o poparcie wsi, choć mieszka na niej 40 proc. Polaków. Trzymający się w cieniu, ale bardzo wpływowy Artur Balazs, bez którego Kołodziejczak nie wszedłby w alians z Tuskiem, mówi tak: – Mam nadzieję, że osiem lat PO w opozycji jest dla Tuska lekcją pokory, którą odrobił i pochyli się nad niektórymi sprawami, w tym nad wsią i rolnictwem. Wcześniej nie bardzo chciał. ↦

Donald Tusk w Sejmie w dniu ogłoszenia przez opozycję Paktu Senackiego, Warszawa, 17 sierpnia 2023 r.

↦ Postępujące odseparowywanie Platformy od wsi widać po wynikach kolejnych wyborów. W 2011 r. PO na wsi zdobyła 27 proc. głosów, a w 2019 r. już tylko 17. Teraz partia chce tam złapać przyczółek – wjechać na wieś może nie na białym koniu, ale na plecach Kołodziejczaka. Bez odbicia choć części tego elektoratu nie da się rządzić całą Polską.

Decyzje o Giertychu i Kołodziejczaku nie wzbudziły entuzjazmu w Koalicji Obywatelskiej, ale nikt głośno nie zaprotestował. Bo sprzeciw wobec decyzji lidera to wyrok – nawet jeśli odroczony. Wszyscy wiedzą też, że bez Tuska nie ma Platformy. Gdy go nie było, PO stoczyła się w pewnym momencie do 12 proc. w sondażach i wróżono jej los Unii Wolności, czyli mumifikacja na kartach podręczników historii. Tyle że za ten kryzys odpowiada w sporej części sam Tusk, który wyjałowił swoją partię z silnych postaci. Wyjeżdżając w 2014 r. do Brukseli oddał tekę premiera Ewie Kopacz, która zwyczajnie nie miała zdolności, by ją udźwignąć, i autorytetu, by rządzić partią. Paradoksalnie, to zwalczany przez Tuska Grzegorz Schetyna odgruzowywał PO po klęsce wyborczej w 2015 r. Z kolei w Borysa Budkę zwątpili szybko nawet ci, którzy pomogli mu zostać (na krótko) przewodniczącym partii.

Jedynie Rafał Trzaskowski – prezydent Warszawy i wiceprzewodniczący PO – cieszy się popularnością, która mogłaby utrzymać na powierzchni Platformę bez Tuska. Kłopot z prezydentem Warszawy jest jednak taki, iż jest on człowiekiem od błyszczenia, zamiłowanym w polityce europejskiej i światowej, a nie od partyjnej orki.

Hejterzy źli, ale nie nasi

Tusk widzi, że naznaczona klęskami PO potrzebuje nowej energii, i wpuszcza ostrożnie świeżą krew w partyjne szeregi – np. Andrzeja Domańskiego, głównego ekonomistę Instytutu Obywatelskiego (think tanku PO) i autora pomysłu tzw. babciowego, którego chce koniecznie wprowadzić do Sejmu. W jego otoczeniu są też sprawny organizacyjnie Marcin Kierwiński jako sekretarz partii; Jan Grabiec – skarbnik, a wcześniej rzecznik; Agnieszka Rucińska – była czołowa dziennikarka polityczna Polskiego Radia; Wioletta Paprocka-Ślusarska – szefowa sztabu. Jest też posłanka Monika Wielichowska, która – jak się mówi w PO – dba o to, by Tusk nie wpadł w stare koleiny w kwestii praw kobiet. Z kolei Paweł Graś – od lat przyboczny Tuska – został w Brukseli i tam jest jego oczami i uszami, czasami wpadając na Wiejską. To zaś rodzi w samej PO spekulacje, że Tusk po wygranej z PiS może celować w tekę szefa Komisji Europejskiej.

W jego obozie **szczytową formą krytyki decyzji Tuska jest siedzenie cicho.** Inni w tym czasie wychwalają mądrość i odwagę lidera.

Spośród starych druhów przy Tusku ostał się były premier Jan Krzysztof Bielecki, od lat jego przyjaciel i mentor, ale też konsultant polityczny. Bielecki swoją karierę już zrobił, niczego od Tuska nie chce, więc tym bardziej cieszy się jego zaufaniem. Na co dzień ważniejszy jest Bartłomiej Sienkiewicz, były szef MSW, analityk, poseł, dziś główny doradca Tuska. Istotny jest też Igor Ostachowicz – spec od PR-u.

Nasi rozmówcy z Platformy przekonują, że Tusk, choć decyzje podejmuje sam, to często rozmawia z doradcami, ochrzania w siedzibie partii, ale publicznie chwali. A na Twitterze (dziś X) – czego zrozumieć nie mogą nawet politycy PO – śledzi agresywne profile: „Hirka123", który deklaruje, że „zawsze i wszędzie PiS je... będzie", a także „Ojca Tadeusza" i „Typowego Sebę", chwalącego się grafiką z Janem Pawłem II i hasłem „nie zesr... się". Są też Silni Razem – najbardziej radykalni wyznawcy Platformy, ku satysfakcji których gotów był upokorzyć znanego posła PO Sławomira Nitrasa za to, że nazwał mową nienawiści język jednego z hejterów sprzyjających Platformie. Tusk żądał też usunięcia z Campus Polska Przyszłości – imprezy organizowanej przez Rafała Trzaskowskiego, której pomysłodawcą jest Nitras – publicysty Grzegorza Sroczyńskiego, rzekomego naczelnego symetrysty Polski. Pod groźbą – uwaga – wyrzucenia Nitrasa z list PO do Sejmu.

Jednocześnie Tusk bierze publicznie w obronę Jana Pawła II i często go cytuje. W czasie wiecu w Legionowie mówił tak: „Nie lękajcie się. Przepraszam, że cytuję wielkiego Polaka, wielkiego papieża, ale te słowa (...) pasują wyjątkowo" – przekonywał, nawiązując do rządów PiS. Gotów był też do ataku na TVN za reportaż Marcina Gutowskiego „Franciszkańska 3" o postawie papieża wobec księży pedofilów w czasach, gdy Karol Wojtyła był arcybiskupem krakowskim. Mówił, że jest to „nieszczęsny" i „źle przygotowany" program, „budzący więcej emocji niż przynoszący informacji".

Aborcja tak, ale przemodlona

Szef PO osobiście jest dość konserwatywny, choćby w kwestii stosunku do aborcji. Kreuje się jednak na politycznego gwaranta legalizacji aborcji do 12. tygodnia ciąży. Podążył po prostu za elektoratem swojej partii i działaczkami Platformy, które – pod nieobecność Tuska w Polsce – doprowadziły do liberalizacji stanowiska PO. Skoro jego partia, a przede wszystkim jej elektorat w większości chce prawa do aborcji na żądanie, to Tusk nie może być przeciw.

Szef Platformy argumentuje, że Prawo i Sprawiedliwość przez wyrok Trybunału Konstytucyjnego zanegowało „kompromis aborcyjny", którego on sam wcześniej bronił. Teraz nie ma już mowy o powrocie do rozwiązań z 1993 r., a działania PiS sprawiły, że wybór jest prosty: decyzję o aborcji podejmować może albo ksiądz z prokuratorem, albo kobieta, po konsultacjach lekarskich. Tusk opowiada się za drugą opcją. „Mam to głęboko przemyślane i w jakimś sensie mógłbym powiedzieć, że przemodlone" – stwierdził na jednym ze spotkań wyborczych.

Brzmi to paradoksalnie, ale Tusk idzie dalej. Smaga Kościół katolicki, który według niego ma „obsesję na punkcie aborcji", i powołuje się przy tym na brak w Biblii jasnych ocen usuwania ciąży. Wchodzi wręcz w buty kaznodziei: „Chcesz przestrzegać dekalogu? Wierzysz w fundamentalne zasady chrześcijaństwa? Rozumiesz Jezusa Chrystusa? To nie możesz głosować na PiS".

W kwestii prawnego sankcjonowania aborcji Tusk przeszedł długą drogę. Przez 20 lat szczycił się tym, że w sprawach światopoglądowych w Platformie nie ma dyscypliny, a każdy może się odwoływać do własnego sumienia. Z tym już koniec. Niespodziewanie ogłosił rok temu, że nie

PAWEŁ SUPERNAK / PAP

Na czele Marszu 4 Czerwca. Warszawa, 4 czerwca 2023 r.

umieści na listach wyborczych nikogo, kto by nie chciał zagłosować za legalizacją aborcji do 12. tygodnia ciąży. Obiecał to „bezwzględnie egzekwować". Wymusił nawet na Giertychu ślubowanie, że ten podda się dyscyplinie w głosowaniu nad ustawą legalizującą aborcję – to przepustka adwokata na listy PO.

Tusk jako premier z lat 2007-14 i jako pretendent do teki premiera w 2023 r. – o aborcji opowiadają różnymi językami. 11 lat temu w Polskim Radiu mówił: „Źle bym się czuł wśród ludzi, którzy robią aborcję na życzenie z każdego względu społecznego. (...) Jeśli warunki będą takie, że każdy będzie mógł przerywać ciążę właśnie na życzenie, to możemy wrócić do tego złego okresu, tak było w Związku Sowieckim, tak było w PRL-u".

Dziś na spotkaniach z wyborczyniami, gdy padają pytania o tę kwestię, wspina się na wyżyny swoich retorycznych zdolności, byle stać się wiarygodnym w oczach liberalnego kobiecego elektoratu. Przekonuje, że do zmiany stanowiska doszedł, obserwując czarne marsze i rozmawiając z córką oraz żoną.

Nie programy, ale emocje

Nie ma w Polsce drugiego polityka tak doskonale grającego na emocjach jak Tusk. A to one są niezbędnym kluczem do wygrywania. Swój pogląd wyłożył dwa lata temu w „Polityce": „Nie umiesz działać na emocjach w polityce, to daj sobie spokój z marzeniami o zwycięstwie".

Mówił wtedy głównie o własnych emocjach, ale oczywiste jest, że chodziło mu też o umiejętność kreowania ich u wyborców. Tusk jest w tym wirtuozem, zwłaszcza jeśli wierzy w zwycięstwo. Nie katuje przy tym otoczenia swymi wizjami, z którymi – jak mawia – trzeba iść do lekarza. Nie nadstawiać drugiego policzka, ale publicznie oddać, mieć determinację, spryt i sięgać po fortele – to jest doktryna Tuska, który lubi się powoływać na Lecha Wałęsę. Brzmi jak oczywistość, ale PO długo po nią nie sięgała. Tusk więc z lekkim szyderstwem mówi o dorobku PO z czasu, gdy nie było go u sterów partii. Drwi, że jest on imponujący, ale nikogo nie obchodzi, skoro sama partia miała opuszczone ręce i zwieszone głowy. Według Tuska wybory wygrywa człowiek, a nie program. Stara się więc kanalizować społeczne emocje. Tak było w przypadku sprawy pani Joanny z Krakowa czy historii zamordowanego ośmioletniego Kamila, skatowanego przez ojczyma. „Wszystko w Polsce od kilku lat jest postawione na głowie. Królami życia są ci, którzy chleją, biją swoje dzieci, biją kobiety i pracą się nie zhańbili od wielu lat. Wymarzona polityczna klientela dla władzy" – mówił.

Nawet w samej KO łapano się za głowy na te słowa. Mistrz gry na emocjach przeszarżował. Musiał potem łagodzić przekaz o chlaniu – zaczął mówić o ludziach „błądzących, bo będących ofiarami PiS-owskiej propagandy".

Progresywny, ale tradycyjnie

Tusk jako szef Rady Europejskiej nasiąknął problemami dzisiejszego świata. Prawi o katastrofie klimatycznej, stara się mówić bardziej inkluzywnym językiem, a zarazem wie, że zbyt szybki marsz do przodu to przepis na wyborczą klęskę.

Lapidarnie ujął to w książce „Wybór", przekonując, że ludzie chcą poczucia stabilności i bezpieczeństwa. „Bezpieczeństwo mieszka bliżej tradycji niż postępu" – podkreślił i dał przykład: „Prawdopodobnie Rafał Trzaskowski nie wygrał, bo dla jakiejś istotnej grupy wyborców proponował zbyt szybki marsz do przodu, gdy tymczasem oni woleli się identyfikować z czymś, co jest im bardziej znane i akceptowalne".

Trzaskowski podpisał warszawską Kartę LGBT+. Wyborczo był to strzał w prawą stopę. Tusk tymczasem nie chce nosić takich stygmatów mniejszości. Mówi „nie" małżeństwom jednopłciowym. Poprzestaje na obietnicy, że wprowadzi związki partnerskie, co często budzi wesołość, bo będąc u władzy też to obiecywał – kilkanaście lat temu.

Szuka narracji akceptowalnych dla większości. Powołuje się np. na prezydenta USA Bidena, który zwyciężył Trumpa – twierdzi, że chce pokonać polską wersję trumpizmu. „Biden niejako unieważnił pojedyncze, mniejszościowe, często bardzo progresywne narracje i zamienił je na bardziej wspólnotową, ogólnoamerykańską melodię" – mówił w „Wyborze". I on też tak chce. Pisze: „w naszym życiu kluczowe są emocje i ich nośnik: obraz oraz najprostsza informacja". Widać to było jak w soczewce 4 czerwca.

Wielki marsz opozycji był szczytową egzemplifikacją tej idei. Gigantyczny tłum czujący swoją siłę i Tusk – w tradycyjnie białej koszuli, z serduszkiem naklejonym na piersi, najpowszechniejszym symbolem dobra, w dodatku w narodowych barwach. Mówił, że jesteśmy tu nie tylko dla siebie, ale z miłości dla naszych dzieci i wnuków. Świetnie grał wtedy na emocjach: „Mógłbym przeczytać to, co wzruszyło mnie, kiedy zaczynaliśmy ten wielki marsz, a widziałem kilka plansz, gdzie napisaliście: »Robię to dla mojej Agusi i Michałka«. Ktoś inny napisał: »Robię to dla moich wnuczek i wnucząt«. Ja też jestem dzisiaj z wami i będę każdego dnia, noc i dzień, do dnia wyborów, wszędzie z wami, tam, gdzie będziemy bili się o wolną Polskę, o lepszą przyszłość dla Polaków. Będę cały czas pamiętał, że robię to dla waszych Aguś, dla waszych Michałków, dla mojej Lilki".

Wygłosił mowę patetyczną, składał ślubowanie ludowi, że pokona PiS, czyli zło, i pojedna Polaków. Było to najlepsze ↦

↦ kampanijne przemówienie Tuska w karierze. Pozował na ojca narodu, który jest politykiem z miłości. Ale co wynikło z tego kazania na placu Zamkowym? PO poszybowała powyżej 30 proc. poparcia w sondażach, by potem opaść. Urobek dla samej Platformy był istotny, ale opozycji nie przybliżał do przejęcia władzy – PO podebrała bowiem elektorat, ale swoim ewentualnym koalicjantom, nie PiS-owi.

Granice święte, ale są wybory

Lider PO bywa też niekonsekwentny. Czasem się na tym potyka – choćby w tak ważnej sprawie, jak wspomniane już bezpieczeństwo. Jednym z jego kluczowych elementów jest szczelna granica państwa z Białorusią i Rosją. Obawy przed jej przełamywaniem i napływem kulturowo obcych migrantów są realne – to lęk milionów Polaków.

Sięgnijmy znów do „Wyboru". Tusk mówi w książce o „wielkich, masowych lękach" i podkreśla, że to właśnie „migracje i migranci odgrywają w nich kluczową rolę". „Oni uosabiają wszystko to, czego najbardziej się boimy w XXI wieku" – dodawał. Wedle Tuska wywoływanie tematu migrantów sprawia, że „na końcu ujawniają się wszystkie uprzedzenia, rasowe i religijne, dotąd głęboko schowane, lecz przecież wciąż żywe". „I stają się znowu piekielnie efektywnym paliwem politycznym" – podkreślał.

W tym kontekście zadziwiające jest to, że Tusk pokusił się o drwiny z PiS-u, gdy ten chciał stawiać mur na granicy z Białorusią. Budowę można oceniać w najróżniejszych kategoriach, w tych moralnych jest to sytuacja wyjątkowo trudna do zniesienia. Ale politycznie był to ruch przysparzający PiS-owi popularności. Zresztą, budowa zapór na granicy to nie polski wymysł: Litwa i Finlandia też je wznoszą.

Na granicy z Białorusią płot wysoki na ponad pięć metrów powstał, choć Tusk prorokował, że PiS chce jedynie rozgrabić pieniądze. Nowogrodzka dołączyła więc prowokacyjnie do planowanego w dniu wyborów referendum pytanie o jego rozbiórkę. PiS eksploatuje swój wizerunek jako twardej władzy dotrzymującej słowa, Tusk natomiast potknął się o barierę tak, jakby nie czytał własnej – przenikliwej – książki. Pozostało mu przekonywać, że wcale nie mówił, iż mur nie powstanie. Ba, teraz nawet sugeruje, że sam postawiłby mur naprawdę szczelny. Mówiąc o imigrantach sięga czasem niemal po język Konfederacji. Odzyskać wiarygodność na tym polu będzie mu jednak trudno.

Tych wszystkich „ale" znaleźlibyśmy w Tusku więcej. Jest najpoważniejszym politykiem na opozycji, ale czasami wchodzi w rolę błazna – gdy nagrywa filmiki na TikToka, bo taki jest według niego wymóg tej kampanii. Chroni prywatność swojej rodziny, ale momentami jest też ekshibicjonistyczny, bo nic tak nie ociepla wizerunku jak zdjęcie z wnuczkami całującymi go w policzki. Jest liberalnym politykiem, który będąc premierem uczył nas zaciskania pasa, ale teraz stał się wielkim populistą. Ciągnie się za nim wizerunek człowieka wygodnego, a nawet lenia (jako premier często latał do rodzinnego Gdańska), jednak w tej kampanii gryzie trawę i niezmordowanie jeździ po kraju.

Licytując się z PiS na nieoprocentowane kredyty i szybszą datę wprowadzenia 800 plus, jednocześnie Tusk jakby odmawiał ludziom prawa do mówienia, że Kaczyński cokolwiek dla nich dobrego zrobił. 500 plus, niższy wiek emerytalny, rosnąca płaca minimalna, likwidacja użytkowania wieczystego, kontynuowanie budowy dróg – szeregowi wyborcy mogą wymieniać najróżniejsze rzeczy, jednocześnie mając świadomość, że PiS zdruzgotał sądownictwo i instytucje państwa oraz na potęgę wysysa spółki Skarbu Państwa.

Wedle Tuska dzisiejszy wybór jest między dobrem i złem. Kropka. Taką manichejską narracją sam porzuca część elektoratu środka, zwłaszcza tych (sięgając znów do słowa, które jest w ustach Tuska obelgą) symetryzujących, mówiących, że „PiS jest zły, ale...". Jakby nie rozumiał, że najcenniejsi dla opozycji wyborcy to ci niezdecydowani i wycofani, których jest być może nawet kilkanaście procent. Emocji tych wyborców Tusk nie umie lub na tym etapie kampanii nie chce jeszcze przechwycić – woli ich radykalizować. Chce, by to inni przyznali, choćby niemo: byliśmy głusi i głupi, bo śmieliśmy mówić „ale".

© JACEK GĄDEK

Autor jest dziennikarzem Gazeta.pl

Bezrobocie: o co jest ten spór

STEFAN SĘKOWSKI

Mamy dziś najlepszą sytuację na rynku pracy od 1989 roku, a jednak wielu Polaków nie może znaleźć zatrudnienia za godne stawki. Coraz więcej z nas robi to na czarno.

W lipcu rejestrowane przez urzędy pracy bezrobocie spadło do nienotowanych wcześniej 5 proc., a według prowadzonego przez GUS Badania Aktywności Ekonomicznej Ludności – wręcz do 2,6 proc. W I kwartale tego roku w Polsce pracowało 16 mln 852 tys. osób, i to też jest rekord. W drugim kwartale liczba ta co prawda spadła, ale ledwie o 2 tys. Aktywnych jest 80,8 proc. Polaków w wieku produkcyjnym, a jeśli chodzi o osoby w przedziale 15-89 lat, odsetek ten wzrósł w tym roku do ponad 58 proc., co również jest najlepszym wynikiem w historii. Niestety, nadal nie każdy, kto chce pracować, może znaleźć zatrudnienie, i coraz więcej osób robi to na czarno, także z powodu niskich płac. Jednak w trwającej kampanii politycy zamiast zająć się tymi istotnymi problemami, dyskutują, za czyich rządów znikające dziś bezrobocie było najwyższe.

PO wygrała niedawno proces w trybie wyborczym z PiS, który w swoim spocie umieścił informację o bezrobociu mającym za rządów Donalda Tuska rzekomo wynosić 15 proc. Decyzją sądu partia władzy musiała sprostować tę informację i zgodnie z prawdą głosić, że za Tuska bez pracy pozostawało... 14,4 proc. Polaków.

Też wciąż dużo i chluby rządowi PO-PSL nie przynosi. Dlatego politycy Platformy przypomnieli, że za rządów

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Remont peronów na dworcu Warszawa Zachodnia. Warszawa, 19 lipca 2023 r.

PiS, na początku 2006 r. bezrobocie wynosiło aż 18 proc. Działacze Lewicy przezornie nie wchodzą w tym temacie w polemiki, bo a nuż ktoś przypomni, że za Leszka Millera bezrobocie sięgało 20 proc. Choć z drugiej strony mogliby się pochwalić, że przed 1989 r. w Polsce oficjalnie żadnego bezrobocia nie było.

Wiele pominiętych przyczyn

Na temat tego sporu można sobie żartować, uznając go nawet za kabaretowy, ale jednocześnie zaciemnia on naszą rzeczywistość, bo nie uwzględnia kontekstu omawianych czasów. Pierwsze dwucyfrowe bezrobocie w Polsce pojawiło się w 1991 r. i było związane z recesją transformacyjną, rewolucją w gospodarce likwidującą m.in. wiele pozornych etatów oraz drastyczną walką z inflacją. Kolejny kryzys poturbował rynek pracy pod koniec 1998 r., po dwóch kryzysach finansowych – dalekowschodnim i rosyjskim. Rządowi Leszka Millera z kolei walczyć z bezrobociem nie pomagało spowolnienie w krajach UE i USA w latach 2000-01.

Pierwszy rząd PiS, który odziedziczył poważny problem po poprzednikach, dawał sobie z nim radę naprawdę dobrze. Tyle że było to związane ze światową prosperity, wchodzeniem na rynek pokolenia wykształconych młodych ludzi, a także z otwarciem części ówczesnych państw zachodnich (głównie Wielkiej Brytanii i Irlandii) na naszych pracowników po wejściu Polski do UE. Połączenie tych czynników z polityką ówczesnego rządu, który dążył do pobudzenia gospodarki choćby poprzez obniżki podatków, doprowadziło do szybkiego spadku bezrobocia w latach 2005-07 do nieco ponad 11 proc.

Od 2009 r. bezrobocie znowu rosło, ale nie z powodu złośliwości czy nieuctwa rządzącego wtedy Tuska, ale w dużej mierze ze względu na trwający wówczas głęboki kryzys, który w całej Unii zwiększył odsetek osób bez zatrudnienia. Sytuacja zaczęła się zmieniać na początku 2013 r., i kiedy w 2015 r. bezrobocie spadło do poziomu jednocyfrowego – do władzy doszedł znowu PiS.

Żonglowanie statystykami

Wskaźnik spada do dziś, a sukces ten ma wielu ojców. Nawet jeśli przyznamy, że politycy swymi decyzjami wpływają na koniunkturę, trzeba mieć świadomość, jak bardzo zależna jest polska gospodarka od trendów globalnych, ale i tych krajowych, wśród których prym wiedzie demografia.

W latach 2015-22 liczba pracujących wzrosła o 900 tys. (z 15,9 mln do 16,8 mln), jednak w tym samym okresie liczba wszystkich osób w wieku produkcyjnym zmalała o 1,8 mln, z 24 mln (62,4 proc. ludności) do 22,2 mln (58,7 proc.). Oznacza to, że dający nadzieję rosnący odsetek osób aktywnych zawodowo jest częściowo efektem starzenia się społeczeństwa, przechodzenia coraz większej liczby osób na emeryturę (zwłaszcza po obniżeniu wieku emerytalnego przez PiS) oraz mniejszego zastrzyku świeżej krwi, związanego z niżem demograficznym.

Do prowadzonych na rynku pracy statystyk można mieć zresztą kolejne zastrzeżenia, choćby dlatego, że w Polsce operuje się dwoma wskaźnikami. Ten główny ukazuje odsetek bezrobotnych zarejestrowanych w urzędach pracy, jednak więcej o rzeczywistej sytuacji pracowników mówi nam Badanie Aktywności Ekonomicznej Ludności (BAEL), które opiera się na analizach ankietowych. Stosuje ono bardzo ekskluzywną definicję bezrobocia, bo żeby zostać w nim zakwalifikowanym jako bezrobotny, należy spełniać trzy kryteria: nie mieć pracy, być gotowym do jej podjęcia i aktywnie jej szukać. Za osobę pracującą traktuje się zaś taką, która przepracowała zarobkowo w tygodniu przed badaniem przynajmniej godzinę (zalicza się tu osoby na urlopie i L4). To z kolei bardzo inkluzywna definicja.

Wady obu metod ukazały się w pełni w trakcie pandemii. Prawdopodobnie mieliśmy wówczas w oficjalnych statystykach zaniżony poziom bezrobocia. Wiele osób pozostających bez pracy, ale gotowych ją podjąć, nie mogło jej szukać, ponieważ zgodnie z wytycznymi państwa siedziało w domach. Nie liczyły się więc jako bezrobotne. Jak wynika z pogłębionego badania „Diagnoza Plus", przeprowadzanego wtedy przez naukowców z Uniwersytetu Warszawskiego, grupy ↦

↦ badawczej GRAPE i Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych, w kwietniu 2020 r. bezrobocie mogło wynieść 6,1 proc., a z ludźmi nieposzukującymi zatrudnienia aż 10,3 proc., choć w tym samym czasie oficjalne badanie BAEL wskazywało na 3,2 proc. Wskaźnik ten w „Diagnozie Plus" malał wraz z luzowaniem restrykcji i spadkiem zachorowań, ale ostatnie dane wciąż były wyższe niż te oficjalne. I nadal nie możemy mieć pewności, że sytuacja wróciła do równowagi.

Kto jest pracownikiem?

Problemy są także z definicją osoby pracującej. Jest nią zarówno ten, kto zarabia dorywczo przez kilka godzin tygodniowo, jak i osoba pracująca na pełen etat. Jak twierdzi dr hab. Iga Magda ze Szkoły Głównej Handlowej oraz Instytutu Badań Strukturalnych, w świetle analiz BAEL ok. 4 mln osób pracuje mniej, niżby chciało, albo nie pracuje wcale, choć nie łapią się do kategorii bezrobotnych.

– To osoby, które pracują w niższym zakresie czasu, niżby pragnęły, albo takie, które nie szukają aktywnie pracy, lecz deklarują, że gdyby ją im zaproponować, toby się jej podjęły. To także osoby szukające pracy, ale niegotowe do jej podjęcia, czyli np. matki więcej niż jednego dziecka, które nie mają możliwości znalezienia elastycznej pracy albo takiej w mniejszym zakresie czasowym czy osoby w wieku emerytalnym. To również osoby z niepełnosprawnością, które z licznych powodów nie mogą pracować, mieszkańcy mniejszych miejscowości nieznajdujący zatrudnienia w okolicy, oraz młode osoby, które zniechęcone wielomiesięcznymi poszukiwaniami, zaprzestały ich w końcu – tłumaczy „Tygodnikowi".

Jedną z najpoważniejszych bolączek jest to, że w świetle danych GUS szukamy pracy w Polsce średnio aż 7,5 miesiąca (dane za II kwartał 2023 r.). Z tym że zupełnie inaczej wygląda to w dużym mieście, a zupełnie inaczej w małym, gdzie przedsiębiorstw jest niedużo. Często też poszukiwanie zatrudnienia odbywa się po partyzancku. Jak wskazuje prof. Joanna Tyrowicz w odcinku podkastu „Kultury Liberalnej" pt. „Koniec bezrobocia w Polsce?", do urzędów pracy trafia ledwie 10-12 proc. ofert. Wiele urzędów nie stara się (albo nie umie) aktywnie łączyć ze sobą pracodawców i pracowników. Reszta trafia do niezbyt rozwiniętych w Polsce portali z ofertami czy do mediów lokalnych, które ze swej istoty dysponują propozycjami z najbliższej okolicy. Brak fachowego pośrednictwa, zarówno prywatnego, jak i publicznego, szkodzi i bezrobotnym, i pracodawcom.

Niskie bezrobocie ma wielu politycznych ojców.
Wszyscy zapominają, jak bardzo zależni jesteśmy od globalnych trendów i demografii.

Ci, którzy pracę mają, narzekają często na zarobki. W efekcie rośnie u nas odsetek „gniazdowników", czyli osób w wieku 25-34 lata, które nie założyły własnej rodziny i mieszkają z rodzicami albo po okresie nieudanej samodzielności wróciły do nich. W 2022 r. odsetek ten wyniósł (według GUS) 51 proc., a to najwięcej od dekady. Wpływ miały na to z pewnością pandemia i niepewność związana z wojną, ale dziś ważniejsze jest to, że w ostatnich latach wzrosły mocno ceny mieszkań; utrudniono też dostęp do kredytów z powodu gwałtownie wzrastających stóp procentowych. Jednak z opracowania GUS „Pokolenie gniazdowników w Polsce" z 2021 r. wynika, że najczęstszym powodem zamieszkiwania z rodzicami, często frustrującego, są niskie dochody.

Rewers płacy minimalnej

Młodzi ludzie zarabiają mniej także dlatego, że są na początku kariery i brakuje im jeszcze odpowiedniego doświadczenia i umiejętności. Rządzący w pewnym stopniu starają się zaradzić niskim wynagrodzeniom podwyżkami płacy minimalnej, która za rządów PiS wzrosła z 1750 zł brutto do 3600 brutto.

Działanie władz przekłada się na wzrost innych płac w przedsiębiorstwach, a więc na zarobki nie tylko tych, którzy dostają najniższą krajową, ale także tych, których „dogania" płaca minimalna. Zdarza się też często, że wyższa pensja minimalna doprowadza do spłaszczenia wewnętrznych siatek płac, co obniża motywację do poszerzania kwalifikacji i awansu zawodowego.

W 2021 r. w Polsce za płacę minimalną pracowało 1,7 mln osób. Dziś jest to już 2,7 mln. Częściowo może być to także efekt omijania regulacji i rozrostu szarej strefy, szczególnie na rynkach, gdzie płace są niskie. Wzrost wynagrodzenia oznacza bowiem zgodnie z prawem również podwyżkę pozapłacowych kosztów pracy, takich jak podatki i składki. – Podwyżki związane ze wzrostem płacy minimalnej mogą być często załatwiane pod stołem. Pracownicy formalnie otrzymują najniższą krajową, ale część wynagrodzenia dostają oddzielnie – tłumaczy dr hab. Iga Magda.

Jak wynika ze „Sprawozdania z działalności Państwowej Inspekcji Pracy w 2022 roku", odsetek firm objętych kontrolą, w których stwierdzono nielegalną pracę zarobkową, wzrósł przez rok z 33 do 41,7 proc. Sama PIP wskazuje w raporcie, że „głównym powodem stosowania niedozwolonych praktyk są koszty związane z zatrudnianiem pracowników". Także z raportu „Przeciwdziałanie szarej strefie w latach 2012-2022", opracowanego przez UN Global Compact Network Poland, wynika, że w latach 2019-22 szara strefa (w tym zatrudnianie na czarno) wzrosła w Polsce z 13,6 do 20,7 proc. PKB.

Płacenie pod stołem ułatwia utrzymanie realnych, choć nie do końca legalnych miejsc pracy w sektorze prywatnym. Gorzej jest w tym publicznym, gdzie wszystko odbywa się zgodnie z prawem. Samorządowcy narzekają, że podwyżki płacy minimalnej prowadzące do spłaszczenia siatki płac, wypychają dobrych urzędników do sektora prywatnego. Podobne problemy są w edukacji. Obecnie minimalna płaca asystenta na uczelni wynosi pięć złotych powyżej płacy minimalnej, a nauczyciela początkowego w szkole – 90 zł powyżej. To zniechęca zdolnych ludzi do pracy w szkołach, a kolejne podwyżki (w przyszłym roku najniższa krajowa ma wynieść 4242 zł brutto), choć z pozoru potrzebne, mogą jeszcze bardziej napędzić szarą strefę i podnieść bezrobocie.

Dyskusję na temat osób bez pracy należy prowadzić, ale wcześniej zdecydowanie ją schłodzić. Zamiast w czasach mikrego bezrobocia kłócić się o stare dzieje, warto szukać rozwiązań w walce z licznymi patologiami rynku pracy. Niestety – nie mieści się to w logice obecnej kampanii.

© STEFAN SĘKOWSKI

Psycholog w każdej szkole

PATRYCJA ORŁOWSKA, PSYCHOLOŻKA:

W miastach jest nas więcej, ale szkoły są zwykle przepełnione i nawet magazyn na szczotki bywa rozdysponowany. W mniejszych miejscowościach gabinety są, ale stoją puste, bo brakuje specjalistów.

WOJTEK JARGIŁO / PAP

Uroczystość pasowania pierwszoklasistów w szkole podstawowej w Leścach, woj. lubelskie. 20 września 2021 r.

ANNA GOC: Uczniowie przychodzą sami?

PATRYCJA ORŁOWSKA: Przychodzą, choć zwykle nie są pewni, na jaką pomoc mogą liczyć. Do psychologa szkolnego z reguły trafiają tacy, którzy nie mogą znaleźć zrozumienia u rodziców lub innych bliskich dorosłych. Po pandemii obserwujemy, że dzieciom coraz trudniej nawiązać też relacje rówieśnicze. Do psychologa przychodzą nierzadko z obawami. Nie wiedzą, jakie konsekwencje może mieć taka rozmowa. Upewniają się, czy psycholog dochowa tajemnicy: nie opowie o ich sprawie wychowawcy albo nie wezwie rodziców. Decydują się na rozmowę, gdy już jest naprawdę źle.

Miałam uczennicę, która rozważała przyjście do mnie przez trzy lata. W końcu zrobiła to za namową przyjaciółki. Co by jednak było, gdyby mnie nie zastała? Czy podjęłaby jeszcze jedną próbę? Myślę, że nie. Pomysł szukania pomocy raczej by upadł.

Z raportu Fundacji GrowSpace wynika, że w 450 gminach nie ma ani jednego psychologa szkolnego. Z uwagi na ten problem dyrektorzy zostali zobowiązani przez Ministerstwo Edukacji i Nauki do zatrudnienia ich we wszystkich placówkach. Czy sytuacja zaczęła się zmieniać?

Rozwiązaniem miała być ubiegłoroczna nowelizacja Karty nauczyciela. Nowe przepisy zobowiązały dyrektorów szkół do zatrudnienia specjalistów – psychologów szkolnych, logopedów, pedagogów specjalnych – w każdej placówce. Ministerstwo Edukacji i Nauki podało także kalkulator zatrudnienia, zgodnie z którym psychologa szkolnego można zatrudnić już na kilka godzin w tygodniu, żeby spełnić ministerialne wymogi. To oznacza, że duża grupa psychologów szkolnych, aby uzyskać 22-godzinne pensum i pełen etat, musi pracować w kilku miejscach jednocześnie.

Pojawiło się nawet określenie „psycholog objazdowy".

Dołączyliśmy do grona nauczycieli, którzy by uzbierać godziny na cały etat, muszą kursować między placówkami. Dotąd dyrektorzy przyjmowali psychologów zwykle na pół etatu, łączyliśmy więc pracę w dwóch szkołach. Dzisiaj coraz więcej osób zaczyna pracować w trzech i więcej placówkach.

Jak zapewnić pomoc psychologiczną w ciągu czterech godzin w tygodniu, jeśli w jednej szkole jest nawet kilkaset dzieci?

Nie da się tego zrobić w sposób zgodny ze sztuką tego zawodu. Jeśli psycholog jest w szkole przez cztery godziny, a nawet przez osiem, jego czas jest już mocno wypełniony. Jedyne, co może wtedy zrobić, to starać się zapewnić pomoc dzieciom, które mają wskazania do uzyskania tego typu wsparcia – posiadają np. orzeczenie z poradni psychologiczno-pedagogicznej, gdzie zostały zdiagnozowane. Brakuje jednak czasu na spotkania z innymi dziećmi.

Nie ma go nawet w sytuacji kryzysowej?

Nie ma, bo psychologa, który jest zatrudniony na cztery godziny tygodniowo, najprawdopodobniej nie będzie, gdy na terenie szkoły wydarzy się sytuacja kryzysowa. Pusty gabinet psychologa to niestety dość częsta sytuacja, która wpływa też na to, jak jesteśmy postrzegani przez uczniów. Kiedy pytam uczniów, dlaczego do mnie nie przychodzą, czy jest coś, co powinnam zmienić, nad czym mogłabym w ich ocenie popracować, odpowiadają: „Ja bym może i przyszedł, ale pani ciągle nie było".

Zniechęcić może też to, że psycholog nierzadko dzieli gabinet z innym specjalistą, np. z pedagogiem lub ↦

logopedą. Trudno wtedy o intymną rozmowę. Na początku września dostajemy w Ogólnopolskim Związku Zawodowym Psychologów informacje o warunkach pracy psychologów szkolnych. Jeśli mają wspólny gabinet z pedagogiem, u którego uczeń tłumaczy się z wagarów, a do psychologa w tym samym czasie przychodzi inny uczeń, to ktoś musi wyjść.

Dokąd psycholog pójdzie z uczniem?

Będzie starał się nie odprawić dziecka z niczym, bo wie, że kolejny raz może się nie zdarzyć. Pójdzie na stołówkę, jeśli akurat będzie wolna. „Dzisiaj pracowałam na korytarzu" – takie wiadomości też dostajemy.

W miastach psychologów jest więcej, ale szkoły są zwykle przepełnione i nawet magazyn na szczotki bywa rozdysponowany. W mniejszych miejscowościach gabinety są, ale stoją puste, bo brakuje specjalistów.

Z raportu Fundacji GrowSpace dowiadujemy się również, że najgorsza sytuacja jest w województwie podkarpackim – specjalistów brakuje w ponad połowie szkół.

I nie zmieni tego zatrudnianie na ćwiartki etatu. Owszem, psycholog teoretycznie będzie w szkole, ale w praktyce będzie do niej wpadał na kilka godzin. Mała liczba godzin w placówce wywiera też presję na psychologach. Musimy podejmować trudne decyzje: czy mam przyjąć dziecko, które ma opinię z poradni, i z nim pracować regularnie, czy zostawić chociaż jedną godzinę w tygodniu dla uczniów, którzy być może mnie potrzebują, ale nie przychodzą, bo wiedzą, że jestem ciągle zajęta?

Jeśli psycholog ma w szkole cały etat, sytuacja się zmienia. Codziennie jest w gabinecie i uczniowie o tym wiedzą. Poza tym, że pracuje regularnie z niektórymi uczniami, ma też czas dla innych. Stałe spotkania z psychologiem powinny mieć plan, który realizowany jest wspólnie z uczniem, a czasem także z rodzicami. Najlepiej, jeśli udaje się spotykać raz w tygodniu.

Jednak szkoła nie jest miejscem, gdzie prowadzi się regularną psychoterapię dziecka.

W szkole nie ma miejsca na psychoterapię dla uczniów z zaburzeniami psychicznymi. Psycholog szkolny działa w ramach interwencji kryzysowej, prowadzi konsultacje i poradnictwo, psychoedukację, może korzystać też z muzykoterapii czy biblioterapii.

Dlaczego brakuje psychologów w szkołach, skoro psychologia to od lat jeden z najczęściej wybieranych przez maturzystów kierunków?

Absolwenci tuż po studiach, którzy zaczynają pracę w szkole, zarabiają tyle samo co początkujący nauczyciele. W 2023 r. pensja początkującego psychologa wynosiła 3690 złotych brutto, a płaca minimalna od 1 lipca tego roku to 3600 zł brutto.

Jeśli psycholog ma stopień nauczyciela dyplomowanego, zarabia 4555 zł brutto. Musi jednak pokonać tę samą ścieżkę awansu co nauczyciel. Czyli robić też rzeczy, które są niezgodne z jego kwalifikacjami i nie powinny być w zakresie jego obowiązków.

Na przykład?

Organizuje konkurs plastyczny, na szczęście może to być konkurs na temat zdrowia psychicznego. Albo jest odpowiedzialny za przygotowanie apelu – np. dotyczącego praw dziecka. Jest też oceniany przez dyrektora, jak każdy inny nauczyciel. Jako Ogólnopolski Związek Zawodowy Psychologów staramy się doprowadzić do zmian w przepisach, które pozwolą dostosować awans do rodzaju pracy, jaką wykonujemy.

Do szkoły wracają uczniowie po pobycie w szpitalu psychiatrycznym, także w trakcie leczenia psychiatrycznego. Czy istnieją procedury, które umożliwiłyby wsparcie tych uczniów i przygotowanie społeczności szkolnej?

To, czy procedury funkcjonują, zależy od placówki, ale bardzo często szkoła nie wie, że dziecko było w szpitalu, gdyż rodzice nie mają obowiązku informowania o tym wychowawcy. Nauczyciele i psycholog szkolny mogą więc nie mieć pojęcia, że dziecko było lub jest w kryzysie. Mogą też nie mieć informacji o podjętym leczeniu.

Czy takie procedury nie powinny istnieć, jeśli dziecko spędza w szkole połowę dnia?

Tu chodzi nie tyle o procedury, które są kolejnym dokumentem, ale o umiejętności osób pracujących z tym uczniem. Psycholog z doświadczeniem wie, że gdy uczeń wraca ze szpitala psychiatrycznego, powinniśmy go obserwować i być w gotowości do udzielenia mu wsparcia. Jego koledzy z klasy często wiedzą, co się wydarzyło, ale zdarza się też, że mają błędne informacje. Rozprzestrzenia się np. plotka, że uczennica próbowała popełnić samobójstwo, bo na półrocze z języka niemieckiego ma jedynkę. Tymczasem okazuje się, że źródło kryzysu jest gdzie indziej. Warto prostować takie informacje, bo one angażują też społeczność szkolną.

Dużą rolę odgrywają też wychowawca i inni nauczyciele. Psycholog powinien im przekazać, jak reagować na sytuacje, gdy np. dziecko ma atak paniki. Przygotować także klasę na to. Wszystko jednak zależy od tego, co wiemy i jakie procedury wypracuje dyrektor szkoły.

Jeśli dziecko posiada opinię od psychologa klinicznego, psychiatry albo psychoterapeuty, możemy temu dziecku pomóc.

A jeśli do sytuacji kryzysowej dochodzi w szkole?

Pracą szkoły zawiaduje dyrektor, który ma za zadanie zapewnić bezpieczeństwo dzieciom i młodzieży. Od jego wiedzy i umiejętności reagowania w takich sytuacjach zależy to, jak pora-

OGŁOSZENIE

KLUB TP Zielona Góra
KLUBTYGODNIKA.PL

ZIELONA GÓRA: W Klubie w Zielonej Górze stawiamy na dialog prowadzony z szacunkiem dla wielobarwnego świata, taki który uczy i rozwija, otwarty na odmienności. Przyjdź, włącz się do rozmowy.

Koordynatorka
Bożena Ostrowska
zielonagora@klubtygodnika.pl

Więcej informacji o Klubach „TP" na **klubtygodnika.pl**

jt STOWARZYSZENIE **IM. JERZEGO TUROWICZA**

dzimy sobie w szkole jako zespół i jaką pomoc otrzyma uczeń. Bezpośrednio po sytuacji kryzysowej procedury mówią o wezwaniu pogotowia, poinformowaniu rodziców, udzieleniu pierwszej pomocy przedmedycznej i zapewnieniu bezpieczeństwa. Następnie dyrektor powinien zwołać zespół i rozdzielić zadania – kto z grona pedagogicznego ma kontaktować się z rodzicami, kto przekazać informacje klasie. Trzeba też ustalić formy i metody pracy z uczniem po jego powrocie.

Kto jest zatrudniany na stanowisku psychologa szkolnego? Z informacji, które OPZZ podało kilka dni temu, wynika, że nie zawsze są to osoby z tytułem magistra psychologii.

Na podstawie danych uzyskanych z kuratoriów oświaty przygotowaliśmy raport na temat kwalifikacji osób zatrudnianych w tej roli. Są cztery grupy osób, które zajmują to stanowisko, choć ze względu na swoje kwalifikacje nie powinny. Pierwsza grupa to studenci psychologii. Druga – osoby z tytułem licencjata psychologii. Trzecia to nauczyciele z tytułem magistra na kierunku innym niż psychologia. Czwartą grupą są nauczyciele przedmiotów ogólnokształcących, którzy są absolwentami dwu- lub trzysemestralnych studiów podyplomowych związanych z psychologią.

Czasami biolog, który skończył studia podyplomowe z chemii, uczy obu przedmiotów. Jednak czymś zupełnie niezrozumiałym jest dopuszczanie do pracy w roli psychologa szkolnego katechety czy informatyka, którzy skończyli studia podyplomowe mające w nazwie „psychologię", np. „psychologia sportu" czy „psychologia rodziny". Takie sytuacje się zdarzają, a dyrektor formalnie wywiązuje się z ministerialnego obowiązku zatrudnienia specjalisty, nauczyciel zaś, który nie ma całego pensum, dostaje dodatkowe godziny.

ARCHIWUM PRYWATNE

PATRYCJA ORŁOWSKA jest psycholożką, koordynatorką Sekcji Oświaty przy Ogólnopolskim Związku Zawodowym Psychologów.

Psychologia nie jest jednak materiałem na studia podyplomowe, bo mówimy o zdrowiu psychicznym. Jeśli ktoś nie skończył studiów magisterskich na kierunku psychologia, nie będzie miał narzędzi diagnostycznych ani obowiązku przestrzegania zasad etyki zawodu, w tym tajemnicy zawodowej.

Ile osób bez tytułu magistra psychologii pracuje w szkołach?

W okresie od 1 września 2022 r. do 18 maja 2023 r. na stanowisku psychologa w szkołach i przedszkolach pracowało 350 osób bez odpowiednich kwalifikacji.

A ilu pracuje łącznie w szkołach?

MEiN na sierpniowej konferencji podało liczbę 9,1 tysiąca.

Wspomniała Pani, że szkoła przyciąga absolwentów psychologii. Dlaczego?

Tu najłatwiej o pracę. Poza tym, żeby pracować jako psycholog w szpitalu, trzeba przejść całą ścieżkę specjalizacyjną, która jest wymagająca i kosztowna. Żeby zostać psychoterapeutą, także trzeba zainwestować w dodatkowe szkolenia i kursy. Absolwenci często wybierają szkołę jako pierwsze miejsce pracy, bo chcą szlifować umiejętności. Jednak żeby pracować z dziećmi, trzeba mieć odpowiednie kompetencje i doświadczenie. Młodzi psychologowie nie zawsze wiedzą, co robić. Zdarza się, że o rozwiązania dopytują w grupach społecznościowych.

Po kilku latach, kiedy mają już doświadczenie, często odchodzą ze szkół. Mają kwalifikacje, które pozwalają prowadzić własny, dobrze prosperujący gabinet. Chcą też więcej zarabiać. A zapotrzebowanie na pomoc psychologiczną czy psychoterapię rośnie.

Co musiałoby się zmienić, by doświadczeni specjaliści zostawali w systemie oświaty?

Poza wyższą pensją i rezygnacją z konieczności przejścia tej samej ścieżki awansu, którą przechodzą nauczyciele, ważne byłoby uznanie psychologa za specjalistę w szkole. Jeśli on mówi, że potrzebuje testu na temat poziomu stresu ucznia, to pieniądze na ten test powinny się znaleźć. Jeśli twierdzi, że radzie pedagogicznej jest potrzebne szkolenie z komunikacji empatycznej, to takie szkolenie powinno zostać zorganizowane. Psycholog jest często jedyną osobą z rady pedagogicznej, która wie o czym mówi, gdy temat dotyczy zdrowia psychicznego i realnej pomocy uczniom w szkole. Jego zdanie powinno być w tym zakresie najważniejsze.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

KRAKÓW, czwartek 7 września
„List od Papieża Franciszka", pokaz filmu i dyskusja w ramach cyklu „Eko czwartek"
/ stacjonarne /

ŁÓDŹ, poniedziałek 11 września
„»Trudna diecezja« kardynała Rysia", spotkanie z Sebastianem Adamkiewiczem
/ stacjonarne /

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

TOMASZ

Stawiszyński:
Reguła możliwości

Istnieje na świecie mnóstwo niezwykłości, o których nikomu się nie śniło. Po prostu wraz z poszerzaniem się zasobu naszych informacji poszerza się także świadomość tego, co nieznane. „Im więcej wiesz, tym więcej pozostaje do poznania i wciąż tego przybywa" – zauważył F. Scott Fitzgerald w „Ostatnim z wielkich", swojej, *nomen omen*, ostatniej, niedokończonej powieści, i doprawdy trudno tę prawdę sformułować w sposób bardziej lapidarny. Pytanie zasadnicze brzmi jedynie: co jest większą zagadką? Sam fakt istnienia? Zastanawiająca okoliczność, że jest raczej coś niż nic? Czy może raczej przepastne otchłanie ludzkiego umysłu albo – jak kto woli – ludzkiej duszy? Przepastne otchłanie ludzkiej wyobraźni, motywacji, a także wprost z nich wynikające bogactwo praktyk, zachowań i działań, w które człowiek ochoczo się angażuje?

Przyznam, że nie mam jednoznacznej odpowiedzi. Zwykle skłaniam się ku przekonaniu, że obie te dziwności, obie te tajemnice to w istocie dwa wymiary tego samego. Bywa jednak czasami, że szala wyraźnie przechyla się w którymś kierunku. I tak np., kiedy jakiś czas temu NASA zaprezentowała zdjęcia kosmosu sprzed miliardów lat wykonane teleskopem Jamesa Webba – na prowadzenie wysunęła się w mojej głowie zagadkowa natura wszechświata. Kiedy jednak całkiem niedawno natrafiłem na twórczość pewnego brytyjskiego youtubera ukrywającego się pod pseudonimem BeardMeatsFood, palmę pierwszeństwa natychmiast przejęła niewiadoma ludzkiej *psyche*.

Długo zastanawiałem się nad tym, co BMF właściwie robi, bo zamierzałem przedstawić tutaj jakąś mniej lub bardziej rozbudowaną wykładnię jego aktywności. Przy czym on sam – czyli Adam Moran, przesympatyczny 38-latek z Wielkiej Brytanii, obdarzony tytułową brodą o imponujących rozmiarach (w przeciwieństwie do właściciela, co ma w tym kontekście istotne znaczenie) – jest tylko jednym z współtwórców zbiorowego, zataczającego współcześnie szerokie kręgi fenomenu. Chodzi mianowicie o jedzenie wyczynowe (ang. *competitive eating*) czy też jedzenie na czas.

Rzecz, oczywiście, nie jest nowa. Specjaliści doszukują się jej początków gdzieś w okolicach XVII wieku, kiedy to mieszkaniec hrabstwa Kent, niejaki Nicholas Wood – lokalny celebryta – ku uciesze gawiedzi zjadł publicznie całą owcę oraz siedem tuzinów królików (a był to dopiero początek jego olśniewającej kariery). Niemniej z całą pewnością, gdyby poszperać w historii, odnaleźlibyśmy wielu takich śmiałków znacznie wcześniej. Krótko mówiąc, praktyka ta towarzyszy ludzkości od dawna, ale – podobnie jak wiele innych osobliwości – dzięki rozwojowi technologii informacyjnych przeżywa w ostatnich latach intensywny rozkwit. Skądinąd z telewizji sam pamiętam podobne „turnieje" organizowane w Polsce w latach 90. ubiegłego wieku – zwłaszcza surrealistyczne doprawdy zawody w... jedzeniu golonki na czas (pobieżny research pokazuje, że inicjatywy te wciąż się u nas odbywają). Trzeba jednak powiedzieć, że wszyscy nasi ówcześni i teraźniejsi golonkowi mistrzowie razem wzięci – chyba że kogoś pomijam, wówczas, rzecz jasna, zwracam honor – nie zbliżają się nawet do aktualnych osiągnięć Adama Morana.

Moran bowiem w rekordowo krótkim czasie, dowcipkując przy tym i konwersując z realną i wirtualną widownią, pochłania zupełnie niemożliwe ilości jedzenia, a na koniec – to jego znak rozpoznawczy – prosi jeszcze o kartę deserów. Potem zaś udaje się do kolejnej knajpy. Bo też głównym tematem jego filmów, a także podstawową formą działalności są właśnie odwiedziny w kolejnych knajpach i jadłodajniach, które w karcie oferują specjalne wyzwania dla największych jedzeniowych śmiałków („jeśli to zjesz – nie musisz płacić"). Olbrzymia góra naleśników z bitą śmietaną i sosem klonowym? Wiadro zupy pho? Hamburger monstrum z górą smażonego sera, mający, bagatela, kilkadziesiąt tysięcy kalorii? Pizza mutant niczym rekwizyt z horroru klasy Z? Sznycel gigant z kilogramem frytek? Żaden problem. Moran przyjeżdża, ustawia kamerę, pożera wszystko do ostatniego okruszka, po czym wsiada w samochód i jedzie dalej. A licznik wyświetleń i subskrypcji rozgrzewa się do czerwoności.

Cóż, mimo najszczerszych chęci, nie podejmuję się tu jednak nawet ostrożnej interpretacji. Abstrahując już od kwestii zdrowotnych (pochłanianie takich ilości jedzenia, choćby periodycznie, nie jest, mówiąc delikatnie, korzystne dla organizmu) oraz etycznych (mnóstwo ludzi głoduje; w krajach rozwiniętych drastycznie rosną wskaźniki otyłości i zaburzeń odżywiania; promowanie mięsożerstwa przyczynia się do cierpienia zwierząt) – nie potrafię, naprawdę nie potrafię zrozumieć, o co w tym chodzi. Czy – jak powiedzieliby może ortodoksyjni psychoanalitycy – o jakąś niepowstrzymaną żądzę pochłaniania, u źródeł której stoi, jakżeby inaczej, fiksacja w relacji z matką? Czy też o ryzyka związane z robieniem czegoś radykalnie niebezpiecznego? Czy może raczej o ekscytację, jaką daje testowanie granic możliwości swojego organizmu? Czy o sławę i pieniądze, które zdobywa się takim akurat sposobem, równie dobrym jak wszelkie inne?

A może po prostu o to, że jeśli tylko człowiek może coś zrobić, to na pewno prędzej czy później to zrobi? Tak, w sumie chyba ku temu właśnie wnioskowi bym się przychylał. Z tym że tutaj akurat mamy do czynienia z groteskową realizacją owej uniwersalnej reguły (nazwijmy ją „regułą możliwości"), ale istnieją też realizacje ciemne i tragiczne – a one chyba, niestety, ilościowo w historii przeważają. ©

ZUZANNA

Radzik:
Febe, diakon, kobieta

To właśnie tam, w ostatnim rozdziale, jest dziurka od klucza, przez którą można podejrzeć Kościół rzymski z lat 50. I wieku. List do Rzymian jest nasycony teologicznym sporem swoich czasów, gęsty, a przy okazji męczący w niewykwalifikowanej lekturze. Gdyby go czytać na raz, co rzadko się zdarza, pod koniec grozi rozproszenie. Gdy Paweł Apostoł kończy wywód i pozdrawia rzymskich liderów wspólnoty, pokazuje nam się rzeczywistość pierwszej chrześcijańskiej gminy, dość z punktu widzenia dzisiejszego Kościoła egzotyczna. Nie ma wiernych świeckich obsługiwanych przez kler. Jest wspólnota zaangażowanych w ewangelizację i robienie Kościoła.

Za miesiąc w tym samym Rzymie globalny Kościół katolicki spotka się na synod. Choć kobiety pod postacią przełożonych zakonnych mają tam po raz pierwszy prawo głosu, będzie to spotkanie innego Kościoła niż ten z I wieku. Jest w nim hierarchia i patriarchat, jest łaskawe dopuszczanie do głosu, choć ponoć mamy godność równą w chrzcie. Jest to Kościół w procesie, który zastanawia się, jak być we współczesnym świecie i nie tracić jedności.

Czasem jednak myślę, że ta obsesja jedności i niezgubienia nikogo jest fałszywa. Jesteśmy różni, a ludzie odchodzą, bo ile można czekać, by poczuć się chcianym i włączonym we wspólnotę z tymi, których twoja równa godność bulwersuje?

Globalny synod w Rzymie już zaraz, więc sięgam po Pawła. Jakiż on potrafi być zagotowany, nerwowy, kłótliwy. Może czas nie udawać, tylko szczerze się na tym synodzie pospierać? W końcu nam zależy, emocje są dopuszczalne. A potem się razem pomodlić, zobaczyć, którędy wieje Święta Duszyca, a nie tylko, czego chcę ja, moja frakcja. Rozeznawaliśmy na wszystkich kontynentach, jak możemy być Kościołem idącym przez współczesny świat, przynosimy zewsząd postulaty takie, jakie one są. I drżę, co z nimi będzie. Boję się, że to nie Duch je przytnie i uśredni kompromisem, tylko ludzkie lęki. Lub patriarchat zwykły, nasz, codzienny, każe odrzucić to wszystko, o co proszą Kościoły lokalne w sprawie kobiet. Nie było takiego synodu o wszystkim, o stylu i sposobach bycia Kościołem w ogóle. Nie było takiego synodu, na którym agenda kobiecych spraw w tak bogatym wachlarzu jest przedstawiana. Co, jeśli synod zawiedzie kobiety?

Na te obawy i nerwy czytam sobie końcówkę Listu do Rzymian. Jest tu diakon Febe, pierwsza wzmianka, jaką mamy o diakonach w ogóle, i od razu diakon-kobieta. Kościół wspominał ją teraz, 3 września. To ona przywozi list Pawła do Rzymu. To o niej Apostoł mówi, że jest diakonem (*diakonons*) i protektorką (*prostatis*) Kościoła w Kenchrach. To port na obrzeżach Koryntu po wschodniej stronie przesmyku korynckiego, znajdujący się na szlaku, który prowadził podróżnych ze wschodu do Koryntu i pozwalał na przesiadkę na statek na zachód. Próbuję to sobie wyobrazić: ten dom Febe, w którym ona przyjmuje Kościół, może nocuje podróżujących, Apostoła i innych ewangelistów. Kim była, że mogła wspierać nową żydowską sektę? Wdową najpewniej, bo one najbardziej dysponowały swoim życiem i majątkiem. Ale o jej stanie cywilnym i relacjach rodzinnych możemy tylko spekulować, bo Apostoł w tej sprawie milczy.

Pod koniec listu, który przywiozła Febe, Apostoł pozdrawia wiele osób po imieniu. Jako osoby aktywne w służbie Ewangelii wspomnianych jest siedem kobiet: Pryska, Maria, Junia, Tryfena i Tryfoza, Persyda i matka Rufusa – oraz pięciu mężczyzn: Akwila, Andronikus, Urbanus, Apelles i Rufus. Junia długo tłumaczona była jako Junias, więc nie zdziwcie się, jeśli w waszej Biblii jest mężczyzną, a nie apostołką. Paweł pozdrawia Kościół zbierający się w domu Pryski i Akwili, a ich samych nazywa swoimi *synergoi*, czyli współpracownikami, co świadczy o ich zaangażowaniu w pracę apostolską i autorytecie.

Pozdrowienia w końcówce Listu do Rzymian przynoszą nam wyzwolenie eklezjalnej wyobraźni. Kościół był inny, bardziej równościowy, mimo patriarchalnego świata obok. W końcu się mu poddał, stał się taki jak wszystko wokół, nieżyczliwy kobietom w publicznych rolach, gardzący ich ciałem i życiem. Teraz, w dobie emancypacji kobiet i ich zmagań o równość, czy sprawa kobiet nie jest jednym z najważniejszych znaków czasu, wykrzykiwanym w ucho Kościoła nie tylko z zewnątrz, ale i od wewnątrz, przez rzesze ochrzczonych kobiet? Kościół był inny, więc może znów się zmienić.©

TP JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU DODATEK SPECJALNY

Obraz Złotego Wieku

NOWA WYSTAWA ZAMKU KRÓLEWSKIEGO NA WAWELU

W dodatku m.in. rozmowa z dyrektorem Wawelskiego Zamku **Andrzejem Betlejem** i esej kuratora wystawy **Krzysztofa J. Czyżewskiego.**

PARTNER

ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

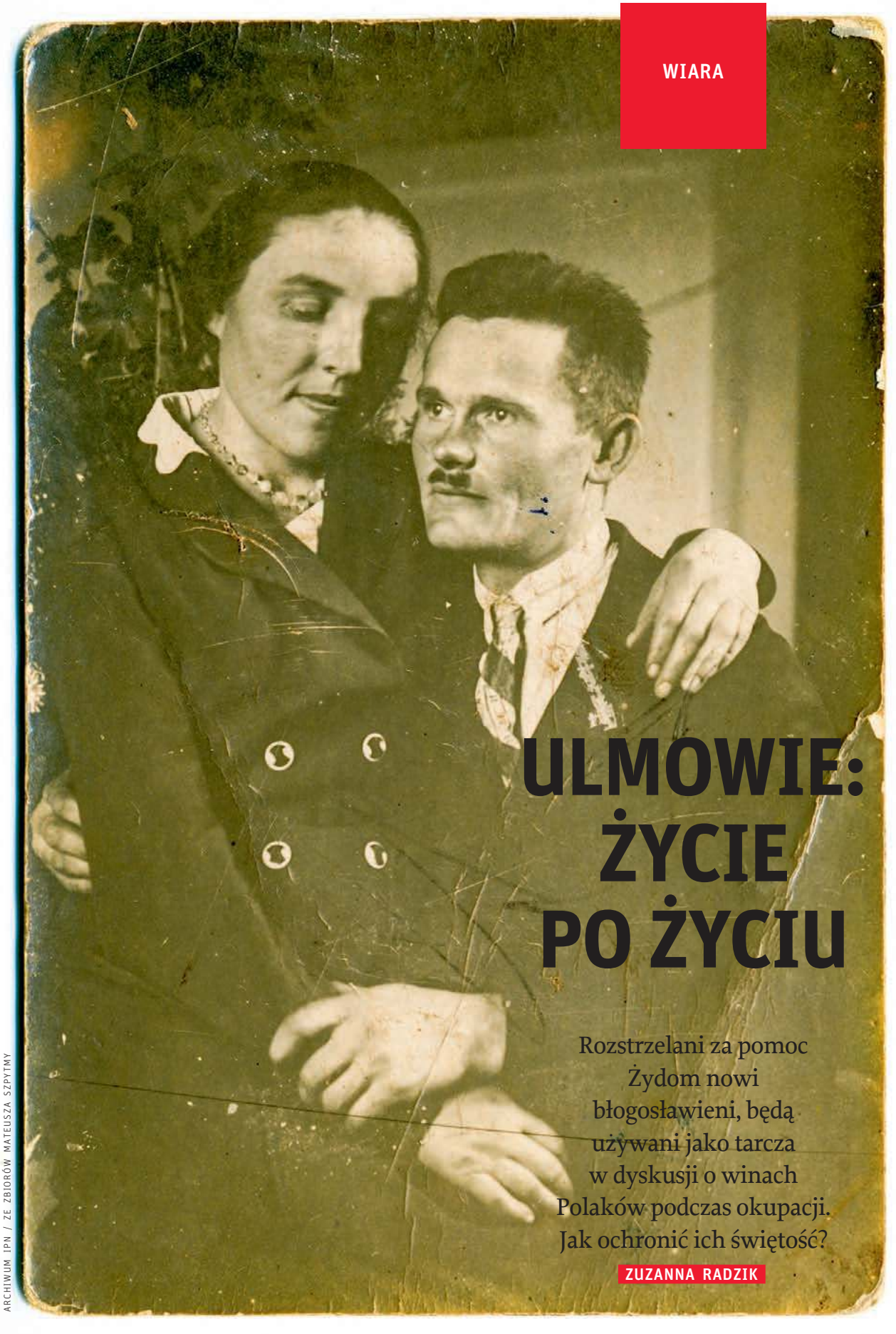

ULMOWIE: ŻYCIE PO ŻYCIU

Rozstrzelani za pomoc Żydom nowi błogosławieni, będą używani jako tarcza w dyskusji o winach Polaków podczas okupacji. Jak ochronić ich świętość?

ZUZANNA RADZIK

ARCHIWUM IPN / ZE ZBIORÓW MATEUSZA SZPYTMY

Na zdjęciu zrobionym w rok po ślubie on ma wąsik, włosy na jeża i nieco kanciaste rysy. Patrzy trochę w bok, a jego twarz wyraża spokojną pewność, jakby czekał dobrej przyszłości. Ona siedzi mu na kolanach, ma gładkie, związane włosy, korale i oczy przymknięte w jakimś skupieniu i – również – pewności. Może to ufność we wspólne życie maluje jej się na twarzy? Może wiara w Opatrzność?

Nie mają zbyt wielu zdjęć razem, zwykle widać na nich albo nią samą – w domu, przy pracy, z dziećmi, albo dzieci w wiejskim plenerze. Dzięki tym fotografiom podglądamy ich codzienność, intymny świat.

Czasem zadaję sobie pytanie, czy gdybyśmy nie znali twarzy, wnętrza domu, obejścia Ulmów, gdybyśmy nie czuli czułości, jaka ich łączyła, też tak chwytałaby nas za serce ta historia.

Ujma dla ducha

Wiktoria z domu Niemczakówna i Józef Ulmowie pobrali się w 1935 r. w parafialnym kościele św. Doroty w swojej wsi, Markowej. To duża wieś pod Łańcutem, w której politycznie największe wpływy miał ruch ludowy. Działała tu choćby pierwsza w Polsce wiejska Spółdzielnia Zdrowia, a w nieodległej Gaci uniwersytet ludowy. To na jego kursach pewnie się poznali, bo wiemy, że Wiktoria chętnie udzielała się w grupie teatralnej, a Józef – starszy od niej o 12 lat – był działaczem zarówno Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej, jak i Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici". Ta druga organizacja domagała się reformy rolnej, również parcelacji dóbr kościelnych, i z tego powodu była ostro zwalczana przez Kościół i prawicę.

Polityczne zaangażowanie Józefa Ulmy w ruch ludowy doprowadziło do publicznego konfliktu z proboszczem w Markowej. Nie tylko jego, bo gdy Wiktoria, jego przyszła żona, zwierzyła się na spowiedzi, że chce iść na kurs rolniczy w Gaci i lubi grać w sztukach wystawianych na uniwersytecie, ksiądz zaczął ją straszyć piekłem i tym, że jako proboszcz nie będzie chciał jej widzieć w kościele. Dziewczynie groziło załamanie nerwowe – była rozdarta. Proboszcz niechęci do ludowców nie wymyślił sam, bo prymas Hlond w 1936 r. twierdził, że Wici zwiastują mobilizację radykalizmu i rewolucję oraz że to głosy fałszywych proroków. „Uniwersytety ludowe wychowujące fanatyków wsi bezbożnej stanowią wielką ujmę dla ducha i honoru wiejskiego" – twierdził. A tu w ruchu ludowym wyrośli nam nowi beatyfikowani.

Nie była to zatem przeciętna chłopska rodzina. Reprezentowali nurt ludzi dumnych ze swojego pochodzenia, chcących przemiany wsi, zaangażowanych i ciekawych nowych rolniczych technik. Józef po skończeniu czterech klas wiejskiej szkoły dokształcał się sam i skończył kilkumiesięczną szkołę rolniczą w Pilznie. Był to dom z książkami, i to specjalistycznymi, oraz prenumeratą rolniczych pism, bo Józef interesował się niepopularnym na wsi ogrodnictwem, szczepił drzewa owocowe, hodował pszczoły i jedwabniki. Skonstruował też aparat, bo jego największą pasją była fotografia. Zachowało się jego 800 zdjęć, na których dokumentował życie nie tylko swojej rodziny, ale też innych mieszkańców Markowej.

Przypowieść o Samarytaninie

W ich wsi mieszkało 126 Żydów. Z początkiem sierpnia 1942 r. zaczęły się wywózki z Łańcuta i okolicznych wsi, w tym Markowej. Na rzekomy wyjazd do pracy zgłosiło się kilka osób, reszta starała się przeczekać w ukryciu. Ogłoszono też zakaz przebywania Żydów z Markowej, egzekwowany przez niemieckich żandarmów. W końcu 13 grudnia, zdając sobie sprawę, że wielu tutejszych Żydów uniknęło transportu, Niemcy nakazali sołtysowi poszukiwania, a ukrywających się w lesie rozstrzelali w starym okopie, na który wychodziły okna domu rodziny Ulmów.

Czy już wtedy Wiktoria i Józef ukrywali na strychu ośmioro Żydów? Najpierw przyjęli pod dach Goldmanów z Łańcuta. Byli to 60-letni Saul i jego czterech synów w wieku między 20 a 30 lat: Baruch, Mechel, Joachim i Mojżesz. Trzech z nich możemy zobaczyć sfotografowanych przez Józefa przy pracy w drewutni. Na ile wiadomo, po rozpoczęciu deportacji otrzymali pomoc od Włodzimierza Lesia, granatowego policjanta, któremu za nią płacili. Potem jednak Leś zdecydował, że nie będzie dłużej Goldmanów ukrywał, zagarnął ich majątek, a oni, szukając innego miejsca, prawdopodobnie pod koniec 1942 r. trafili do Ulmów. Potem do ukrywających się dołączyły jeszcze trzy Żydówki z Markowej: córki i wnuczka Chaima Goldmana. Prawdopodobnie była to Lea Didner (nazywana Layką) z córeczką Reszlą oraz Gołda (Gienia) Grünfeld.

Wszystko wskazuje na to, że wydał ich właśnie Włodzimierz Leś. Policjant nie chciał oddawać majątku Goldmanom, ci zaś wracali do niego w tej sprawie, ryzykując życie. Kwestia życia i śmierci – zwłaszcza gdy przebywasz na strychu u biednej chłopskiej rodziny i jest was wszystkich pod tym dachem szesnaścioro. Oprócz ośmiorga ukrywanych Żydów Ulmowie utrzymywali bowiem swoją szóstkę dzieci.

Prawdopodobnie nie tylko Leś się domyślał, że ukrywają Żydów. Rodzina może i mieszkała na uboczu, ale kupowała duże ilości jedzenia i sprzedawała garbowane skóry – efekt pracy Goldmanów – starając się utrzymać wszystkich domowników. Do Ulmów zresztą ludzie przychodzili zrobić sobie zdjęcie do kenkarty, więc nie było to tak zupełnie odludne miejsce. To właśnie podczas wizyty pod pozorem robienia zdjęcia Leś upewnił się, że u Ulmów są Goldmanowie.

Zdradzonych żandarmeria niemiecka rozstrzelała na miejscu 24 marca 1944 r. Najpierw zamordowano ukrywających się Żydów, potem – na oczach szóstki dzieci – Wiktorię i Józefa, a następnie dowódca żandarmów zdecydował, że zabije również ośmioletnią Stasię, sześcioletnią Basię, pięcioletniego Władka, czteroletniego Franka, trzyletniego Antosia i półtoraroczną Marysię. Wiktoria była w zaawansowanej ciąży. Od świadków ekshumacji wiemy, że poród zaczął się w trakcie lub po rozstrzelaniu, w efekcie dziecko w grobie było już częściowo widoczne.

Wiemy też, że 21 ukrywających się w okolicy Żydów dotrwało do końca okupacji, który w Markowej nastąpił 27 lipca 1944 r. Tak samo jak wiemy ze świadectwa Jehudy Erlicha, że następnego dnia po egzekucji w domu Ulmów na polach znaleziono 24 ciała Żydów zamordowanych przez tych, którzy ich wcześniej ukrywali.

Ulmowie byli wierzącą, pobożną rodziną. W tragicznych okupacyjnych okolicznościach podjęli decyzję podyktowaną pewnie również wiarą. Nazwanie ich męczennikami jest więc trafne. W ich rzeczach znaleziono Nowy Testament z podkreśloną przypowieścią o Samarytaninie i dopiskiem: „Tak!". ↦

Wiktoria i Józef Ulmowie

Antyprzewodnik po beatyfikacji

↦ Chciałoby się opisać tylko ich życie. Powinno wystarczyć. Na historię Ulmów nakładają się jednak strategie pamiętania. A na strategie pamiętania trzeba uważać, zwłaszcza w Polsce z jej rozbuchaną polityką historyczną. Zwłaszcza gdy sprawa dotyczy Zagłady, o której wciąż niewiele jako społeczeństwo wiemy, a najchętniej chcielibyśmy słyszeć tylko tę wersję, w której Polacy są szlachetni. Zwłaszcza gdy mowa o ratujących Żydów, pozbawianych prawdziwego kontekstu, w którym największym zagrożeniem byli inni Polacy z sąsiedztwa.

W tym sensie Ulmowie ze swoją szlachetnością trafili na warsztat narodowych interesów – są produkowani, promowani, używani. Jak nie stracić do nich sympatii, kiedy kolejny dworzec, pociąg albo prawicowa impreza będą do nich nawiązywały? Irytacja tym, co się wokół nowych błogosławionych dzieje, nie jest przeciw nim, tylko przeciw promotorom wprzęgającym życie Ulmów w nasze aktualne spory. Może potrzebna nam instrukcja, jak błogosławioną rodzinę Ulmów dla siebie ochronić. Na co uważać?

1 Jesteśmy w Polsce, która karmi swój patriotyzm przelewaniem krwi, miesiąc przed wyborami i na Podkarpaciu, gdzie wygrywa prawica. Ktoś zdecydował, że beatyfikacja odbędzie się w dzień niezwiązany z życiem Ulmów, ale za to w szczycie kampanii wyborczej. Trudno uwierzyć, że wybór daty był przypadkowy, a nawet jeśli, to i tak będziemy świadkami beatyfikacji obudowanej w polityczny festiwal.

Oto zaledwie jeden przykład. Jedno wydarzenie towarzyszące, wpisujące się w działalność Komitetu Prezydenta RP ds. Obchodów Towarzyszących Beatyfikacji Rodziny Ulmów. 30 sierpnia imię Ulmów nadano łańcuckiemu dworcowi PKP. Przemawiali prezes PKP i wiceminister aktywów państwowych Maciej Małecki, który mówił: „Nasi przodkowie zawsze zachowywali się tak, jak trzeba. I o tym musimy mówić i w Polsce, i w Europie, i mocno to podkreślę, też u naszego zachodniego sąsiada". Prezes PKP S.A. Krzysztof Mamiński dodawał, że kiedy prezydent zaapelował, by o rodzinie Ulmów mówić tam, gdzie to jest możliwe, „środowisko kolejowe zaczęło się zastanawiać, jak możemy się do tej akcji włączyć". Przypomniał, że w lipcu grupa PKP upamiętniła Ulmów umieszczając na lokomotywie kursującej z Przemyśla do Berlina ich fotografię, i dodał, że na dworcach kolejowych są wystawy o nowych błogosławionych przygotowane przez IPN, a okładki biletów Intercity również zawierają informacje o rodzinie Ulmów. Dodawał, że heroiczna postawa Ulmów sprawia, iż „każdy z nas może być dumny, że jest Polakiem".

Warto uzupełnić, że na lokomotywach jadących do Berlina napisano po polsku, że Rodzina Ulmów została zamordowana przez Niemców za ukrywanie Żydów. Po polsku, choć do Berlina, bo w końcu chodziło o danie satysfakcji swojemu wyborcy.

2 Nowi błogosławieni stają się towarem eksportowym. Gdy otworzyło się Muzeum im. Ulmów w Markowej, największym pragnieniem jego twórców było ściągnięcie zagranicznych, zwłaszcza żydowskich grup. To tam zresztą, w kryzysie po nowelizacji ustawy o IPN, premier Morawiecki spotkał się z zagranicznymi dziennikarzami.

Co się dzieje? Otóż po Sendlerowej i Karskim to Ulmowie stali się najbardziej rozpoznawalnymi Sprawiedliwymi wśród Narodów Świata. Sprawiedliwi zaś, poszerzani przez niektórych do szerszej kategorii ratujących, choć nieodznaczonych, są – jak to ujęła Anna Bikont – „sposobem na zmianę tematu, gdy tematem są niesprawiedliwi". To o tyle smutne, że każdy ratujący sporo wiedział też o podłości i chciwości sąsiadów, o antysemityzmie i wykluczaniu żydowskich obywateli. Dorośli ratujący właściwie już odeszli i nie mogą się bronić przed używaniem ich zasług na potrzeby polityki historycznej.

W praktyce wszystko to oznacza, że Ulmowie stają się tarczą w każdej dyskusji o ewentualnych winach Polaków podczas okupacji. Mowa o świętych Kościoła katolickiego. Kto może to przebić? To prawie jakby beatyfikować polski naród.

Dlaczego to właśnie oni, spośród tysięcy sprawiedliwych? Może dlatego, że są idealni: katoliccy, chłopscy, wielodzietni. Owszem, jakąś rysę stanowi fakt, że byli działaczami ludowymi, ale można o tym nie wspominać. Idealne jest także to, że nie przeżyli. Ich powojenne życie nie mąci idealnego obrazu. Ponieważ nie żyją, mogą się stać męczennikami. Zginąć to w polskiej kulturze wyższa wartość, niż skutecznie zadziałać i przeżyć. Żyjąca w tej samej Markowej rodzina Szylarów (Antoni i Dorota Szylarowie wraz z piątką dzieci) przechowała do końca wojny swoich sąsiadów, czyli siedmioosobową rodzinę Weltzów. Historie niemal identyczne, tylko ta o Szylarach skończyła się dobrze. Znaliście ich nazwisko? No właśnie.

3 Warto zwracać uwagę na to, kto jest Polakiem w tej historii. To był wieloetniczny region, ćwierć ludności ówczesnego Podkarpacia stanowili Rusini (Bojkowie, Łemkowie, Ukraińcy), największą grupą byli etniczni Polacy, 10 proc. stanowili Żydzi, ale w miasteczkach oznaczało to większość ludności. Od początku propagowania historii Ulmów można było przeczytać, że wydający ich Leś był Ukraińcem. Choć wiemy o nim tylko, że był parafianinem greckokatolickiej cerkwi i że do Łańcuta przyjechał ze wschodu.

Jeśli rozpiszemy tę jednostkową historię o heroizmie, woli życia, podłości i chciwości na etniczne role – ratujących Polaków, ukrywanych Żydów, zabijającego Niemca, zdradzającego Ukraińca – robi się niebezpiecznie. Zwłaszcza gdy wszędzie się głosi, że z tej historii dowiadujemy się, jacy są Polacy. Wystawa muzeum w Markowej pomija zresztą Ukraińców ratujących Żydów, a to jedna czwarta mieszkańców ówczesnego Podkarpacia. Nie da się tego pominięcia wyjaśnić naukowo, uzasadnia je tylko etnocentryzm twórców.

Jak to się dzieje, że historia o rodzinie obywateli Polski ukrywającej innych obywateli Polski, którzy wszyscy giną wydani przez innego polskiego obywatela, w dodatku przedwojennego funkcjonariusza policji państwowej, staje się eksportową opowieścią o szlachetności Polaków? Czy nie jest to raczej opowieść o zawiłych okupacyjnych postawach, ich mozaice? Oraz o tym, jak chciwość i antysemityzm jednych stanowiły o życiu i śmierci drugich?

4 Problem pojawia się też, gdy ta historia jest opowiadana tak, że przestaje być o Żydach. A przecież to jest historia Zagłady Żydów, w tym wypadku polskich Żydów i pomocy udzielanej im przez bohaterskie jednostki. Istotne zatem jest, jaką rolę i miejsce Żydzi mają w tej historii. Ważne jest, czy znamy nazwiska Goldmanów, Didnerów

MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM IM. ULMÓW W MARKOWEJ X2

Rodzina Szylarów z Markowej. Siedzą: Antoni Szylar z żoną Dorotą z domu Szpytma i ich córka Janina Szylar-Kluz. Od lewej stoją dzieci Szylarów: Franciszek, Helena Szylar-Kielar i Eugeniusz.

Po lewej: Goldmanowie, którzy byli ukrywani przez Ulmów. Markowa, przed 1944 r.

i Grünfeldów. Ważne, czy widzi się ich inicjatywę w walce o przeżycie, czy tylko polską pomoc. Czy zauważa się, że rozstrzelanie z 24 marca 1944 r. to nie jedynie „tragedia rodziny Ulmów" czy „kaźń Ulmów". Zbrodnia w Markowej dotyczy szesnaściorga obywateli Polski. Nie ma ikonicznych Ulmów bez ukrywanych przez nich Goldmanów, Didnerów i Grünfeldów. Jeśli nie nauczymy się wymieniać wszystkich ofiar tej zbrodni jednym tchem, będzie jak w wierszu Szengla, napisanym w getcie warszawskim: „Waszą śmierć odznaczy krzyż, / komunikat ją wymienia, / nasza śmierć – hurtowy skład, / zakopią – do widzenia".

To za człowieczeństwo ukrywanych współobywateli zginęli nowi błogosławieni. Jak notowała badaczka Alicja Podbielska w znakomitym artykule o kulcie Ulmów i polityce historycznej: „Polskie męczeństwo, wzorowane na ofierze Chrystusa, ma symboliczny status niedostępny dla żydowskich ofiar, które są po prostu skazane na zagładę".

Pamięć o Zagładzie Żydów z tej okolicy nie powinna być przyćmiewana pamięcią o ratujących. Budując muzeum można było upamiętnić żydowską śmierć, czyli miejsce rozstrzelań wyłapywanych ukrywających się Żydów, najczęściej mieszkańców właśnie Markowej, znajdujące się zresztą nieopodal domu Ulmów. Jednak w momencie otwarcia muzeum była tam tylko metalowa tabliczka.

5 Wiktora była w zaawansowanej ciąży, gdy zostali rozstrzelani. Ponieważ świadkowie mówili, że poród musiał się zacząć w trakcie lub po, bo w ekshumowanym ciele widać było częściowo urodzone dziecko, pojawił się problem, jak o nim mówić. Czy siódme dziecko Ulmów jest nienarodzone, czy narodzone? Byłoby to bez znaczenia, gdyby nie dylematy, czy można beatyfikować nieochrzczonego, oraz rozpalone spory o aborcje. Historia Ulmów nie jest o tym, ale ponieważ robi się z nią różne rzeczy, można jej użyć również i tak. Postulator procesu beatyfikacyjnego, ks. Witold Burda, podkreśla chętnie, że beatyfikacja Ulmów to pierwszy w historii przypadek, kiedy do chwały ołtarzy zostanie wyniesiona cała rodzina, w tym jeszcze nienarodzone dziecko. Tymczasem w rozmowie z KAI kard. Marcello Semeraro – prefekt Dykasterii Spraw Kanonizacyjnych – o najmłodszym potomku Wiktorii i Józefa mówi kilkukrotnie jako o „dziecku ledwo urodzonym, które zostało od razu zabite". To wyraźnie, choć dyskretnie, koryguje język używany w Polsce.

Nie wiem, jakie słowa są bardziej odpowiednie, gdy mowa o dziecku rodzącym się w trakcie egzekucji. Rzecz w tym, żeby siódmego potomka Ulmów, ledwo narodzonego czy nienarodzonego, trzymać z dala od naszych sporów o aborcję.

Odzyskać Ulmów

Nie spodziewam się, że Kościół w Polsce, tak sprzęgnięty z narodowo-patriotycznym dyskursem, uwolni od niego Ulmów. Retoryczne jest pytanie: czy zajmiemy się upajającym kultem świętych polskich męczenników o jasnych włosach, czy wyciągniemy z tej historii wnioski dla siebie? Będziemy naśladować? Co by znaczyło: naśladować postawę Józefa i Wiktorii Ulmów w Polsce roku 2023? Jeśli spuściznę Ulmów zrozumiemy jako buńczuczne oklejanie pociągów i przemianowywanie dworców, szybko zrobi się tak groteskowo, jak groteskowe były kremówki w Intercity w odpowiedzi na dokument TVN o reakcji Wojtyły na rodzimych księży pedofilów.

Podpowiedź przyszła z Watykanu, chyba świadomego, co się u nas dzieje, również na granicy z Białorusią, bo zamiast pochwał za przyjmowanie Ukraińców, usłyszeliśmy słabo zawoalowane nawiązanie do push-backów. Na pytanie o przesłanie Ulmów dla świata prefekt Dykasterii Spraw Kanonizacyjnych odpowiedział: „Na przykładzie tej rodziny mamy przed oczyma wartość przyjęcia i gościnności wobec drugiej osoby. Państwa mają wiele narzędzi, które mogłyby pomóc w ocenie przybywającej osoby. Wydalanie uchodźcy tylko dla wydalenia nie jest żadną wartością chrześcijańską ani ludzką. Przypowieść o dobrym Samarytaninie jest przykładem".

To są święci na nasze czasy. Bardziej niż ktokolwiek się spodziewał. ©

RODZINA ULMÓW:
czytaj więcej w serwisie specjalnym na **TygodnikPowszechny.pl/ulmowie**

Kościół mnie boli

JAN RYBICKI

Siostra Barbara Radzimińska razem ze świeckimi chce wziąć odpowiedzialność za wspólnotę katolików. To w Polsce wcale nie jest łatwe.

RENATA DĄBROWSKA DLA „TP"

Siostra Barbara Radzimińska, Warszawa, sierpień 2023 r.

U mnie kobiety, dzieci i ryby głosu nie mają" – odpowiedział na propozycję przeprowadzenia rekolekcji ksiądz. Siostra Basia zrobiła kwaśną minę i darowała sobie komentarz. „Ja się na rekolekcje zgadzam, bo ciebie znam, ale tak bez księdza... to niebezpiecznie wygląda, jak sekta" – usłyszała za innym razem.

– Z początku i tak było gorzej – mówi Basia. Kiedy z siostrami w Polsce proponowała współpracę kilkanaście lat temu, często otrzymywały propozycję pracy w zakrystii.

Siostra Radzimińska jest misjonarką w stowarzyszeniu Sług Ewangelii Miłosierdzia Bożego. Ma 48 lat, ciemne kręcone włosy i ledwo dostrzegalny hiszpański akcent. Po kilku chwilach rozmowy przechodzi ze mną na „ty". Dużo się śmieje.

Słudzy to niewielka wspólnota: znajdują się w niej świeccy celibatariusze, rodziny, młodzież; osób po ślubach, takich jak Basia, jest na całym świecie około 120. W Polsce mieszkają trzy siostry. Głoszą rekolekcje, uczestniczą w prowadzeniu diecezjalnego duszpasterstwa akademickiego i przygotowują do bierzmowania. Basia ma sporo indywidualnych spotkań, szczególnie z młodymi ludźmi, którzy zastanawiają się nad odejściem z Kościoła. Ktoś jej powiedział, że jest „ostatnim przystankiem".

Mieszkają w Sopocie. Żyją „z opatrzności", a kiedy to nie wystarcza, pracują. Basia na przykład sprzątała mieszkania. Dzielą się obowiązkami domowymi. Dzień zaczynają wspólną modlitwą. Każdego dnia któraś z nich przygotowuje krótkie „głoszenie", w którym zazwyczaj opowiada, jak rozumie przeczytaną Ewangelię w kontekście ostatnich wydarzeń z ich pracy i wspólnego życia.

– Siedząc na podłodze w kaplicy, odwracam się do sióstr i dzielę się tym, czym się modliłam. To jest trudne, bo musi być autentyczne. Nie mogę powiedzieć czegoś, czym naprawdę nie żyję. One widzą mnie na co dzień.

Ostatnio w jej modlitwach i „głoszeniu" pojawia się dużo tematów związanych z Kościołem. Dużo pytań i wątpliwości. – Bo w Polsce Kościół mnie boli – mówi Basia.

„Głosów nie słyszę"

Bolał ją chyba zawsze, chociaż przed wyjazdem na misje nie zdawała sobie z tego sprawy.

Ma wspomnienia „złych" spowiedzi. Jako dziewczynka dostawała połajanki za brak szacunku dla rodziców, zamiast pytania: „co właściwie dzieje się w domu?". W domu bywało różnie, ale księży to nie interesowało.

„Ja nie umiem kochać", myślała o sobie.

Słyszała w Kościele o ideale, ale nie umiała mu sprostać. Doszła do wniosku, że najwyraźniej jest dla Boga niewystarczająca. Po studiach dostała pracę w Warszawie, w amerykańskiej firmie. Przestała się modlić, chodzić do kościoła. Czuła się samotna i rozczarowana. „Czy moje życie do emerytury to będzie tylko praca, pieniądze i spotkania integracyjne z kolegami?" – myślała.

Z tej samotności trafiła do sióstr misjonarek ze wspólnoty, z której niedługo zrodzą się Słudzy Ewangelii. Piła z nimi herbatę i opowiadała, co u niej słychać. Z uprzejmości chodziła z nimi do kaplicy.

„Co Jezus ci powiedział?" – dopytywała zawsze jedna z sióstr. „Ja głosów nie słyszę" – odpowiadała Basia, bo drażniło ją to pytanie. „Czy coś zapamiętałaś?" – któregoś razu zapytała inna siostra. Basia wytężyła się bardzo, bo nigdy nie słuchała zbyt uważnie. „Odbuduję cię i będziesz zbudowana" – powiedziała w końcu. „O, i to właśnie chciał ci powiedzieć Jezus" – ucieszyła się siostra. I Basia uwierzyła, że to powiedział jej Bóg. „Tylko on mógł wiedzieć, że tego potrzebuję".

– Powoli zaczęło się we mnie na nowo pojawiać zaciekawienie Bogiem. To było wręcz jak zakochanie.

Pojechała na miesięczne rekolekcje stowarzyszenia w Hiszpanii i po raz pierwszy w życiu poczuła, że niczego jej nie brakuje. – W relacji z Bogiem mam wszystko.

Wróciła z postanowieniem, że będzie misjonarką. Wypowiedziała pracę, większość swoich rzeczy rozdała i wyjechała do Argentyny.

Ksiądz przychodzi i odchodzi

Słudzy Ewangelii dopiero co powstali po odłączeniu się od innej misyjnej wspólnoty, do której należały siostry z Warszawy. Do Argentyny zjechali prawie wszyscy członkowie po ślubach oraz ci, którzy chcieli je dopiero przyjąć, w tym Basia.

Dostali w użytkowanie starą szkołę, z której musieli wynieść śmieci i truchła zwierząt. Prysznic zaimprowizowali ze szlaucha i worków na śmieci. Mieli ze sobą to, co przywieźli w plecakach. Basia nie miała menażki, więc jadła w plastikowym opakowaniu po marmoladzie.

„Jak formacja?" – pytali w krótkich rozmowach telefonicznych rodzice. „Cierpienie" – odpowiadała półżartem Basia.

– Podczas tych pierwszych lat bardzo nasiąkliśmy Argentyną. Tamtejszy Kościół jest bardzo misyjny – mówi. Tłumaczy, że ta misyjność jest rozumiana jako coś powszechnego, dla każdego, od chrztu.

Razem z kilkoma innymi siostrami została poproszona przez proboszcza, żeby pracowała w jednej z nowych, bardzo ubogich dzielnic, do których Kościół w ogóle nie docierał. – Naszym zadaniem było iść do ludzi i stworzyć z nimi jakąś „wspólnotkę", która mogłaby się stać zaczątkiem parafii – mówi.

W „jej" parafii działało dziewięć kaplic, każda z nich miała stołówkę, każdego dnia wydawano w sumie dwa i pół tysiąca posiłków. Wszystkim zajmowali się świeccy: zbierali pieniądze i przygotowywali posiłki, udzielali chrztów i ślubów. Ksiądz był od odprawiania mszy.

„Ksiądz przychodzi i odchodzi, my zostajemy" – usłyszała od kogoś. Chciała takiego Kościoła w Polsce. Ze świeckimi na równych prawach, otwartego dla wszystkich.

– Nie chodzi przecież o to, żeby nie było hierarchii – mówi. – Ktoś musi podejmować decyzje. Pytanie tylko, z czego te decyzje wynikają: ze słuchania innych czy z pozycji siły?

Po dwóch latach wróciła do Polski.

Kameleon

Co roku członkowie Sług zjeżdżają się na rekolekcje. Basia wracała po nich rozemocjonowana, pełna ochoty do pracy. W ciągu następnych miesięcy w Polsce jej zapał opadał.

– Jeśli chciałam poprowadzić rekolekcje, pracować, musiałam się nagiąć, dostosować do innych – mówi. Robiła przygotowanie do bierzmowania. Przez kilka miesięcy tłumaczyła, że liczy się to, żeby przeżyć sakrament świadomie, że jeśli ktoś nie czuje się gotowy, może z nią porozmawiać, poczekać rok. Że to, w co się ubiorą, jest drugorzędne. Na ostatnich spotkaniach pojawił się ksiądz, „opieprzył" młodzież, że źle trzyma ręce, źle stoi.

– Mogę powiedzieć, co myślę, i współpracy nie ma, albo robić takiego „kameleona" – przyznaje. Zazwyczaj wybierała to drugie.

„Może rzeczywiście coś z nami jest nie tak?" – myślała. A potem znów jechała na rekolekcje, spotykała misjonarzy i misjonarki z innych krajów i czuła, że jednak inny Kościół jest możliwy. Wracała do Polski i słyszała wypowiedzi o „tęczowej zarazie". Miała poczucie zderzenia ze ścianą.

– Kościół to jest miejsce, które zmieniło moje życie. Ja w nim spotkałam Boga. Kiedy widzę, że staje się miejscem potępienia, braku szacunku dla drugiego człowieka... to mnie to boli, mierzi, krzyczy we mnie. Bo Kościół to jestem ja, to jest moja tożsamość.

Kongres

Po zaostrzeniu prawa aborcyjnego miała poczucie, że Kościół w Polsce się barykaduje, zatrzaskuje uchylone drzwi i zasuwa rolety. „Albo z nami, albo przeciw nam".

Zobaczyła w internecie „list zwykłych księży". „My też mówimy NIE wobec nadużyć polityków i grzechów Kościoła – naszych grzechów", pisali, wzywając do zerwania z używaniem religii do celów politycznych.

Potem pojawiła się możliwość podpisania się pod listem, pod którym początkowo znajdowało się dwadzieścia siedem nazwisk. Basia usiadła w kaplicy z siostrami. Poprosiły o zgodę trzyosobową radę, która kieruje Sługami Ewangelii. Podpisały list.

Gdzieś padła propozycja spotkania na zoomie dla osób, które poparły inicjatywę, także świeckich.

– Dla mnie to spotkanie to było takie: „ufff". W końcu mogę oddychać. Nie jestem sama! – mówi.

Rozmawiali o sytuacji w Kościele, o reakcjach na list. Na spotkaniu był prof. Fryderyk Zoll: „Co my właściwie robimy w tym Kościele" – pytał. I opowiedział o tym, że marzy mu się platforma dialogu, na której księża, biskupi i świeccy mogliby po prostu rozmawiać.

Basia znów usiadła z siostrami. Chciałaby się zaangażować, ale wtedy siostry będą musiały przejąć część jej obowiązków. Być może zatrzasną się dla nich drzwi w niektórych parafiach. Zostaną zerwane kontakty, o które latami zabiegały.

„Chcę przyjąć te konsekwencje, bo wierzę, że warto" – myślała Basia. Siostry się zgodziły.

Platforma, o której mówił Fryderyk Zoll, przyjęła nazwę Kongresu Katolików i Katoliczek. Basia zgodziła się zostać jej rzeczniczką prasową.

Kongresem zainteresowało się kilkaset osób. Obecnie, jak szacuje Basia, osób, „które można o coś poprosić", jest około 200.

Podzielili się na grupy robocze, m.in.: „Kobiety w Kościele", „Relacje duchowni – świeccy". Efektem ich prac są wciąż powstające raporty: np. „Katolicy i boże zwierzęta". Dokument omawia badania naukowe dotyczące emocjonalności i czucia zwierząt, podaje argumenty za ich humanitarnym traktowaniem wynikające z Biblii i nauczania Kościoła i zestawia je z przykładami obojętności polskich duchownych na los zwierząt. Kończy się sugestiami działań, które można by podjąć, by nauka Kościoła i polska praktyka zbiegły się ze sobą.

– Basia jest taką osobą duchowną, o jakiej marzyłam – mówi Joanna Krupiarz, która pracuje z nią w komitecie organizacyjnym Kongresu. – Otwarta, prostolinijna.

„Czy nosisz habit?" – zapytała ją, bo w Kongresie wszyscy są na „ty". „Moje habity kupuję w lumpeksie" – odpowiedziała żartem Basia. Joanna Krupiarz ↦

↦ mówi, że zdziwiło ją, jak chętnie Basia oddaje „kościelne" obowiązki świeckim. Kiedyś ksiądz poprosił, żeby wygłosiła kazanie. „Może ty to powiesz, tak dobrze mówisz?" – przybiegła z pytaniem do Joanny.

„Chcemy wziąć odpowiedzialność za Kościół" – mówiła siostra Basia, otwierając pierwszą konferencję Kongresu pt. „Obecni w Kościele".

„Arcybiskupie, to jest grzech"

Kongres powstał w kwietniu 2021 r. W październiku papież Franciszek ogłosił Synod o Synodalności, w który mieli się zaangażować nie tylko biskupi, ale wszyscy ochrzczeni, zaczynając od parafii. Pierwsza faza synodu miała być „fazą słuchania".

„Do roboty!" – powiedział abp Stanisław Gądecki, zapytany na spotkaniu, czy Kongres ma zaangażować się w proces synodalny.

– Tylko że po spotkaniu w miłej atmosferze nie idą żadne konkrety, nie ma mowy o tym, żeby podjąć jakąkolwiek współpracę – mówi Basia.

W październiku 2022 r. Kongres ogłosił dziesięć postulatów. Dotyczyły m.in. utworzenia rzecznika praw osób świeckich w Kościele czy odrzucenia języka nienawiści i wykluczenia wobec osób LGBT+. Postulaty rozesłano wszystkim biskupom.

Odpisał abp Adrian Galbas z Katowic, przewodniczący Rady Episkopatu ds. Apostolstwa Świeckich: niektóre punkty są nie do zrealizowania, inne są w trakcie realizacji, debaty na ten temat nie przewiduje. Zaprosił przedstawicieli Kongresu na rozmowę o synodalności.

Na spotkanie w Katowicach Basia pojechała z Joanną Krupiarz. Miała notatki na temat synodu, była po lekturze synodalnych dokumentów, przemyślała, co powie o synodalnym zgromadzeniu kontynentalnym, w którym niedawno uczestniczyła.

To powiedzcie, co chcecie o swoich postulatach – parafrazuje początek spotkania Basia. Zaniemówiła, szukając w głowie tego, co ma powiedzieć. „Właściwie co ja mam zrobić, skoro już w liście napisaliście, że jesteście na nie?" – przemknęło jej przez głowę.

Razem z Joanną Krupiarz przytaczają rozmowę z arcybiskupem i członkami Rady, jak ją zapamiętały:

BARBARA RADZIMIŃSKA:

Chciałabym w Polsce Kościoła, który jest gotów przyznać, że ma problem. Wspólnoty, w której można rozmawiać po partnersku.

– Jest tyle grup w Kościele i one nie chcą się spotykać z episkopatem, nie mają zastrzeżeń...

– Czy Kongres chce wyjść poza doktrynę?

– Wierni mogą przecież głosować nogami, jeśli nie podoba im się w jednej parafii, mogą iść do drugiej – usłyszały, kiedy poruszyły wątek dopuszczenia świeckich do władzy w parafii.

– Przecież to się już dzieje i wierni w ogóle odchodzą z Kościoła – przekonywała Basia.

– A czy Kongres się modli?

– Przecież jest tyle pięknych rzeczy w Kościele! – powiedział abp Galbas.

– Ależ oczywiście, że jest tyle pięknych rzeczy, ja oddaję mu całe życie! Co nie znaczy, że możemy ignorować te, które są nie tak! – odparła.

– Ja nie wyobrażam sobie biskupa w Argentynie, do którego przychodzą ludzie, którzy chcą się zaangażować w reformę Kościoła i on tego nie wykorzystuje. Moim zdaniem to jest grzech – wypaliła w końcu.

„Powinni nam zaproponować współpracę, gdyby znaleźli choćby tylko jeden albo nawet pół postulatu, który uznaliby za wartościowy", myślała z rozżaleniem, wracając do Sopotu. Była skołowana. „Jeśli Rada chciała nas upokorzyć, to wystarczyłby list", myślała.

Takiego Kościoła chcę

– Dla mnie w kontakcie z biskupami najgorszy jest ten brak zdefiniowania się: rozmawiamy, ale o niczym i jedynym efektem jest notatka prasowa – mówi. – Kontakt z biskupami to dla mnie wybór wiary.

Pytam, czy czuje bezsilność.

– Bezsilność to ja czułam wcześniej, przed Kongresem – odpowiada. – Teraz przynajmniej możemy zrobić coś, cokolwiek. Edukujemy, tworzymy raporty, organizujemy konferencje. Niektórzy mówią, że dzięki Kongresowi znaleźli swoje miejsce w Kościele. Dla mnie to jest sukces – mówi.

Chciałaby w Polsce Kościoła, który jest gotów przyznać, że ma problem. Który chce skorzystać z doświadczeń krajów mających proces laicyzacji za sobą. W którym można rozmawiać po partnersku.

– Proces na pokolenia – dodaje. – W niektórych krajach to potok, w innych strumyczek. W Polsce – raczej kapie. Ale czuję, że Duch Święty działa w Kościele – mówi.

Na zgromadzeniu kontynentalnym synodu w Pradze widziała, że wizje Kościoła otwartego i zachowawczego się ścierają, ale że ta otwarta – trochę przeważa. Ma nadzieję, że październikowa sesja synodu, Zgromadzenie Ogólne, na którym spotkają się przedstawiciele wszystkich kontynentów, potwierdzi ten kierunek. Pierwszy raz w Kościele rozmawia się w ten sposób o roli kobiet, o miejscu osób ze społeczności LGBT+.

– To, co zostanie raz powiedziane, nie będzie dało się zapomnieć – mówi.

Kościół, o którym marzy?

Ma z Argentyny wspomnienie pielgrzymki do sanktuarium Matki Bożej w Luján. Trasa ma 70 kilometrów, idzie się dzień i noc. Po drodze do pielgrzymów dołączają ludzie z okolic, powstaje rzeka ludzi. W większości są biedni: idą w klapkach, dziurawych trampkach, wyciągniętych t-shirtach. Idą ludzie z parafii i tacy, którzy nie chodzą do kościoła, jadą wózki inwalidzkie i drepcze ktoś o kuli. Są pary bez ślubów z dziećmi bez chrztów, transseksualiści. Ludzie pokryci tatuażami, po więzieniach: sprawcy przemocy i jej ofiary.

Kiedy docierają na miejsce, wszyscy są wyczerpani. Ktoś przysiada na ławce, żeby przesiedzieć na niej godzinę i dopiero potem podejść do ołtarza, na posadzce siada pies wymęczonego właściciela. Wśród pielgrzymów krzątają się wolontariusze.

– Ty potrzebujesz odpocząć, ty chcesz się napić, ty chcesz się wyspowiadać, ty porozmawiać, pomodlić się... Niektórzy tam śpią, inni jedzą. Każdy może wejść. A kiedy już jesteś w środku, to zaczynamy rozmawiać i ci towarzyszymy. W taki Kościół wierzę. Takiego Kościoła chcę. Kościoła, który przyjmuje życie takim, jakie przychodzi.

© JAN RYBICKI

Watykan dolewa oliwy do ognia

MARCIN CHODUŃ

Nad Kościołem syromalabarskim, toczącym od kilku dekad wewnętrzny spór o formę odprawiania mszy, zawisło ostatnio widmo rozłamu. Czy rzeczywiście chodzi tylko o liturgię?

ZRZUT EKRANU TV EKAM NEWS

Msza w obrządku syromalabarskim w bazylice katedralnej w Ernakulum, podczas której doszło do protestu jednego z księży i popierających go wiernych. W zamieszkach sprofanowano ołtarz i Najświętszy Sakrament. 23 grudnia 2022 r.

Przed bramą bazyliki katedralnej Najświętszej Marii Panny w Ernakulam, dzielnicy miasta Koczin w indyjskim stanie Kerala, stoi 14 sierpnia grupa wzburzonych ludzi. Blokują wejście do świątyni papieskiemu wysłannikowi, greckokatolickiemu biskupowi ze Słowacji Cyrilowi Vasilowi. Udaje mu się ostatecznie – dzięki pomocy policji – wejść do kościoła bocznym wejściem.

Taka gwałtowna reakcja na obecność papieskiego delegata w stolicy archieparchii Ernakulam-Angamaly to wyraz sprzeciwu większości wiernych i duchownych tej głównej diecezji katolickiego Kościoła syromalabarskiego wobec wysiłków przeforsowania jednolitego sposobu sprawowania Świętej Qurbany, czyli liturgii mszalnej tego obrządku.

W którą stronę

Konflikt na tym tle w Kościele syromalabarskim toczy się już od lat 70. XX wieku. Chodzi w nim o to, w którą stronę ma być zwrócony celebrans podczas sprawowania nabożeństwa: czy w stronę ołtarza, czyli *ad orientem*, jak chcą tego tradycjonaliści, czy też zgodnie z innowacją przyjętą w Kościele syromalabarskim po reformach Soboru Watykańskiego II w Kościele łacińskim – w kierunku wiernych, czyli *versus populum*. Rozwiązaniem miał być właśnie jednolity styl, łączący obie formy

Ta sprawa potrafi rozpalić do czerwoności emocje wiernych: w marcu 2022 r. przeciwnicy kompromisowego rozwiązania spalili podobizny kard. Leonarda Sandriego, prefekta watykańskiej Kongregacji do spraw Kościołów Wschodnich, oraz kard. George'a Alencherry'ego, zwierzchnika Kościoła. Spór o celebrację ujednoliconej liturgii doprowadził także do rezygnacji w lipcu 2022 r. abp. Antony'ego Kariyila, 72-letniego wikariusza archieparchii Ernakulam-Angamaly. Lokalne media donosiły, że to nuncjusz w Indiach poprosił go o ustąpienie ze stanowiska właśnie z powodu odmowy przyjęcia ujednoliconej liturgii. 24 grudnia 2022 r. bazylikę katedralną zamknięto na osiem miesięcy, ponieważ wewnątrz świątyni dochodziło do starć.

W celu rozwiązania nabrzmiałego sporu papież Franciszek w sierpniu wysłał na miejsce abp. Cyrila Vasila. Jego misja spaliła na panewce: 23 sierpnia powrócił do Rzymu, nie przywożąc papieżowi z Ernakulam nawet krztyny dobrych wieści.

Vasil, jedź do domu

Abp Vasil źle zaczął. Miał znaleźć polubowne rozwiązanie, tymczasem już dzień po przybyciu do Ernakulam wydał oficjalną notę, w której stwierdził, że jego misją nie jest prowadzenie negocjacji, tylko wdrożenie w archieparchii Ernakulam-Angamaly ujednoliconego trybu mszy.

Ów tryb został ustanowiony przez synod Archidiecezjalnego Kościoła syromalabarskiego jednomyślnym postanowieniem już w 1999 r., zatwierdził go wówczas Watykan. Nie został jednak wprowadzony z powodu sprzeciwu tradycjonalistów. W sierpniu 2021 r. synod Kościoła syromalabarskiego nakazał wszystkim 35 diecezjom wdrożenie reformy liturgii. Wprowadziły ją wówczas w życie 34 diecezje – poza najważniejszą: archieparchią Ernakulam-Angamaly.

Potem było już tylko gorzej: w liście skierowanym do archidiecezjalnych kapłanów abp Vasil nakazał im odprawianie od 20 sierpnia mszy w formie zatwierdzonej przez synod. Ponadto polecił zamknięcie wszystkich kościołów, w których takie nabożeństwo nie mogło być odprawiane. Księżom sprzeciwiającym się jego nakazom zagroził ekskomuniką, a lokalnym wiernym oznajmił, że są albo ↦

↦ „z papieżem, albo przeciwko niemu". Dalszy opór zrównał z aktem schizmy. Pomimo to tylko w sześciu z 328 parafii archidiecezjalnych odprawiono mszę w zatwierdzonym przez synod trybie; w siedmiu innych wierni powstrzymali księży przed zastosowaniem się do poleceń delegata. Przed wszystkimi kościołami, które odwiedzał arcybiskup, gromadziły się tłumy skandujące „Vasil, jedź do domu!". Wierni Kościoła spalili ostentacyjnie jego list przed bazyliką katedralną w Ernakulam. To wszystko dodatkowo pogłębiło kryzys.

„Teraz jest jasne, że wierni i księża w archidiecezji nie chcą jednolitego sposobu odprawiania mszy, który chce nam narzucić synod" – wyznał portalowi UCA News Riju Kanjookaran, rzecznik Archidiecezjalnego Ruchu na rzecz Przejrzystości (AMT) – forum księży, zakonników i świeckich, które stoi na czele protestu. Jego zdaniem abp Vasil postawił księżom ultimatum bez omówienia powodów, dla których sprzeciwiają się jednolitemu trybowi liturgii. „To było jak posypanie solą krwawiących już ran i zepchnięcie diecezji na skraj możliwego rozłamu" – powiedział.

Apostolskie korzenie

Katolicy malabarscy już w przeszłości z trudem akceptowali rozwiązania narzucane im z zewnątrz. Podczas tzw. synodu zjednoczeniowego w Diamper w 1599 r., zwołanego przez łacińskiego arcybiskupa Goa, Aleksego Menezesa, odwołano wiele ich tradycji oraz wprowadzono liczne elementy łacińskie zarówno w liturgii, jak i w dyscyplinie kościelnej, oraz przymuszono do unii z Rzymem. Spotkało się to z licznymi protestami i ostatecznie doprowadziło do zerwania jedności z Rzymem w 1655 r. Większość wyznawców podporządkowała się syryjskiemu patriarsze Antiochii, powołując do życia jakobicki Syryjski Kościół malabarski. Ratunkiem okazali się karmelici, wysłani na miejsce w roku 1656 przez papieża Aleksandra VII – to dzięki ich staraniom znaczna część schizmatyków powróciła w 1662 r. do Kościoła katolickiego i utworzyła Kościół syromalabarski rytu chaldejskiego.

Dlaczego próby latynizacji tego wschodniego obrządku spotkały się z takim oporem? Chrześcijaństwo zapuściło bowiem korzenie w tej części Indii już najprawdopodobniej w I w. n.e. – krzewić je miał wśród miejscowej ludności w latach 42-72 sam św. Tomasz Apostoł. Stąd właśnie przydomek „chrześcijanie św. Tomasza", którym określa się dziś nie tylko wiernych Kościoła syromalabarskiego, ale i członków innych Kościołów tej tradycji w Indiach.

Syromalabarczycy są **Kościołem chrześcijańskim tak starożytnym, jak tradycja łacińska.** Dlatego nie lubią, gdy Rzym chce coś im narzucić czy każe zmienić.

Przekazy o misji św. Tomasza na zachodnim wybrzeżu Indii nie zostały potwierdzone historycznie, więc niewykluczone, że to legendy – pewne jednak jest, że pod koniec II w. n.e. chrześcijanie na tych terenach byli już obecni. Po wizycie aleksandryjskiego uczonego Pantenusa w 189 r. utrzymywali stały kontakt z Kościołem w Imperium Perskim – z diecezją nestoriańską w Seleucji-Ktezyfonie. W wyniku tego praktykowali obrzędowość wschodniosyryjską (w VIII i IX w. nastąpiły liczne migracje nestorian do Kerali).

Po odnowieniu unii z Rzymem w 1662 r. próby latynizacji ich obrządku odżyły – w 1704 r. papież Klemens XI zabronił stosowania rytów malabarskich. Decyzję podtrzymywali jego następcy. Odtąd wierni podlegali jurysdykcji wyłącznie biskupów łacińskich.

Chrześcijanie św. Tomasza liczą dziś około 7 mln wiernych. Około 4 mln z nich to syromalabarczycy, co oznacza, że jest to największy Kościół tej tradycji i drugi pod względem liczebności wiernych wschodni Kościół katolicki (po greckokatolickim).

Pod względem prawa kościelnego obrządek ten uważa się za niezależny, czyli za tzw. *ecclesia suae iuris* (Kościół własnego prawa). Od 1992 r. Kościół syromalabarski ma rangę arcybiskupstwa większego Ernakulam-Angamaly. Na jego czele stoi od 2011 r. abp George Alencherry, którego 18 lutego 2012 r. Benedykt XVI mianował kardynałem – pierwszym w dziejach tego Kościoła.

Wszystkich pięć archieparchii (archidiecezji) oraz 13 eparchii Kościóła syromalabarskiego znajduje się w Kerali. Poza granicami tego stanu struktura organizacyjna tego Kościoła obejmuje 13 eparchii na terenie Indii oraz eparchie w Australii, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii.

Sprzeczne uczucia

Pomimo wyznaczonego na 20 sierpnia ultimatum papieskiego wysłannika, głosy krytyczne ze strony duchownych Kościoła wobec stosowanego przez niego nakazowego tonu nie ucichły. Wypowiadali je również członkowie jego własnego zakonu – jezuitów.

O. George Pattery, były przewodniczący Jezuickiej Konferencji Azji Południowej, w wywiadzie dla lokalnego medium wezwał abp. Cyrila Vasila „do bardziej autentycznego zaangażowania w rozmowę z lokalnymi katolikami". Natomiast o. Stanislaus Alla, profesor teologii moralnej w Wyższej Szkole Teologicznej Vidyajyoti w Delhi, powiedział chrześcijańskiemu portalowi Matters India, że zachowanie papieskiego delegata „wyraźnie pokazuje, że najważniejsze w Kościele stało się używanie autorytetu władzy". I dodał: „Spodziewałem się, że abp Vasil przyjedzie wysłuchać z szacunkiem różnych głosów i sporządzi raport, prawdziwie ugruntowany w duchu synodalności, a następnie przedłoży go Ojcu Świętemu. Nic takiego się nie wydarzyło".

W odpowiedzi na termin wyznaczony przez Vasila i ostrzeżenia o schizmie jeden z kapłanów archieparchii ks. Joyce Kaithakottil napisał list otwarty. Stwierdził w nim m.in., że kapłani, świeccy i zakonnicy w archieparchii proszą o kontynuowanie dialogu w celu osiągnięcia polubownego rozwiązania. Podkreślił, że „nie ma przestrzeni dla abp. Cyrila Vasila na wydawanie rozkazów kapłanom archieparchii Ernakulam-Angamaly".

Zdaniem dr hab. Piotra Kłodkowskiego, profesora w Katedrze Porównawczych Studiów Cywilizacji Uniwersytetu Jagiellońskiego, który w latach 2009-14 był ambasadorem w Indiach, konflikt o liturgię w Kościele syromalabarskim jest przejawem pełnego napięć

dualizmu. – U wielu chrześcijan w Indiach, ale chodzi przede wszystkim o wiernych ze wspólnot św. Tomasza w komunii ze Stolicą Apostolską, zauważałem sprzeczne uczucia, które nimi miotały – wspomina. – Z jednej strony pragnęli być zawsze członkami szeroko rozumianej wspólnoty chrześcijańskiej, a z drugiej chcieli podkreślić, że nie są kopią chrześcijaństwa łacińskiego. Chcieli pokazać swą regionalną tożsamość, odrębność i pewną niezależność oraz fakt, że jako synowie indyjskiej ziemi pragną zachować starożytną chrześcijańską tradycję, bo ona jest tak samo prawdziwa, jak tradycja łacińska. Zderzenie tych dwóch nurtów to w pewnym sensie nieodzowny element chrześcijaństwa syromalabarskiego. Wydaje się, że z tego powodu napięcia istnieć będą zawsze.

Bez komentarza

Napięcie w archieparchii Ernakulam-Angamaly nadal jest wysokie. Podczas rozpoczętego 21 sierpnia w Wyższej Kurii Arcybiskupiej synodu biskupów Kościoła syromalabarskiego dwóch księży, o. Kuriakose Mundadan i o. Sebastian Thalian, którzy udali się do Ernakulam na spotkanie z abp. Vasilem, rozpoczęło strajk głodowy. Miał on być wyrazem protestu wobec usunięcia z terenu niższego seminarium duchownego czterech księży, którzy nie chcieli odprawić liturgii w ujednoliconym trybie. W wyniku skargi władz kościelnych policja usunęła strajkujących z pomieszczeń kurii.

Na synodzie, który jest najwyższym organem decyzyjnym Kościoła w Kerali, został powołany dziewięcioosobowy panel biskupów. 26 sierpnia przeprowadzili rozmowy z przedstawicielami przeciwników jednolitego sposobu odprawiania syromalabarskiej Qurbany. Efekt rozmów jest nieznany – nikt z uczestników dotąd go nie skomentował. Wiadomo natomiast z całą pewnością, że panel biskupów podzieli się obawami z Watykanem – archieparchia Ernakulam-Angamaly znajduje się przecież nadal pod kontrolą papieskiego delegata.

Rozgrywka trwa, a piłka jest wciąż po stronie papieża.

© MARCIN CHODUŃ

Czy papież jest rusofilem

EDWARD AUGUSTYN

Watykan znowu musiał prostować wypowiedzi Franciszka. I znowu mało kogo to przekonało.

Zachęta, jaką Franciszek skierował do młodych Rosjan w Sankt Petersburgu – by nie zapominali o dziedzictwie Wielkiej Rosji, wspaniałego kraju wielkiej kultury i humanizmu, oraz o jej wybitnych przywódcach, jak Piotr I czy Katarzyna II – wywołała niedowierzanie i oburzenie. Tłumaczenie Watykanu, że papież nie chwalił imperializmu, a jedynie zachęcał młodych ludzi, by zachowywali i pielęgnowali pozytywne wartości kulturowego i duchowego dziedzictwa, opublikowane po czterech dniach, nikogo chyba nie przekonało.

Dlaczego Franciszek mówi językiem Kremla, który też powołuje się na dziedzictwo wielkiej, świętej Rosji, by uzasadniać swoje, wciąż żywe, zapędy imperialne? Nie da się wszystkiego wytłumaczyć jego latynoskim pochodzeniem. Owszem, kraje Ameryki Południowej są tradycyjnie prorosyjskie, ale propaganda sowiecka, która przez dekady tam docierała – bezpośrednio czy przez Kubę – wychwalała komunizm, a nie carskie samodzierżawie.

Podziw dla rosyjskiego imperium jest raczej indywidualną skłonnością Franciszka. Zaważyła na nim z pewnością fascynacja literaturą i sztuką. Papież często odwołuje się do Dostojewskiego, przywołuje postaci innych, wybitnych artystów carskiej Rosji (kilka dni temu, lecąc do Mongolii, rekomendował dziennikarzom muzykę Aleksandra Borodina, piewcy azjatyckich stepów). Jest w tym naiwne przekonanie, że geniusz wielkich twórców i myślicieli czerpie z geniuszu narodu i państwa (i odwrotnie). Podobnie myślano o Niemcach przed II wojną światową, nie dowierzając przestrogom o rodzącym się zagrożeniu. Pamiętne słowa Franciszka sprzed roku, że to nie Rosjanie odpowiadają za okrutne zbrodnie w Ukrainie, ale Czeczeni i Buriaci (za co Sekretariat Stanu musiał oficjalnie przepraszać), były wyrazem takiego przekonania.

Być może jest to podziw przez kogoś wzbudzany. W Watykanie wszyscy wiedzą, że Franciszek łatwiej uwierzy przypadkowo spotkanej osobie niż własnym służbom. Wszyscy też wiedzą, że dostęp do papieża mają, poza oficjalnymi procedurami, różne osoby. Jest wśród nich pewien starowier, zafascynowany ideą Wielkiej Rosji, były pracownik moskiewskiego patriarchatu, wysłany przed laty przez Cyryla na studia do Rzymu i Waszyngtonu. Franciszek pozostaje z nim w bliskim kontakcie (bezpośrednim i telefonicznym), podzielając jego opinie na wiele spraw (w nr. 12/2023 „TP" poświęciłem tej postaci obszerny tekst).

Sentyment Franciszka do Rosji nie oznacza bynajmniej poparcia dla jej obecnych władz. Zwłaszcza po agresji na Ukrainę. Ale ułatwia zrozumienie ich narracji. Choćby w tym, że powodem rozpętanej przez nie wojny nie są imperialistyczne zapędy, ale naruszenie postzimnowojennego ładu przez Stany Zjednoczone, NATO czy samą Ukrainę, której zamarzyło się wyjście z rosyjskiej strefy wpływu.

Papież nie jest w tym myśleniu odosobniony. Podobnie uważa połowa świata, politycznie lub gospodarczo powiązanego z Rosją, a nawet niektórzy z tzw. niezależnych ekspertów na Zachodzie, których zdanie w zadziwiający sposób współbrzmi z propagandą Moskwy.

Wolność wypowiedzi ceni sobie także Franciszek, który spotyka się, z kim chce, i mówi, co myśli. Niezależność myślenia jest godna pochwały, o ile opiera się na krytycznej analizie nie tylko cudzych, ale także własnych opinii. Oraz rzetelnej wiedzy. ©℗

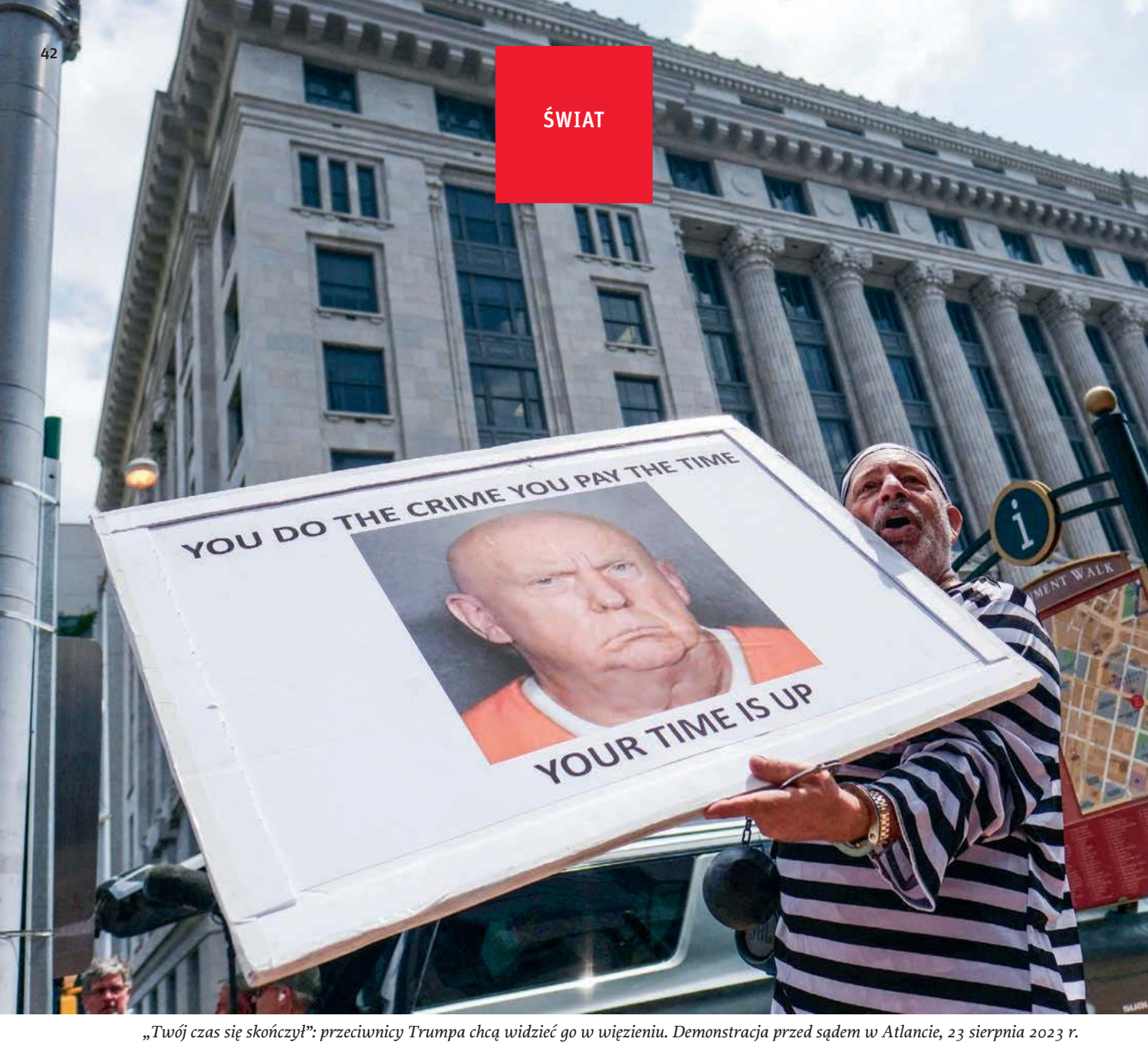

„Twój czas się skończył": przeciwnicy Trumpa chcą widzieć go w więzieniu. Demonstracja przed sądem w Atlancie, 23 sierpnia 2023 r.

TO NIE JEST MOJA AMERYKA

Na rok przed wyścigiem o Biały Dom przybywa tych, którzy odwracają się od obu głównych partii. Mówią, że mają dość i Bidena, i Trumpa, i całego wyborczego cyrku.

MARTA ZDZIEBORSKA

NAWET BOJĘ SIĘ CIEBIE SPYTAĆ, CO MYŚLĄ SOBIE O NAS POLACY – mówi mi Rosie Alumbaugh, 25-latka pracująca jako rekwizytorka w jednym z bostońskich teatrów.

Rozmawiamy dzień po tym, jak Donald Trump stawił się w areszcie w Atlancie, stolicy Georgii, w związku z zarzutem o próbę zmienienia w tym stanie wyniku wyborów prezydenckich w 2020 r.

Po zaledwie 20 minutach, podczas których złożył odciski palców i zapozował do zdjęcia do więziennej kartoteki, Trump wyszedł za kaucją w wysokości 200 tys. dolarów i pojechał na lotnisko, z którego odleciał własnym samolotem do New Jersey.

Prokuratorskie dossier

To było jego czwarte tymczasowe aresztowanie w ciągu ostatnich pięciu miesięcy. W tej najświeższej sprawie, dotyczącej stanu Georgia, prokuratura dysponuje mocnym dowodem: nagraniem rozmowy, podczas której Trump naciskał na miejscowego urzędnika stanowego, odpowiadającego za przebieg wyborów, aby ten „znalazł" 11 780 głosów – tyle brakowało mu do wygranej z Joem Bidenem.

W prokuratorskim *dossier* Trumpa uzbierały się już także zarzuty o udział w spisku przeciwko Ameryce (chodzi o atak jego zwolenników na Kapitol 6 stycznia 2021 r., w chwili, gdy parlament autoryzował wynik wyborów), o fałszowanie dokumentów biznesowych (w związku z płatnością za milczenie dla aktorki porno) oraz o nieuprawnione przechowywanie tajnych dokumentów po wyprowadzce z Białego Domu.

Pomimo zarzutów Trump pnie się w sondażach dotyczących prawyborów w Partii Republikańskiej i skutecznie zbiera na kampanię miliony dolarów. Do tego ostatniego wykorzystuje teraz również swoje zdjęcie, zrobione mu do więziennej kartoteki – zdobi ono koszulki i czapki, które cieszą się dużym wzięciem wśród jego sympatyków.

Według niektórych zestawień jego kandydaturę w prawyborach republikańskich popiera nawet 58 proc. ankietowanych. To miażdżący wynik jak na człowieka, na którym ciąży łącznie 91 zarzutów karnych. Gdyby został uznany winnym i skazany w każdym z tych przypadków, suma łącznych wyroków mogłaby wynieść co najmniej 717 lat.

„To obrzydliwe"

– Najgorsze dla mnie jest to, że nawet jeśli Trump dostanie wyrok i trafi za kraty, to i tak na mocy amerykańskiej konstytucji będzie mógł dalej kandydować! – wścieka się Rosie Alumbaugh. Mieszkanka Bostonu od dawna już ma wrażenie, że sytuacja w Stanach zaczyna przypominać film z gatunku *political fiction*.

Rosie Alumbaugh denerwuje, że Trump może zbijać kapitał polityczny na swoich problemach prawnych, gdy tymczasem zwykły Amerykanin figurujący w kartotece policyjnej, a w szczególności mający wyrok skazujący, może mieć duże problemy ze znalezieniem pracy, a nawet z głosowaniem. Kiedyś w wielu stanach byli skazańcy mogli tylko pomarzyć o pójściu do urn. Na Florydzie, w Wirginii czy Karolinie Północnej politycy Partii Republikańskiej robią zresztą teraz wszystko, aby przywrócić ten dawny porządek.

Tym, co dzieje się w Ameryce, zmęczona jest też 57-letnia Mary Vevang Anderson z Minneapolis. Podczas kampanii w 2016 r. ta właścicielka salonu fryzjerskiego śledziła wiece Donalda Trumpa z nadzieją, że ten, jako nowojorski biznesmen, rozkręci amerykańską gospodarkę i namiesza w waszyngtońskim establishmencie.

Dziś Mary mówi, że nie chce mieć nic wspólnego z Partią Republikańską. Odrzuca ją fakt, że większość polityków tego ugrupowania stoi murem za byłym prezydentem, ignorując jego kolejne postępowania karne i to, co stało się 6 stycznia 2021 r.

– Trudno mi uwierzyć w sondaże, które pokazują, że pomimo ostatnich zarzutów Trumpowi rośnie poparcie – mówi Mary. – To niedorzeczne, że ludzie chcą popierać kandydata, który przebywa na wolności za kaucją. Jestem zmęczona amerykańską polityką, i to po obu stronach barykady. Bo czy to normalne, że Trumpowi postawiono w sumie 91 zarzutów karnych? Żeby było jasne, absolutnie mu nie współczuję. Ale uważam, że przeciętny obywatel nie byłby pod tak dużym obstrzałem. To obrzydliwe – dodaje Mary na niemal bezdechu.

Bidenowi dziękujemy

Mary, która mieszka na bogatych przedmieściach Minneapolis, wbrew pozorom ma wiele wspólnego z lewicującą Rosie z Bostonu.

Obie kobiety stawiają sprawę jasno: jeśli nic w amerykańskiej polityce się nie zmieni, przed wyborami prezydenckimi w 2024 r. zrezygnują z partyjnej afiliacji (Mary republikańskiej, a Rosie demokratycznej) i zarejestrują się jako tzw. *independents*, czyli wyborcy niezależni. A takich w USA przybywa: według badania Gallupa od 2004 r. ich udział w społeczeństwie zwiększył się znacząco. 19 lat temu było ich 31 proc., podczas gdy w marcu tego roku przynależność do grupy niezależnych wyborców deklarowało już rekordowe 49 procent.

Mary i Rosie mówią mi, że są zawiedzione nie tylko stanem amerykańskiej demokracji, ale także prezydenturą Joego Bidena. Mary uważa, że 80-letni polityk jest za stary na kierowanie krajem. Rosie straciła nadzieję, że Biden rozwiąże palące problemy, takie jak zadłużenie studenckie, które jest kulą u nogi wielu młodych Amerykanów.

Rosie wylicza, że w ciągu trzech lat jej kredyt zaciągnięty na zrobienie licencjatu z zarządzania teatrem urósł z 50 do 60 tys. dolarów. Jeszcze do niedawna Rosie miała nadzieję, że zgodnie z obietnicą Bidena zadłużeni będą mogli liczyć na umorzenie części długu studenckiego, nawet do kwoty 20 tys. dolarów. Wszystko przekreślił jednak Sąd Najwyższy USA, który w czerwcu uznał, że prezydent nie miał prawa zmieniać warunków pożyczek bez autoryzacji Kongresu.

Efekt jest taki, że Rosie – podobnie jak 43 mln takich zadłużonych Amerykanów – w październiku będzie musiała uregulować pierwszą zaległą ratę kredytu po trzech latach moratorium, zainicjowanego jeszcze za rządów Donalda Trumpa. Z czego ją opłaci, tego nie wie, bo przy wysokich cenach żywności nie stać jej nawet na podstawowe potrzeby, takie jak kupno świeżych warzyw i owoców.

Rekordowa rata

Jak wielu Amerykanów, Rosie jest też zmęczona sytuacją ekonomiczną. W szczytowym okresie, w czerwcu 2022 r., inflacja wynosiła 9 procent. Choć obecnie spadła do 3,2 proc., a bezrobocie wynosi 3,6 proc. (to poziom sprzed pandemii), Amerykanie dalej widzą swój świat w czarnych barwach.

Według sierpniowego sondażu CNN ponad połowa respondentów uważa, że sytuacja gospodarcza wręcz się pogarsza ↦

RICARDO ARDUENGO / REUTERS / FORUM

↦ – nie przekonują ich prognozy ekonomiczne dające nadzieję, że Stany unikną recesji. Defetyzm utrzymuje się też wśród Amerykanów z klasy średniej – według sondażu firmy Harris tylko 39 proc. z nich uważa, że ich sytuacja ekonomiczna w 2024 r. się poprawi. Aż 52 proc. właścicieli małych firm sądzi, że kraj wkroczył już w recesję.

Różowych okularów nie zakłada także Katey, 43-letnia pracowniczka banku z Grand Rapids w stanie Michigan, która przez ostatni rok opanowała budżetowy reżim do perfekcji. Razem z mężem i dwójką synów przestali jadać w restauracjach, nie kupują kawy w Starbucksie i przerzucili się wyłącznie na produkty z dyskontów. Katey, która mieszka na bogatych przedmieściach, musi zaciskać pasa, bo ma do spłacenia kredyt hipoteczny, pożyczkę na samochód. A do tego odkłada już pieniądze na przyszłe studia synów, którzy uczą się jeszcze w podstawówce.

Katey rozkłada ręce, gdy mówi, że przez chwiejną sytuację na giełdzie jej oszczędności emerytalne straciły ok. 15 proc. wartości. Pociesza się jednak, że mogło być gorzej. Jej znajomi, którzy zwlekali z zakupem domu, dziś mają do wyboru dwie opcje: albo ubiegać się o kredyt z oprocentowaniem rzędu 7 proc. (najwyższym od dwóch dekad), albo zagryźć zęby i wydawać na wynajem domu ok. 2,5 tys. dolarów miesięcznie. To aż dwukrotność raty kredytu, jaką co miesiąc mają do spłacenia Katey i jej mąż Andrew.

– To były inne czasy, gdy braliśmy kredyt hipoteczny. Dziś w komfortowej sytuacji są tylko bogaci – uważa Katey. Mimo to zarzeka się, że sytuacja ekonomiczna nie zniechęci jej do głosowania w 2024 r. na Bidena. Jak mówi, patrzy na problem całościowo: za wzrost inflacji i pogłębienie deficytu budżetowego obwinia nie tylko obecnego prezydenta, ale także jego poprzednika, który w czasie pandemii zatwierdził dwa pakiety stymulacyjne warte niemal 3 tryliony dolarów.

Bidenomika, głupcze!

Problemy Amerykanów mają przełożenie na rekordowo niskie notowania prezydenta Bidena: ogólnie jego rządy dobrze ocenia tylko 41 proc., a konkretnie w kwestiach gospodarczych – zaledwie 36 procent. Statystyki te zapewne niepokoją polityków Partii Demokratycznej.

ARCHIWUM PRYWATNE X3

KATEY *zarzeka się, że sytuacja ekonomiczna nie zniechęci jej do głosowania na Bidena.*

MARY *głosowała zawsze na Republikanów. Dziś nie chce mieć z tą partią nic wspólnego.*

ROSIE *popierała dotąd Demokratów. Dziś straciła nadzieję, że Biden rozwiąże problemy kraju.*

Śledzą oni prognozy, według których stan gospodarki może zadecydować o preferencjach wyborców podczas przyszłorocznego wyścigu o Biały Dom.

Znając swój słaby punkt, prezydent Joe Biden w ostatnich miesiącach mocno promuje bidenomikę, czyli ekonomiczną wizję, której celem jest zagwarantowanie sprawiedliwego rozwoju gospodarczego, który nie omijałby szerokim łukiem klasy średniej.

Biden kreuje się na przeciwnika reaganomiki, jak określa się prowadzoną w latach 80. XX w. przez prezydenta Ronalda Reagana politykę obniżania podatków, cięć budżetowych i ograniczania ingerencji państwa w gospodarkę. Obecny przywódca USA działa na odwrót: zamiast zwiększać swobodę gospodarczą, skupia się na mnożeniu regulacji w wielu sektorach i dąży do podwyższenia podatków dla najbogatszych. Inwestuje przy tym w infrastrukturę, zieloną transformację i rozwój szybkiego internetu, co według jego założeń ma zwiększyć zatrudnienie.

„W bidenomice chodzi o budowanie gospodarki od środka i od dna, a nie z góry na dół. Teoria skapywania zawiodła klasę średnią i Amerykę" – przekonywał Biden pod koniec czerwca w budynku dawnej poczty głównej w Chicago (teoria skapywania to termin określający politykę przychylną zamożniejszym grupom społecznym, używany chętnie przez jej przeciwników). Podczas przemówienia Biden zaatakował Trumpa za to, że jako prezydent mało inwestował w infrastrukturę. Obiecał także dopłacanie do żłobków i przedszkoli gorzej zarabiającym Amerykanom.

Pierwsza debata

Sprawy gospodarcze to dziś gorący temat w kampanii kandydatów startujących w prawyborach republikańskich. Właśnie od tego wątku rozpoczęła się ich pierwsza debata – przeprowadzona w Milwaukee w stanie Wisconsin i transmitowana w telewizji – podczas której nazwisko Bidena padało dziesięć razy częściej niż nazwisko Trumpa.

Ten ostatni zbojkotował dyskusję, uznając najwyraźniej, że lepiej nie dawać rywalom szansy na wybicie się jego kosztem podczas debaty, co mogłoby mu zaszkodzić w sondażach. W tym czasie opublikował w sieci wywiad, jakiego udzielił

dziennikarzowi Tuckerowi Carlsonowi – swemu sympatykowi, kiedyś gwieździe telewizji Fox News.

„Nasz kraj przeżywa upadek. (...) Musimy odwrócić ten proces i wysłać Bidena z powrotem do jego piwnicy" – mówił podczas wspomnianej debaty gubernator Florydy Ron DeSantis (w republikańskich sondażach drugi, z dużym odstępem do Trumpa). Polityk wzywał do zniesienia doktryny gospodarczej prezydenta USA: „Musimy odkręcić bidenomikę, tak aby Amerykanie z klasy średniej znów mieli szansę na sukces. Jako kraj nie możemy pójść do przodu, jeśli nasi obywatele pracują ciężko, a mimo to nie stać ich na podstawowe artykuły spożywcze, kupno samochodu czy domu" – przekonywał.

Co dla Stanów ważniejsze

DeSantisowi wtórowali jego rywale. Choć niektórzy z nich – jak Nikki Haley, była ambasadorka USA przy ONZ – atakowali również Trumpa i Republikanów za, jak mówili, rozdawnictwo fiskalne w czasie pandemii.

Ośmioro kandydatów skakało sobie do gardeł, kłócąc się także o zaostrzenie dostępu do aborcji, pomoc dla Ukrainy oraz o to, jakie stanowisko powinno się zająć wobec kandydatury Trumpa, jeśli ten zostanie skazany w jednej ze swoich spraw karnych.

Szczególnie niepokojące dla naszej części Europy były wypowiedzi 38-letniego biznesmena Viveka Ramaswamy'ego, który opowiedział się za wstrzymaniem pomocy wojskowej dla Ukrainy. Zaatakował on także byłego wiceprezydenta Mike'a Pence'a i byłego gubernatora New Jersey Chrisa Christie za to, że spotkali się w Ukrainie „ze swoim papieżem", jak określił prezydenta Wołodymyra Zełenskiego. Za ograniczeniem pomocy dla Kijowa opowiedział się też DeSantis, przekonując, że bardziej istotna dla Stanów jest sytuacja na granicy USA-Meksyk, gdzie nie ustaje presja migracyjna.

Najwięcej emocji podczas debaty w Milwaukee wzbudził wspomniany Vivek Ramaswamy – multimilioner, założyciel firmy biotechnologicznej i syn indyjskich imigrantów, znany np. z twierdzenia, że zmiany klimatu to wierutne bzdury. „Więcej ludzi ginie z powodu złej polityki klimatycznej niż realnych zmian klimatu" – wypalił podczas debaty Ramaswamy, a jego słowa widownia wygwizdała.

Kandydat ten, będący politycznym nowicjuszem, wyróżnia się zresztą specyficznymi poglądami. Głosi m.in., że zamachy na World Trade Center w 2001 r. były prowokacją rządu federalnego, oraz nawołuje do rozwiązania FBI, amerykańskiego fiskusa i Departamentu Edukacji.

Nie chcę mniejszego zła

Jak donosi dziennik „Guardian", to właśnie Ramaswamy, tuż po Donaldzie Trumpie, zgromadził największe tłumy podczas sierpniowych targów stanowych w Iowa. Wydarzenie to co cztery lata przyciąga Amerykanów, którzy chcą nie tylko pooglądać wystawy zwierząt hodowlanych, ale także spotkać się z głównymi kandydatami w prawyborach obu partii.

Wśród Demokratów sporo zainteresowania wzbudził tam Robert Kennedy Junior – bratanek zamordowanego w 1963 r. prezydenta i czarna owca rodu Kennedych. Jest on bowiem równie kontrowersyjny co Ramaswamy – to antyszczepionkowiec i zwolennik wszelkiej maści teorii spiskowych. „Ludzie potrzebują zmiany i chcą zniesienia tej oligarchii. (...) To największy tłum, jaki widziałam w moim życiu" – mówiła cytowana przez „Guardiana" 62-letnia Gail Buffington, która uczestniczyła w spotkaniu z Robertem Kennedym Juniorem.

O potrzebie zmiany na waszyngtońskiej scenie politycznej mówili też inni uczestnicy targów w Iowa, zmęczeni duetem Biden-Trump. „Chciałabym, żeby obaj zniknęli z polityki. Obaj pogrążyli urząd prezydencki" – przekonywała 73-letnia Ginny McKee, emerytowana nauczycielka z Claremont w Kalifornii.

Jeśli wierzyć sondażom, zaledwie 24 proc. Amerykanów chce, by Biden walczył o reelekcję, a tylko 30 proc. kibicuje w tej kwestii Trumpowi. Niektórzy deklarują, że jeśli w 2024 r. dojdzie do kolejnego pojedynku między tymi dwoma politykami, to wstrzymają się od głosu i wrzucą pustą kartę do urny.

Tak zrobiła już w 2020 r. Mary Vevang Anderson z przedmieść Minneapolis. – Nie mogłam się przemóc, aby zagłosować na Bidena, a o Trumpie nawet nie chciałam myśleć. To nie jest Ameryka, którą znałam. © MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

TP JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU DODATEK SPECJALNY

HISTORIA NA GŁOSY
V Kongres Archiwów Społecznych

Idee archiwistyki społecznej – oddolnego ruchu na rzecz gromadzenia i zapisywania historii – przedstawią w rozmowie dyrektorki Centrum Archiwistyki Społecznej, Katarzyna Ziętal i Joanna Łuba.

Archiwistykę społeczną w działaniu poznamy z kolei poprzez sylwetki osób zbierających wywiady historii mówionej, które opowiedziały o swoich motywacjach i inspiracjach.

Wszystko to związane jest z **V Kongresem Archiwów Społecznych**, który odbędzie się 29.09. – 1.10.2023 w Lublinie i online na platformie **kongres.cas.org.pl**.

Tematem Kongresu będzie historia mówiona – zapisywanie indywidualnych ludzkich losów, w których odbija się wielka historia, ale również – nie mniej ciekawa codzienność.

ORGANIZATOR
centrum archiwistyki społecznej

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Polski fantom w Berlinie

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z NIEMIEC

Niemcy chcą w sercu swojej stolicy zbudować miejsce poświęcone Polakom. Jednak w Polsce plan ten jest przyjmowany z ogromną rezerwą. Dlaczego?

Wyobraźmy to sobie: jest 1 września 2039 r., Berlin. Kolejne grupy uczniów wychodzą z pociągu, który właśnie przyjechał do stolicy Niemiec z Warszawy. Młodzież z innych polskich miast dotarła już poprzedniego dnia autobusami. Spotykają się w umówionym wcześniej punkcie, na trawiastym skwerze przed gmachem Reichstagu. Tam też dochodzi młodzież z berlińskich szkół, a także pokaźna reprezentacja młodzieży z innych regionów Niemiec.

Następnie wszyscy idą kilkaset metrów w kierunku zachodnim, pod pomnik Polskich Ofiar II Wojny Światowej, który zbudowano obok Domu Polsko-Niemieckiego. Tu czekają już przedstawiciele obu krajów najwyższego szczebla. Jest i kanclerz. Z budynku Urzędu Kanclerskiego pod ten pomnik ma tylko parę minut drogi piechotą.

Telebim ustawiony obok pomnika transmituje ceremonię, która równolegle trwa w Warszawie. Obchody 100. rocznicy napaści Trzeciej Rzeszy na Polskę i tym samym rozpoczęcia II wojny światowej są śledzone na całym świecie. Przepracowana pamięć o tej strasznej przeszłości staje się fundamentem nowej ery stosunków polsko-niemieckich...

Czy ta wizja może się ziścić? Niewykluczone. Choć obecny spór o polski pomnik (właśnie: czy w ogóle pomnik?) w Berlinie po raz kolejny pokazuje, jak ogromny brak zaufania cechuje te relacje.

Z NAMI NIKT NIE ROZMAWIAŁ | W ubiegłym tygodniu podczas konferencji w Berlinie strona niemiecka zapowiedziała chęć budowy Domu Polsko-Niemieckiego. Miejsce to miałoby upamiętnić polskie ofiary niemieckiej okupacji, a także promować wiedzę o historii Polski oraz o wzajemnych stosunkach. Pełnomocniczka rządu ds. kultury i mediów Claudia Roth, której podlega projekt, przedstawiała go w samych superlatywach: „jeden z najważniejszych", „innowacyjny", „wyjątkowy na skalę światową".

Ma on powstać w centrum Berlina, w pobliżu Reichstagu, Urzędu Kanclerskiego i Bramy Brandenburskiej. Na wskazanym przez inicjatorów terenie przed wojną znajdowała się Opera Krolla: w tym budynku 1 września 1939 r. Adolf Hitler ogłosił atak na Polskę. Rząd Niemiec chce samodzielnie sfinansować projekt, dobitnie przyznać się do niemieckich win z przeszłości i przysłużyć się polsko-niemieckiemu pojednaniu.

A więc wszystko się zgadza? Niekoniecznie. Problemy zaczynają się już, gdy o komentarz prosimy w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. – Sama inicjatywa na pewno cieszy – zaczyna dyplomatycznie Arkadiusz Mularczyk, sekretarz stanu i pełnomocnik rządu ds. reparacji. Już w drugim zdaniu krytykuje jednak brak konsultacji na temat pomysłu. – Niemiecka strona nie wnioskowała o opinię w MSZ, Ministerstwie Kultury czy IPN-ie – mówi.

Polityk PiS krytykujący władze w Berlinie? Nic nowego. Jednak nasi kolejni rozmówcy nie mają już z PiS nic wspólnego, a ich opinie na temat berlińskiego projektu wcale nie nabierają cieplejszych tonów. – Nowa koncepcja okazuje się krokiem w tył – krytykuje prof. Piotr Madajczyk. Historyk i znawca relacji polsko-niemieckich przypomina, że już dwa lata temu w Berlinie przygotowano wstępny projekt miejsca upamiętnienia polskich ofiar. – W centrum pierwszej koncepcji stał pomnik, który teraz zastąpiono bardzo niejasnym znakiem lub miejscem upamiętnienia – tłumaczy.

NIEMCY NIE LUBIĄ POMNIKÓW? | Sprawa pomnika polskich ofiar II wojny światowej jest tu kluczowa. Do jego budowy namawiał już Władysław Bartoszewski. Po jego śmierci grupa weteranów niemieckiej polityki i działaczy społecznych postanowiła spełnić wolę Bartoszewskiego, cieszącego się w Niemczech autorytetem. W 2017 r. powstała społeczna inicjatywa budowy pomnika, która doprowadziła do przyjęcia jesienią 2020 r. uchwały Bundestagu w tej sprawie i do wspomnianej już koncepcji sprzed dwóch lat.

„Tygodnik" dotarł do listów, które od jakiegoś czasu niemieccy inicjatorzy ślą do Claudii Roth. Zarzucają w nich instytucjom, które przejęły pieczę nad projektem – tj. Niemieckiemu Instytutowi Spraw Polskich i Fundacji na rzecz Pomnika Pomordowanych Żydów Europy – że te z premedytacją próbują ukręcić temat samego pomnika i skupić się na przekazywaniu wiedzy w formie wystawy i wymian młodzieżowych.

– Oni nie chcą pomnika. Mówiąc o tej inicjatywie, nigdy nie używają nawet tego słowa – mówi „Tygodnikowi" architekt Florian Mausbach, jeden z pierwotnych inicjatorów. – To nasz niemiecki problem z historią. Dyktatura nazistowska bardzo chętnie operowała sugestywnymi obrazami. Dlatego w kraju panuje awersja do pomników, flag czy nawet wspólnego śpiewania. Niemcy boją się wszelkich objaw patriotyzmu jak diabeł wody święconej – dodaje.

Dr Agnieszka Wierzcholska – jedna z trzech osób odpowiedzialnych za projekt w Fundacji na rzecz Pomnika Pomordowanych Żydów Europy – tłumaczy, że miejsce upamiętnienia powstanie, zostanie w tym celu ogłoszony konkurs artystyczny. A unikanie słowa „pomnik" ma zapobiec „ograniczaniu wyobraźni twórców na temat tej przyszłej przestrzeni".

NIE TYLKO WOJNA | Kolejnym punktem spornym są nowe akcenty na wystawie głównej, która zgodnie z aktualną koncepcją ma być głównym elementem Domu Polsko-Niemieckiego. – Wystawa ma pokazywać także szerszy kontekst stosunków polsko-niemieckich – tłumaczy Wierzcholska w rozmowie z „Tygodnikiem". Spośród tematów, które mogą znaleźć się na wystawie, wymienia historię Polaków, którzy przybyli do Zagłębia Ruhry, historię multietnicznych miast, historię regionów takich jak Śląsk czy historię pojednania po II wojnie światowej.

HANNES P ALBERT / DPA / PAP

Claudia Roth przedstawia ideę Domu Polsko-Niemieckiego. Berlin, 29 sierpnia 2023 r.

Podczas prezentacji koncepcji w ubiegłym tygodniu Claudia Roth z widocznie większym entuzjazmem mówiła o potrzebie przybliżenia losów Solidarności niż upamiętnienia polskich ofiar.

– Z naszej perspektywy II wojna światowa była doświadczeniem anihilacji państwa oraz jego obywateli – mówi „Tygodnikowi" Hanna Radziejowska, dyrektorka Instytutu Pileckiego w Berlinie. – Niemcy w upamiętnianiu tego okresu stawiają zawsze na uniwersalne, ponadnarodowe kategorie ofiar. I wygląda na to, że uznanie i upamiętnienie tylko polskich ofiar jest dla nich tak trudne, że trzeba to osadzić w relatywizującym kontekście, że raz jedni byli źli, a raz drudzy.

Także prof. Madajczyk dostrzega niebezpieczeństwo „rozmycia historii niemieckiej okupacji".

Z kolei prof. Krzysztof Ruchniewicz, dyrektor Centrum Studiów Niemieckich na Uniwersytecie Wrocławskim, wskazuje, że już sama nazwa „Dom Polsko-Niemiecki" jest problematyczna. – Nie było jednego terytorium czy państwowości polsko-niemieckiej. Pogodzenie tych różnych historii będzie bardzo trudne – przekonuje.

BAJEK O HITLERZE NIE BĘDZIE | – Podanie więcej kontekstu nie oznacza relatywizacji – broni projektu Wierzcholska. Przekonuje, że wiedza jest potrzebna, aby zrozumieć, skąd bierze się wrogość wobec drugiego, a wrogości wobec Polaków nie zrozumiemy bez przedstawienia np. antypolskiej polityki w Prusach w drugiej połowie XIX w. W rozmowie z „Tygodnikiem" żarliwie zaświadcza o szczerych intencjach strony niemieckiej.

Kontaktujemy się z prof. Jochenem Böhlerem, autorem książek o niemieckiej okupacji i zbrodniach Wehrmachtu. Doradzał przy pierwszej koncepcji miejsca pamięci. Böhler przyznaje, że na temat zakresu tematycznego przyszłej wystawy toczyły się intensywne rozmowy. – Mogę zapewnić, że wszyscy zdawali sobie sprawę, że w centrum muszą znajdować się niemieckie zbrodnie na polskim narodzie popełnione w czasie II wojny światowej. Na pewno nikt nie będzie opowiadał tam bajek, że wszystko było super, aż nagle przyszedł zły Hitler – przekonuje.

– Uczniowie w niemieckich szkołach nie mają pojęcia o tym, co wydarzyło się w Polsce w latach 1939-45. Dlatego ten Dom musi być miejscem spotkań uczniów i naukowców z Polski i Niemiec oraz promieniować i przekazywać wiedzę do innych miast i regionów – mówi Böhler.

CZAS UCIEKA | Do tej pory nikt z polskich ekspertów, z którymi rozmawiał „Tygodnik", nie został zaproszony przez stronę niemiecką do opiniowania projektu. Autorzy koncepcji ujawniają jedynie, że nawiązali współpracę z Instytutem Historycznym PAN. To instytucja zasłużona, ale jej badania nie koncentrują się *stricte* na II wojnie światowej.

– Potrzebne są szerokie polsko-niemieckie dyskusje z włączeniem różnych polskich instytucji – przekonuje prof. Madajczyk. Z kolei Arkadiusz Mularczyk podkreśla, że polski rząd nie zaakceptuje sytuacji, w której inicjatywa będzie rozwijana bez pomnika jako jej elementu. Krótko po rozmowie z „Tygodnikiem" wysłał w tej sprawie pismo do Berlina.

Czasu na zdobycie zaufania polskiej strony zostało niewiele. Strona niemiecka chce już wiosną 2024 r. mieć gotowy szczegółowy plan dalszych działań, który trafi do Bundestagu.

Jest jeszcze jeden zasadniczy problem. Jak na razie chęć budowy Domu w miejscu, gdzie stała Opera Krolla, to wciąż myślenie życzeniowe. Grunt należy do miasta. Do tej pory nie toczą się żadne konkretne rozmowy na temat ewentualnych pozwoleń. Miejsce leży na terenie lubianego przez berlińczyków parku miejskiego. Nie trzeba dużo wyobraźni, by przewidzieć protesty mieszkańców, jeśli pod budowę trzeba będzie wycinać dorodny drzewostan. A jak wskazuje Hanna Radziejowska, rzetelne opowiedzenie o wszystkich wspomnianych w koncepcji tematach będzie wymagało przecież ogromnej przestrzeni.

Pomysłodawca pierwotnej idei powstania pomnika, 79-letni Florian Mausbach, przyznaje, że stracił już nadzieję, że dożyje powstania miejsca poświęconego polskim ofiarom. Prof. Ruchniewicz zwraca uwagę, że czas odgrywa rolę również dla żyjących wciąż ofiar: – Bardzo ważne jest, żeby oni zdążyli to miejsce odwiedzić.

■■■

W ubiegły piątek 1 września w miejscu, gdzie dziś jest łąka, a gdzie w przyszłości mógłby powstać Dom Polsko-Niemiecki, zorganizowano obchody upamiętniające 84. rocznicę napaści Niemiec na Polskę. W zaproszeniu wyszczególniono, że goście, owszem, mogą przynieść „pojedyncze kwiaty", ale już znicze nie są mile widziane.

Widać upłyną jeszcze lata, zanim wynaleziona zostanie formuła, która w kwestii upamiętniania historii zaspokoi potrzeby zarówno Niemców, jak i Polaków. ©

Lekcje pod bombami

GABRIELLA JÓŹWIAK, BRYTYJSKA DZIENNIKARKA:

Starsze dzieci źle znoszą stały stan zagrożenia. Rozumieją, co to alarm przeciwlotniczy. Niektóre się trzęsą, inne się moczą albo nie chcą spać, bo boją się ciemności.

AGNIESZKA ZIELIŃSKA: Opublikowała Pani serię reportaży o ukraińskich uczniach, jak adaptują się do wojny. Czy możemy w ogóle powiedzieć, że się adaptują?

GABRIELLA JÓŹWIAK: Wszystko zależy, gdzie mieszkają i w jakiej są sytuacji. Przed rosyjską agresją na pełną skalę w Ukrainie było 7,5 mln dzieci. Z tej liczby, jak podaje UNICEF, 2 mln wyjechały za granicę, a 2,5 mln to uchodźcy wewnętrzni. Sytuacja jest różna i ona wpływa na dzieci. Są takie, które wciąż żyją w tymczasowych ośrodkach, w halach, z innymi uchodźcami.

Życie na zachodzie Ukrainy jest trochę bliższe normalności, tam szkoły się otworzyły i dzieci znów mogły zobaczyć swoich nauczycieli oraz rówieśników czy uprawiać sport po szkole. Dla dzieci to ważne, by mieć listę powtarzających się czynności, plan dnia. To daje im choćby chwilowe poczucie bezpieczeństwa.

Większość dzieci niestety chodzi do szkoły nieregularnie. Zwykle krótko rano, a potem kontynuują naukę zdalnie. Albo uczą się przez tydzień w domu, a tydzień w szkole. Te rotacyjne zmiany spowodowane są tym, że szkolne schrony nie są przystosowane, aby pomieścić wszystkie dzieci, stąd konieczna jest taka organizacja pracy.

Premier Denys Szmyhal przyznał, że tylko 68 proc. instytucji edukacyjnych ma schrony. Brakuje ich zwłaszcza na wschodzie, gdzie jest niebezpieczniej, i gdzie częściej są alarmy bombowe. Jak wygląda organizacja nauki na wschodzie kraju?

Tam większość dzieci uczy się zdalnie. Według danych rządowych tylko połowa uczniów ma dostęp do komputera czy tableta. Inne uczą się z telefonu komórkowego, który czasem muszą jeszcze dzielić z rodzeństwem. Nauka zdalna jest dużo gorsza dla ich zdrowia psychicznego, bo mają mało kontaktu z rówieśnikami. Mnóstwo czasu spędzają też same w domu, kiedy rodzice muszą iść do pracy. Alarm przeciwlotniczy we wschodnich regionach kraju rozbrzmiewa często, także w nocy, a to oznacza, że dzieci gorzej śpią.

Dziewczynka z Zaporoża [miasta oddalonego 40 km od frontu – red.] opowiadała mi, że jej życie toczy się na korytarzu, bo to najbezpieczniejsze miejsce w domu. Tam każdego dnia spędza wiele godzin, ucząc się na telefonie. Czasem tylko może wyjść na spacer. To nie jest życie dla dzieci, które powinny bawić się, śmiać się i biegać z rówieśnikami. Dzieci muszą być dziećmi, muszą mieć dzieciństwo. A one na co dzień doświadczają smutku i straty.

Kiedy rozmawiałam z dziećmi, uchodźcami wewnętrznymi, nie mówiły mi o zabawkach, ale o tym, że czekają na telefon od taty, albo jak bardzo chciałyby go przytulić. Rodzice wciąż boją się wypuszczać dzieci z domu, martwią się, że np. trafią na miny.

Zaczyna się nowy rok szkolny, kolejny w cieniu pełnoskalowej wojny. Jak bardzo zmieniła się podstawa programowa?

Nie widzę jakichś dużych zmian w programie nauczania. Problemem jest organizacja zajęć, bo szkół z roku na rok jest mniej. Ukraińskie ministerstwo oświaty i nauki podaje, że do końca sierpnia w kraju trafionych pociskami czy bombami zostało już 3750 instytucji edukacyjnych – to pojęcie obejmuje nie tylko szkoły – z czego 361 zostało całkowicie zniszczonych.

Dzieci trzeba dzielić na mniejsze grupy, organizować dla niektórych roczników lekcje poranne, a dla innych wieczorne, wprowadzać częściej edukację zdalną. Nauczycielki opowiadały mi, że niektóre dzieci nawet cieszą się, że nie muszą tak wcześnie wstawać na zajęcia, tylko łączą się zdalnie. Ale z perspektywy nauczycielek to gorzej, bo nie widzą swoich dzieci, nie mogą tak jak wcześniej obserwować ich podczas przerw, zobaczyć, jak zmienia się ich zachowanie i czy nie potrzebują pomocy.

W programie z pewnością jest więcej lekcji wychowawczych i dyskusji, w których nauczyciele starają się odpowiedzieć na potrzeby uczniów?

Nauczycielka z Lwowa opowiadała mi o swoim uczniu, którego ojciec zginął w Bachmucie. Ten chłopczyk przez dwa tygodnie nie wypowiedział żadnego słowa, miał taką traumę. Wtedy ważna jest rola nauczyciela, który także szuka dla dziecka psychologa. Ukraińscy nauczyciele podkreślają, że edukacja jest ważna, i nie zmniejszają podstawy programowej, ale przez to, że na lekcjach trzeba prowadzić właśnie rozmowy wspierające dzieci, nie sądzę, aby program nauczania mógł zostać zreali-

EVGENIY MALOLETKA / AP / EAST NEWS

Korytarz zniszczonej przez rakietę szkoły w Czernichowie, kwiecień 2022 r.

zowany. Nauczyciele przede wszystkim dbają o stan psychiczny dzieci, dopiero później mogą uczyć. Choć trzeba przyznać, że egzaminy w tym roku odbyły się zupełnie normalnie.

Jestem pod wrażeniem tego, jak dzieci są zmotywowane do nauki, nie pozwalają, aby wojna zmarnowała ich przyszłość. Słyszałam od dzieci, że chcą pomóc swojemu krajowi i być psychologami. Po zniszczeniu zapory w Nowej Kachowce wiele chce być inżynierami i biologami, aby pomóc w odbudowie tego miejsca, a także fauny i flory. To niesamowite.

Jak reagują na syreny, ogłaszające alarm bombowy?

Wszystko zależy od wieku dzieci, im młodsze, tym mniej świadome. Byłam w przedszkolu, gdzie nauczycielki opowiadały swoim dzieciom baśnie o wilkach. Mówiły, że kiedy wyje syrena, to jest nawoływanie wilka, aby reszta wilków pobiegła z nim do schronu. Dzieci wtedy myślą, że to fajna gra, i spokojnie idą do schronu.

Gorzej jest ze starszymi. Rozumieją więcej i wiedzą, z czym te alarmy się wiążą. Reakcje są różne, niektóre trzęsą się, inne płaczą, krzyczą. Są też takie, które moczą się albo nie chcą spać w nocy, bo boją się, jak jest ciemno. Rozmawiałam niedawno z nauczycielką, która pojechała z grupą 30 dzieci na wycieczkę do Chorwacji, aby mogły choć na chwilę odpocząć. To były dzieci w wieku od 6 do 14 lat. Zarezerwowano dla nich miejsce do spania w pobliżu lotniska i choć wiedziały, że są w bezpiecznym kraju, to na odgłos samolotu niektóre się trzęsły. One już są tak zaprogramowane, że hałas może wywołać u nich lęk.

Jak w dłuższej perspektywie wojna może wpłynąć na ich rozwój?

Sytuacje stresowe także u nich wywołują reakcję „walka lub ucieczka". Organizm wydziela wtedy hormony, które pomagają człowiekowi ratować życie. Ale gdy organizm często wydziela kortyzol i adrenalinę, zaczyna mieć to wpływ na rozwój mózgu, zwłaszcza u małych dzieci. A to może spowodować nieodwracalne zmiany na całe życie. Badania potwierdzają, że dzieci, które przeżyły poważne albo powtarzające się trudne doświadczenia, częściej cierpiały na problemy psychiczne, kiedy dorosły. Poza tym mogą mieć problemy w szkole, trudności ze stworzeniem relacji w przyszłości, mogą nawet zachorować na astmę, cukrzycę lub choroby nerek. Mogą cierpieć na zespół stresu pourazowego.

Któraś z rozmów najbardziej zapadła Pani w pamięć?

Dużo obserwowałam. Trudno było zacząć rozmowę z dzieckiem, bo zwykłe pytanie „jak się czujesz?" było po prostu nie na miejscu, nie chciałam sprawiać im więcej bólu. Wstrząsnęła mną zwłaszcza wizyta w domu dziecka. Tam dowiedziałam się dużo o stanie psychicznym dzieci, obserwując, jak się bawią, jak odnoszą do siebie, swoich nauczycielek. Był tam 4-letni chłopiec, bardzo niespokojny, który bez przerwy pytał, gdzie jest jego mama. Dowiedziałam się, że razem z nią uciekł przed bombardowaniem ze wschodniej Ukrainy do Lwowa. Znaleziono go na ławce obok pijanej matki. Tak trafił do domu dziecka. Minęło sporo czasu, ale jego mama nie daje znaku życia, ani razu się z nim nie kontaktowała.

To dziecko potrzebuje specjalistycznej pomocy. Ale jak mogą mu pomóc wychowawczynie w domu dziecka, które same przeżywają swoją traumę i nie mogą dać mu takiej pomocy i opieki, jakiej teraz potrzebuje. Podczas mojej wizyty w tym domu dziecka chłopiec przytulał się do mojej tłumaczki i płakał.

Jest taka teoria przywiązania, kiedy małe dzieci potrzebują zaufanych dorosłych, na których mogą się opierać. A ten chłopiec wybierał nieznajomych. ©

ARCHIWUM PRYWATNE

GABRIELLA JÓŹWIAK
jest brytyjską dziennikarką freelancerką z polskimi korzeniami, specjalizuje się w tematyce dzieci i młodzieży. Relacjonowała sytuację najmłodszych m.in. w Afryce Zachodniej i Ameryce Południowej. Dzięki stypendium z The Dart Centre prowadzonego przez Columbia Journalism School zrealizowała projekt „Dzieci Ukrainy – kto może uratować ich przyszłość" i napisała serię reportaży, za które dostała nagrodę Best Print Journalist, Freelance Journalism Awards 2023.

Gdy w dopływach Dniepru obniżył sie poziom wody, te statki osiadły na mieliźnie. Okolice Chortycy, sierpień 2023 r.

Sekrety Chortycy

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z ZAPOROŻA

Zniszczenie tamy na Dnieprze było tragedią. Ale przy okazji odsłoniło zatopione kiedyś tereny, które obfitują w archeologiczne znaleziska.

Ołeh Własow ślęczał przed komputerem. Nanosił poprawki na trzecie wydanie mapy Wełykiego Łuhu z XIX wieku. Były to zmiany nieznaczne – głównie kolejne toponimy, które odnalazł.

Nad pierwszą wersją mapy pracował przez trzy lata, od czasu do czasu rzucając tę robotę w kąt, bo nie wierzył, że efekt kogoś zainteresuje. Gdy po jej wydaniu mapa rozeszła się błyskawicznie, postanowił, że będzie ją poprawiał i dodrukowywał.

Własow jest historykiem i krajoznawcą, pracuje w narodowym rezerwacie przyrody na dnieprzańskiej wyspie Chortyca, położonej tuż koło miasta Zaporoże. Jest też miłośnikiem tego regionu – praca jest także jego pasją. Podkreśla to jego koszulka, na której nadrukowano Dniepr i jego dopływy.

Wełykyj Łuh – jak opisuje go Własow – to nizinne szuwary poprzecinane labiryntem cieśnin, odnóg, jezior i błot. Pokryte gęstymi trzcinami, grzybieniami, łąkami, lasami bagiennymi i krzewami, spomiędzy których gdzieniegdzie wyłaniały się wysokie wydmy.

Teren ten znajdował się na południe od dzisiejszego Zaporoża. Własow pisał: „Wełykyj Łuh to cud przyrody pradawnego Dniepru, który złożono w ofierze »postępu technologicznego« w połowie wieku XX", gdy zbudowano Kachowską Elektrownię Wodną (jeden z sześciu takich obiektów regulujących nurt Dniepru). Po powstaniu tamy woda zalała Wełykyj Łuh. Pod jej powierzchnią zniknęły i liczne wsie, i zabytki historyczne. Wszystko po to, by produkować energię, zapobiec powodziom i usprawnić transport rzeczny.

Na mapie Własowa przeszłość wciąż dawała o sobie znać. Ale gdy pracował nad kolejnymi poprawkami, przez myśl mu nie przeszło, że wkrótce może stać się niemal aktualna.

Łuh powraca

Choć przyrodnicy od dawna postulowali, aby woda ze Zbiornika Kachowskiego – powstałego na terenie Wełykiego Łuhu – była stopniowo spuszczana (rzecz jasna w sposób kontrolowany), ukraińskie władze nie chciały o tym słyszeć. Dlatego dla Własowa mapa była wspomnieniem o tym, co było, ale prędko nie wróci. Nie mógł się spodziewać, że gdy kolejna edycja mapy opuści drukarnię, Zbiornika Kachowskiego już nie będzie. Ani że zniknie on w taki sposób.

Na początku czerwca elektrownia wodna została zniszczona – według najbardziej prawdopodobnej wersji zrobili to Rosjanie (choć nie zostało to potwierdzone). Woda spłynęła, a fala powodziowa zalała miejscowości znajdujące się na południe od Kachowki, w tym Chersoń. Tysiące ludzi musiało być ewakuowanych z domów, co najmniej 88 osób zginęło. Woda odeszła od brzegów czasami na kilka kilometrów, co spowodowało, że tereny rolne i miejscowości znajdujące się przy zbiorniku nagle zostały pozbawione dostępu do wody, co zagroziło tym miejscom wymarciem.

Gdy Dniepr zaczął się gwałtownie obniżać i odsłaniać tereny zalane od ponad 70 lat, początkowo przyrodnicy obawiali się, że może dojść do katastrofy ekologicznej. Ale przyroda szybko wzięła sprawy w swoje ręce. Podobnie jak archeolodzy, którzy wkroczyli na odsłonięte miejsca – i zaczęli znajdować przedmioty liczące sobie nawet ponad 2 tys. lat.

Traf chciał, że niedługo po tym wydarzeniu pojawiło się wznowienie mapy Własowa.

Symbol narodowy

Jego biuro znajduje się w muzeum na wyspie Chortyca. Jest ona uznawana za jeden z siedmiu cudów Ukrainy. Pełna malowniczej przyrody, gdzie występuje ponad tysiąc gatunków roślin, bardzo kontrastuje z industrialnym krajobrazem miasta Zaporoże.

Jest to także miejsce naładowane historią. Od wieku XVI do XVIII była to część Siczy Zaporoskiej – stałego obozu kozackiego – i miejsce starć Kozaków z Imperium Osmańskim oraz z Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Dziś Chortyca jest postrzegana przez wielu Ukraińców jako symbol tożsamości narodowej, pełen legend i mitów. Niektóre tutejsze znaleziska są zresztą starsze – mają po kilka tysięcy lat. Na Chortycy są kurhany stare jak egipskie piramidy. Z myślą o turystach na początku XXI wieku powstała tutaj również drewniana rekonstrukcja kozackiej siczy, gdzie starano się oddać ducha epoki.

Gdy Mychajło Mułenko, pełniący obowiązki kierownika sektora ochrony przyrody w rezerwacie Chortyca, usłyszał o wysadzeniu tamy kachowskiej, był zdezorientowany. Nie wiedział, czego się spodziewać.

Jeszcze na uniwersytecie uczył się teorii, jak spuszczać wodę ze zbiorników wodnych. Popierał pomysł, aby ten kachowski zniknął, bo jego zdaniem każdego roku prowadził głównie do erozji kilku kilometrów kwadratowych brzegu. Jednak Mułenko myślał, że osuszenie zbiornika i przywrócenie Dniepru do starego nurtu będzie rozłożone na jedną czy nawet dwie dekady, aby zminimalizować szkody. Tymczasem wszystko wydarzyło się z dnia na dzień.

Straszne prognozy...

Mułenko obserwował, jak Dniepr u brzegów Chortycy gwałtownie opada, jak odsłania brzegi, które dawno nie były na powierzchni. Tylko wokół wyspy – według szacunków Mułenki – obszar piaszczystych plaż wzrósł czterokrotnie, z 70 do 270 hektarów.

Dwa dni po zniszczeniu tamy poziom wody w Dnieprze obniżył się o niemal cztery metry. Mułenko widział to wszystko w czarnych barwach.

W pobliżu Chortycy znajduje się wiele roślin wodnych, w tym chronionych – po wysadzeniu tamy groziło im obumarcie. Z powodu obniżenia poziomu wody swoje miejsca lęgowe mogły opuścić ptaki, a pisklęta w już założonych gniazdach zginąć. Ponadto do Dniepru i jego zbiorników od dziesięcioleci trafiały ścieki, dlatego na dnie zbierały się pestycydy, metale ciężkie i inne zanieczyszczenia. Teraz odsłonięty muł miał szybko wyschnąć, a wyschnięty byłby lekki i podatny na erozję wiatrową. Mułenko obawiał się, że wzbiją się chmury śmierdzącego pyłu, który będzie roznosił się po Zaporożu i po regionie.

Początkowo jedyną dobrą informacją było to, że nie dojdzie do masowego śnięcia ryb, bo woda odeszła tak szybko, że zabrała je ze sobą.

...się nie sprawdziły

Poziom Dniepru zatem wciąż się obniżał. W okolicy Nikopola o 10 metrów, a Kachowki aż o 13 metrów. W okolicy Chortycy, która znajduje się tuż przy Dnieprzańskiej Elektrowni Wodnej, ustabilizował się na poziomie ok. 4,5 m niższym niż przed wysadzeniem tamy (w ciągu doby różni się on jednak, bo jest zależny od ilości wody przepuszczonej przez Dnieprzańską Elektrownię Wodną).

Rzeczywiście – tak jak prognozował Mułenko – wiele roślin obumarło, ryby przeniosły się gdzieś dalej, podobnie jak ptaki. Nie doszło jednak do takiej degradacji, jakiej się obawiał.

Pod wpływem gwałtownych wydarzeń ekosystem się zmieniał. Największym zaskoczeniem było to, że odsłonięte muliste wybrzeże zaczęło gwałtownie porastać roślinami, które istniały na tych ziemiach przed powstaniem Kachowskiej Elektrowni Wodnej. Akurat w tym czasie pyliły wierzby i topole – puch z ich nasionami równomiernie osiadał na tafli Dnierpu, a następnie na dnie. Gdy nagle woda odeszła, zostały tam i puściły kiełki. Dziś te młode drzewka mają już po 70 centymetrów.

– Nawet nie przychodziło mi do głowy, że te tereny zarosną w ciągu miesiąca – przyznaje Mułenko.

Niemal natychmiast rzeka wróciła do swojego dawnego nurtu, dość podobnego do tego, który widnieje na mapie Własowa (autor zastrzega, że to teren, który szybko się zmienia, więc wiek XIX nie jest najlepszym odniesieniem). Jak wyjaśnia Mułenko, 70 lat dla Dniepru, który formował się milion lat, to żadna poważna zmiana. I jakkolwiek paradoksalnie by to brzmiało: ta ludzka tragedia stała się czymś pozytywnym z punktu widzenia środowiska naturalnego, bo daje nadzieję, że odtworzą się tereny, które zostały zatopione – takie jak Wełykyj Łuh.

Przyznaje też, że potrzeba więcej czasu, aby ostatecznie ocenić zmiany, do których doszło.

Co odsłonił Dniepr

W dniu wysadzenia tamy Anatolijem Wołkowem targały sprzeczne emocje. Z jednej strony rozumiał ogrom tragedii. Widział, co się stało w zalanych miejscowościach i z czym mierzą się mieszkańcy przy brzegach Dniepru. Z drugiej jednak strony czuł ekscytację, bo instynkt archeologa podpowiadał mu, że to niepowtarzalna szansa. – Zakładałem, że odsłonią się tereny, które będzie można badać i odnaleźć tam ciekawe materiały znajdujące się pod wodą od 70 lat – mówi.

Wołkow jest pracownikiem naukowym w dziale ochrony zabytków, archeologii i przyrody rezerwatu Chortyca.

Kilka dni po zniszczeniu tamy w Kachowce rozpoczął wraz z zespołem monitorowanie wybrzeża. Odtąd robią to każdego dnia. W ciągu tych trzech miesięcy znaleźli kilkaset przedmiotów. Większość to zabytki ceramiczne z epoki brązu czy kule do broni palnej z czasów kozackich. Wyjątkowym odkryciem była rzymska moneta z 141 r., która trafiła na Chortycę zapewne dzięki handlowi między Imperium Rzymskim a tutejszymi plemionami. Z czasów kozackich pochodzi też wiele innych znalezisk, jak klamry od pasów, guziki, szkło i ceramika.

W poszukiwaniach pomagają mieszkańcy. Dzwonią, że trafili np. na mokre drewniane elementy. Zwykle znajdują przedmioty z minionego wieku, ale zdarzało się, że odnajdywali historyczne perełki. Pod koniec czerwca na plaży znaleziono niemal siedmiometrową dębową ↦

ANATOLIJ WOŁKOW, *archeolog, ogląda jedno ze znalezisk w muzeum na Chortycy.*

OŁEH WŁASOW, *historyk i krajoznawca, z mapą Wełykoho Łuhu własnego autorstwa.*

Zniszczenie tamy w Kachowce może pozytywnie wpłynąć na środowisko naturalne – uważa **MYCHAJŁO MUŁENKO**, *który odpowiada za ochronę przyrody w rezerwacie na wyspie. Chortyca, sierpień 2023 r.*

↦ łódź, która liczy kilkaset lat – dokładna data jest jeszcze określana.

Wołkow spodziewa się, że znalezisk będzie więcej. – To wszystko to dopiero pierwszy etap badań archeologicznych, czyli rekonesans i oględziny. Zbieramy na razie materiał, który jest na powierzchni. To jeszcze nie są inwazyjne badania – wyjaśnia.

Za jakiś czas planują wykopaliska. – Każde znalezisko jest dla mnie ważne i wywołuje euforię – przyznaje Wołkow. – Wcześniej znajdowaliśmy jedną-dwie metalowe kule, a teraz od razu czternaście. Bardzo podoba mi się ceramika, każde naczynie jest niepowtarzalne.

Wołkow pokazuje ozdoby, na których wzory, jak mówi, wygniatane były paznokciem – istotnie te wzory na każdym naczyniu się różnią.

Mapa teraźniejszości albo przeszłości

Także Ołeh Własow pochłonięty jest pracą. Aby ze mną porozmawiać, odrywa się od artykułu, który właśnie pisze. Dotyczy zmiany toponimów na terytorium rezerwatu przyrody. Gdy obniżył się poziom wody, zniknęła część jezior i wysp, które ukształtowały się w rezultacie powstania Zbiornika Kachowskiego. Mieszkańcy nadawali im swoje nazwy – czasem proste, jak Wyspa Południowa – a on to wszystko dokumentował.

Teraz na powierzchnię wyszły piaszczyste kosy, kamienne grzbiety i małe ostrowy, które przyciągają ludzi. Własow nie lubi, jak coś pozostaje nienazwane. – Ludzie chodzą po Chortycy i wybrzeżach Dniepru, robią temu wszystkiemu zdjęcia. Uważam, że przynajmniej część obiektów zasługuje na to, by miały swoją nazwę, a do tego niektóre z tych miejsc istniały do powstania zbiornika – wyjaśnia.

Być może zabierze się do tworzenia nowej mapy, która pokaże Dniepr w jego współczesnym nurcie. Czy będzie opisywać tylko krótki wycinek historii? Wszystko zależy od tego, czy władze w Kijowie będą trwać przy postanowieniu, że Kachowską Elektrownię Wodną trzeba niezwłocznie odbudować. Bo wtedy Wełykyj Łuh znowu zaleje woda. © PAWEŁ PIENIĄŻEK

Tekst powstał dzięki wsparciu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Kawa czy herbata?

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

Choć Wyspy wciąż są jednym z największych importerów herbaty, na to pytanie Brytyjczycy coraz częściej odpowiadają: mała czarna.

BEN STANSALL / PA / EAST NEWS

Herbatka wolontariuszy z królem Karolem III w bibliotece w Colchester, marzec 2023 r.

A WIĘC STAŁO SIĘ: REGULARNIE KAWĘ pije 63 proc. mieszkańców Wysp, czyli o 4 proc. więcej niż herbatę. Tak wynika z opublikowanych przez „The Times" badań konsumenckich. Przewaga niewielka, ale w dyskusji publicznej zmianę uznano za niemal sensacyjną.

Jeszcze przed dekadą wyglądało to inaczej: w badaniu ośrodka YouGov z 2012 r. na herbatę jako ulubiony napój wskazało 52 proc. ankietowanych, a na kawę jedynie 35 proc. Dziś herbata została zdetronizowana. Co za tym stoi?

MŁODSI WOLĄ KAWĘ | Dyskusja o wyższości kawy bądź herbaty nie jest nowa. Podczas tej wywołanej ostatnimi badaniami padają argumenty o większej różnorodności kawy i sposobów jej podawania – choć zwolennicy herbaty z pewnością znajdą sporo kontrargumentów. Wskazuje się też na możliwą zmianę pokoleniową: młodzi Brytyjczycy mieliby odchodzić od herbaty, postrzeganej jako nieco staromodna. A jeśli już ją piją, to raczej zieloną lub ziołową, a nie tradycyjną czarną.

Debata nad przyczynami tej zmiany jeszcze potrwa, ale fakty są jasne. Dane British Coffee Association wyglądają tak: Brytyjczycy piją dziś ok. 98 mln filiżanek kawy dziennie. Aż 80 proc. tych, którzy chodzą do kawiarni na małą czarną, robi to przynajmniej raz w tygodniu, a 16 proc. codziennie. Z kolei agencja Kantar ustaliła, że w ciągu roku Brytyjczycy kupili w supermarketach ponad 533 mln paczek kawy i tylko 287 mln opakowań herbaty.

HERBATKA NA ZAMKU | Żeby nie było jednak wątpliwości: filiżanka herbaty nadal jest jednym z symboli brytyjskości – i turystyczną atrakcją. W zamkach czy ziemskich posiadłościach otwartych dla zwiedzających funkcjonują *tearooms*, herbaciarnie (choć można w nich napić się także kawy). W *tearoom* zwykle można zamówić *cream tea*, tradycyjną popołudniową przekąskę składającą się z herbaty i *scones*, lekko słodkawych wypieków serwowanych z dżemem i gęstą śmietaną *clotted cream* (stąd nazwa).

W Szkocji mój ulubiony *tearoom* jest w Delgatie Castle w Aberdeenshire – choć muszę wyznać, że zamiast herbaty do *cream tea* zawsze proszę czarną kawę. Jestem tu – jak mówi Joan Johnson, która zarządza zamkiem – w mniejszości, większość gości zamawia do tego herbatę. Joan przyznaje jednak, że w innych porach kawę podają w Delgatie częściej.

Delgatie Castle – który szczyci się pięknymi malowanymi sufitami z XVI w. oraz sypialnią, w której nocowała Maria Stuart, królowa Szkotów – oferuje też gościom *vintage afternoon tea*. To luksusowa herbaciana propozycja, odwołująca się do brytyjskiej tradycji: ciasta i kanapki na wytwornej zastawie.

KRÓTKA HISTORIA HERBATY | Pierwszą wzmiankę o niej odnotowano na Wyspach, o czym przypomina „The Times", w 1658 r.: w ogłoszeniu prasowym reklamującym „Chiński napój, zwany przez Chińczyków Tcha, a przez inne narody Tay lub Tee". Nowinka dla najbogatszych, z czasem stała się popularna wśród arystokracji, a potem klasy średniej.

Tradycja popołudniowej herbaty datuje się jednak dopiero od wieku XIX i czasów wiktoriańskich. – Miała wypełnić długą przerwę między jedzonym około południa lunchem a obiadem, który podawano nie wcześniej niż o ósmej wieczorem – wyjaśnia Joan Johnson.

To zatem rodzaj podwieczorku, w którym herbata jest jedną z pozycji. – Nasza *afternoon tea* składa się z kanapek, kiełbasek w bułce, paszteciików, scone'ów z dżemem, a także ciasteczek do wyboru: eklerków, makaroników, bezowych tart owocowych – wylicza Joan. – Podawana jest zawsze do stołu nakrytego obrusem, na naszej porcelanowej zastawie *vintage*.

W Delgatie *afternoon tea* zamawiana jest zwykle podczas uroczystości rodzinnych oraz przez turystów.
W całym kraju oferują ją hotele i restauracje jako typowo brytyjskie doświadczenie. Londyński Ritz proponuje do wyboru aż 18 rodzajów herbaty oraz... kieliszek szampana. Obowiązuje *dress code*, dżinsy są zabronione.

TO NIE ZMIERZCH | Filiżanka popołudniowej herbaty przynależy do popularnych wyobrażeń o życiu na Wyspach, tak jak angielska pogoda i specyficzne poczucie humoru. Historia herbaty mocno wpisała się w losy imperium – choćby przez wszechmocną Kompanię Wschodnioindyjską czy konsekwencje herbatki bostońskiej, gdy w 1773 r. amerykańscy kupcy zbuntowali się przeciw kolonialnej podległości.

I choć kawa zyskuje na popularności, o zmierzchu herbaty mówić nie można – UK Tea and Infusions Association podkreśla, że Brytyjczycy wypijają jej średnio ok. 100 mln filiżanek dziennie. ©℗

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA.ORG

HISTORIA

BISKUP ZDRAJCA I KRÓL PRZEKLĘTY

Średniowieczne Czechy, Węgry i Ruś miały świętych władców. A my 770 lat temu kanonizowaliśmy postać, o której nie wiadomo nic pewnego. Jednak opowieść o Stanisławie pozwoliła Piastom zjednoczyć kraj.

MACIEJ MÜLLER

Czterej zbrojni wpadli do siedziby biskupa, znienawidzonego przez króla, i jęli przeszukiwać komnaty. Nie ma go tu, biegnijmy do katedry! W kościele trwały nieszpory, hierarcha w otoczeniu duchownych modlił się, klęcząc przed ołtarzem. Przeczuwał zagrożenie, ale nie pozwolił zamknąć bram katedry, przecież to dom Boży. Rycerze dobiegli, dobyli mieczy i – w imię króla – zarąbali biskupa na śmierć.

Powyższa historia, o której Wincenty Kadłubek przeczytał po raz pierwszy podczas studiów w Paryżu, nie dawała mu spokoju. Męczeństwo Tomasza Becketa, arcybiskupa Canterbury, zasieczonego w 1170 r. przez rycerzy angielskiego króla Henryka II (rycerzy nadgorliwych; podczas uczty król miał westchnąć: „Któż mnie uwolni od tego klechy"), było znane w Europie. Odnotowali je także polscy rocznikarze, a już w sześć lat po męczeństwie wezwanie kanonizowanego tymczasem Becketa nosiło jedno z opactw cysterskich.

Kadłubek, żyjący na przełomie wieków XII i XIII biskup krakowski, już wcześniej słyszał o czymś podobnym.

Biskup Stanisław jako patron Królestwa Polskiego na miniaturze autorstwa Stanisława Samostrzelnika, lata 30. XVI wieku.

Wśród duchowieństwa katedry krakowskiej po cichu opowiadano o wydarzeniu sprzed ponad stu lat, gdy Polska utraciła królewską koronę. Zanim wiele lat później Wincenty uwiecznił w swej kronice dzieje Polski – tak jak je widział – gruntownie tę tradycję zbadał. A luki w niej – uzupełnił.

Śledztwo franciszkanina

770 lat temu, 17 września 1253 r., skrybowie papieża Innocentego IV przynieśli mu do zatwierdzenia bullę spisaną dziewięć dni po uroczystościach w Asyżu. Tam to, u grobu św. Franciszka, papież uznał za przyjętego w poczet świętych Stanisława, biskupa krakowskiego.

Droga do tej decyzji nie była prosta. Początkowo papież był sceptyczny wobec postulatu wyniesienia Stanisława na ołtarze, który przedstawił mu polski biskup Prandota. Przecież cuda uzdrowień powinny mnożyć się u grobu świętego patrona zaraz po jego śmierci, a nie prawie dwa wieki później. Ponadto papież dowiedział się, że w kręgach dworskich istniała tradycja stawiająca Stanisława w złym świetle, zarzucająca mu uczestnictwo w jakimś spisku, chciwość, a nawet rozpustę. Sprawę należało zbadać.

Polscy biskupi powołali więc komisję, która zgromadziła świadectwa uzdrowień i dowodziła istnienia kultu. Ale Innocenty dalej nie dowierzał. Wysłał do Polski Jakuba z Velletri, zaufanego franciszkanina. Wiózł on ze sobą list z instrukcjami: „Zarządzisz – pisał papież – aby stawili się przed tobą możliwie wszyscy ci, o których się mówi, że zostali uwolnieni od rozmaitych chorób, i wypytasz ich o to dokładnie. (...) Rozpatrzysz się, jak wygląda pobożność ludu i powszechna opinia na temat męczeństwa i jego przyczyny, a także świętości samego Stanisława. Zbadasz ponadto, czy diecezja krakowska graniczy z poganami i schizmatyckimi Rusinami i czy dla tych dusz mógłby wyniknąć z racji tej kanonizacji jakiś pożytek". Nakazał też Jakubowi przestudiować kroniki, roczniki i napis nagrobny.

Ślad w kapitule

W Krakowie Jakuba niewątpliwie zachęcono do lektury zwłaszcza jednej kroniki: tej autorstwa Wincentego Kadłubka, zmarłego prawie trzy dekady temu.

Jakub przeczytał w niej o okrutnym i prześladującym poddanych królu Bolesławie, napominanym przez pełnego cnót biskupa Stanisława. Oto podczas wyprawy wojennej do rycerzy królewskich dotarły wieści, że żony zdradzają ich z czeladzią. Opuścili więc króla i wrócili, by ukarać cudzołożnice. Bolesław szalał z gniewu z powodu nieudanej wyprawy. Inspirując się starożytnymi pismami ↦

↦ św. Justyna, kronikarz napisał, że król kazał odebrać rycerskim żonom dzieci i przystawiać do ich piersi szczenięta.

Wtedy biskup rzucił na króla klątwę. Ten zaś na czele zbrojnych wbiegł do kościoła na Skałce (wówczas niewielkim wzniesieniu, już poza granicami Krakowa), gdzie hierarcha właśnie sprawował mszę i „biskupa niewinnego rozszarpał, poszczególne członki na najdrobniejsze cząstki rozsiekał".

Czy franciszkanin wyczuł tu podobieństwo do historii Tomasza Becketa? Jeśli tak, to pewnie uznał to za dowód świętości.

Ślad śledztwa Jakuba z Velletri na temat Stanisławowych cudów przetrwał do dziś w archiwum kapituły krakowskiej: to dokument z 1252 r. zatytułowany „Miracula sancti Stanislai". W 52 punktach streszcza on zeznania uzdrowionych, takie jak to: „Włościej, mąż szlachetnej pani imieniem Mglicha, będąc pewnego razu w Krakowie, doznał tak gwałtownego bólu oczu, że przewróciły mu się i nie było ich widać, tylko czerwone mięso. Zaprowadzono go do kościoła, w którym leży ciało św. Stanisława, zanurzono pierścień owego świętego w wodzie, a wodą obmyto jego oczy. I zaczął mieć się lepiej, a uzdrowiony jadł, choć przedtem nie jadł przez trzy dni (...). Stwierdzają to wspomniana Mglicha ze szlachetnego rodu, Paweł, [oraz] Dziewula, pobożna kobieta".

Materiały, które Jakub przywiózł do Rzymu, rozwiały wątpliwości Innocentego. Fragmenty bulli kanonizacyjnej zadziwiająco przypominają narrację Kadłubka. Papież kazał też napisać: „Na wezwanie jego imienia prawica Boża natychmiast przywraca życie umarłym, wzrok ślepym, mowę niemym, władzę chodzenia chromym, zdrowy mózg epileptykom, wytchnienie opętanym".

Sprawa Stanisława

O tym, co się naprawdę wydarzyło w 1079 r. – gdy Stanisław stracił życie, a Bolesław tron – zapewne nigdy już się nie dowiemy.

Opowieść Kadłubka nie nadaje się do rekonstrukcji faktów: kronikarz ten słynie z obudowywania polskich dziejów antycznymi legendami. Filozof religii Zbigniew Mikołejko ironizował, że wzorując się na metodzie Kadłubka „można by zapewne kanonizować wawelskiego smoka, bo zabił go podstępnie pogański książę". Kronikarz nie przejmował się też prawdopodobieństwem opisanych wydarzeń. „Jak uwierzyć w to, że żony rycerzy nagle się zmówiły i zaczęły masowo zdradzać mężów? A oni równie nagle zostawili swego władcę i gremialnie ruszyli do kraju, by się mścić?" – wskazywał mediewista Jerzy Wyrozumski.

Był ktoś, kto na temat „sprawy Stanisława" wiedział wiele, może wszystko. To inny kronikarz, Gall Anonim. Ale w swojej kronice, którą pisał kilkadziesiąt lat po śmierci biskupa, poświęcił jej tylko jeden akapit, nad którego sensem historycy łamią sobie głowy do dziś: „Jak zaś doszło do wypędzenia króla Bolesława z Polski, długo byłoby o tym mówić; tyle wszakże można powiedzieć, że sam będąc pomazańcem, nie powinien był [drugiego] pomazańca za żaden grzech karać cieleśnie. Wiele mu to bowiem zaszkodziło, gdy przeciw grzechowi grzech zastosował i za zdradę wydał biskupa na obcięcie członków. My zaś ani nie usprawiedliwiamy biskupa-zdrajcy, ani nie zalecamy króla, który tak szpetnie dochodził swych praw, lecz pozostawmy te sprawy, a opowiedzmy, jak przyjęto go na Węgrzech".

Materiał dowodowy jest więc bardzo ubogi, w dodatku prowadzi nieraz do sprzecznych wniosków. Na przykład: Gall sugeruje, że nad biskupem odbył się sąd (co rodzi kolejne pytania, np. czy uczestniczył w nim arcybiskup gnieźnieński Bogumił, zwierzchnik Stanisława?), i że wydano wyrok obcięcia członków.

Tymczasem przechowywana na Wawelu czaszka, będąca według badań prawdziwą relikwią Stanisława, ma na części potylicznej kilkucentymetrowe wgniecenie, powstałe wskutek uderzenia tępym narzędziem. Co wskazywałoby nie na wyrok, lecz morderstwo. I to popełnione nie ostrzem miecza, ale innym narzędziem – może np. lichtarzem?

Obcięta prawica

Gall sugeruje, że przyczyną wygnania króla była kaźń biskupa, ale współcześni badacze są zgodni, że to by nie wystarczyło do obalenia monarchy. W kraju prawdopodobnie od lat narastało niezadowolenie spowodowane długotrwałym wysiłkiem militarnym (wyprawy na Czechy, Ruś i Węgry). Narastał kryzys wewnętrzny, który Bolesław spotęgował, nakładając w 1076 r. na skronie koronę królewską. Mediewista Tomasz Jurek uważa, że mogło to wywołać niezadowolenie możnych, gdyż naruszało ład polityczny i zanadto wywyższało monarchę: księcia wybierali możnowładcy, a król był namaszczony przez Boga.

Wielu mogła się też nie podobać antycesarska i propapieska orientacja Bolesława, a malkontenci mogli gromadzić się wokół królewskiego brata Władysława (a może raczej sterującego nim wszechwładnego niebawem możnowładcy Sieciecha?). Bunt mógł być też inspirowany z zagranicy – Bolesław naraził się sąsiadom.

Śmierć biskupa być może przelała czarę goryczy. Stanisław nie musiał nawet współpracować ze spiskowcami: w logice feudalnej wieku XI do „zdrady" wystarczył jakikolwiek wyraz sprzeciwu wobec władcy. Biskup był dostojnikiem książęcym, przez niego mianowanym i zobowiązanym do posłuszeństwa. Dlatego też pewnie Bolesław skazał go na obcięcie członków: nie była to kara śmierci, chodziło raczej o pozbawienie biskupa prawej ręki, którą niegdyś ślubował posłuszeństwo... A biskup nie przeżył wykonania wyroku.

Bolesław z pewnością nie obdarzył biskupstwem krakowskim człowieka przypadkowego: Stanisława musiał znać, ufać mu, chciał mieć go w najbliższym otoczeniu. Coś ich poróżniło. Być może Stanisławowi nie podobało się, że arcybiskupem odnowionej metropolii w Gnieźnie został ktoś inny, a jego diecezję terytorialnie okrojono? Ale to hipoteza bez pokrycia w źródłach.

Raczej nigdy nie dowiemy się, co rozdzieliło tych dwóch ludzi, wcześniej blisko współpracujących przez wiele lat.

Swojak na ołtarzu

Sprawa śmierci biskupa zapewne nie przydawała chwały dynastii piastowskiej, skoro Gall – pracujący na dworze księcia Bolesława Krzywoustego – nie zdradził jej szczegółów. Ale wśród duchowieństwa krakowskiego przetrwała tradycja stawiająca go w jednoznacznie pozytywnym świetle. To ją po latach wydobędzie na światło dzienne i uczyni obowiązującą Wincenty Kadłubek.

Przez długie dekady mało kto myślał jednak o czynieniu z zabitego hierarchy świętego – choć wyrazem jakichś przymiarek mogło być przeniesienie jego szczątków ze Skałki na Wawel.

MUZEUM ZAMKOWE W SANDOMIERZU

Pieczęć Leszka Czarnego ze św. Stanisławem odprawiającym mszę. Odcisk w wosku jubilerskim przy pomocy zrekonstruowanego tłoka metalowego, ze zbiorów Muzeum Zamkowego w Sandomierzu.

Niemniej nawet Kadłubek jako biskup krakowski nie podjął starań o kanonizację. Zrobił to dopiero jego następca, Iwo Odrowąż, a dopiął w połowie XIII w. Prandota.

Piastowie, zasiadający na coraz liczniejszych wtedy dzielnicowych tronach książęcych, odnosili się do kościelnych prób budowy nowego kultu bez entuzjazmu: Kadłubkowa opowieść postponowała ich przodka i dynastię.

Polska stanowiła wówczas ciekawy wyjątek na mapie Europy: Węgry miały świętego króla Stefana, Czechy Wacława, Anglia Edmunda, Ruś Włodzimierza. Tymczasem u nas nie ma śladu po wysiłkach, by na ołtarze wynieść Mieszka, który przyjął chrzest, albo Chrobrego, który tworzył struktury Kościoła. Mieliśmy tylko Wojciecha – wygnanego biskupa czeskiego, zabitego przez Prusów podczas misji chrystianizacyjnej (zresztą nieudanej).

Wspierany przez biskupów i szeregowe duchowieństwo kult Stanisława rozwijał się mimo braku wsparcia ze strony dynastii (co dowodziło rosnącej siły Kościoła), a kanonizacja w 1253 r. przyniosła mu niebywałą popularność. Jak pisał w 1987 r. jeden z najwybitniejszych jego badaczy Marian Plezia: „Posiadanie »swojaka« w gronie świętych było niesłychanym umocnieniem i podniesieniem na duchu, którego dać nie mógł kult św. Wojciecha (...). Chyba tylko przeżycie powszechnego uniesienia, jakiego doznała Polska niedawno na wieść o wyborze metropolity krakowskiego na Stolicę Piotrową, może nam uprzytomnić uczucia, jakie były udziałem naszych przodków po ogłoszeniu kanonizacji św. Stanisława".

Biskup, książę i drwale

Nowy święty został szybko zagospodarowany przez hierarchów, coraz potężniejszych dzięki postępującemu rozdrobnieniu dzielnicowemu i osłabieniu dynastii. Wiek XIII to czas walki o tzw. wolność Kościoła: chodziło tu o wolność od władzy świeckiej, czyli zwolnienia z danin na rzecz księcia oraz od jego sądownictwa. Święty Stanisław, który zasłynął ze sprzeciwu wobec niesprawiedliwości władcy, idealnie nadawał się na niebiańskiego rzecznika takich żądań. Hierarchowie mieli nadzieję, że jego historia w wersji stworzonej przez Kadłubka – i upowszechnionej potem za sprawą hagiografii autorstwa dominikanina Wincentego – postawi dynastię na baczność. Jeśli jednak historia o złym królu i świętym biskupie miała nauczyć książąt szacunku wobec ziemskich przedstawicieli Boga, to pomysł spalił na panewce. Wiek XIII obfituje w przykłady ostrych sporów, a nawet regularnych wojen książąt z hierarchami.

W sporach z biskupami od dawna przodowali władcy Śląska: budowniczy potęgi gospodarczej tej dzielnicy Henryk Brodaty zmarł w 1238 r. pod ekskomuniką. A do najpoważniejszego konfliktu doszło za czasów jego prawnuka Henryka Probusa. Dzielnicę wrocławską otaczała puszcza, stanowiąca naturalną barierę ochronną – nie wolno było jej wycinać. Jednak biskup wrocławski Tomasz II w 1282 r. wysłał tam drwali, a następnie bezprawnie założył kilkanaście wsi. Probus ogłosił, że należą one do niego, i wypędził biskupa z księstwa. Książę nie przejął się rzuconą nań klątwą, więc Tomasz usiłował zwołać przeciw niemu krucjatę. Konflikt ułagodzono dopiero po ośmiu latach.

Wizja zjednoczenia

Książę klęczy z pobożnie złożonymi rękami przed stołem ołtarzowym. Z drugiej strony stoi biskup w szatach pontyfikalnych, wznosi kielich. Ten pierwszy to Leszek Czarny, drugi to św. Stanisław. Książę kazał sporządzić tłok tej pieczęci w początkach swego panowania w Krakowie, około roku 1281. Z zaprojektowanym wizerunkiem wiązał się wielki program ideowy i polityczny.

W chwili kanonizacji Stanisława, w połowie wieku XIII, właściwie nie myślano o zjednoczeniu kraju. Liczni piastowscy książęta dobrze czuli się w swoich dzielnicach, coraz rzadziej myśl polityczna wykraczała poza ich wąskie granice. Szerszy horyzont polityczny cechował natomiast część duchowieństwa. Diecezje właściwie nie zmieniały swych kształtów, zawierając w sobie wiele dzielnic, a rozległość archidiecezji gnieźnieńskiej przypominała o utraconej potędze monarchii piastowskiej.

Wśród elity duchownej zaczęła się kształtować dalekosiężna wizja. Jej twórcą jest dominikanin Wincenty, autor żywotów św. Stanisława (i hymnu „Gaude Mater Polonia"). Wartość biograficzna jego pracy jest znikoma: to hagiografia ↦

↦ kształtująca postać XI-wiecznego biskupa na modłę XIII-wieczną: opisuje rzekome uniwersyteckie studia Stanisława i jego kanoniczny wybór przez kapitułę.

Dominikanin znał kronikę Kadłubka, a szczególnie następujący fragment: „Ujrzano, że z czterech stron świata nadleciały cztery orły, które krążąc dosyć wysoko nad miejscem męczeństwa, odpędzały sępy i inne krwiożercze ptaki, żeby nie tknęły męczennika. Ze czcią strzegąc go czuwały bez przerwy dniem i nocą. (...) Niektórzy zaś z ojców, ożywieni radością z powodu tego cudu i gorliwą pobożnością zapaleni, pragną usilnie pozbierać rozrzucone cząstki członków. Przystępują krok za krokiem, znajdują ciało nieuszkodzone, nawet bez śladu blizn".

Proroctwo dla królestwa

Dominikanin Wincenty postąpił krok dalej niż Kadłubek – i zapisał proroctwo o odnowieniu królestwa: „Przez zbrodnię zabójstwa, którą popełnił na osobie św. Stanisława męczennika, nie tylko spadła korona z głów jego potomstwa, lecz i Polska sama utraciła i do dziś nie odzyskała chwały i godności królestwa (...). I tak jak on posiekał ciało męczennika na wiele części i rozrzucił na wszystkie strony, tak Pan podzielił jego królestwo i dopuścił, aby wielu książąt nim rządziło (...). Lecz tak jak moc Boża uczyniła święte ciało biskupa i męczennika takim, jak było, bez śladu blizn, a świętość jego objawiła znakami i cudami, tak też w przyszłości dla jego zasług przywróci do dawnego stanu podzielone królestwo, umocni je sprawiedliwością i prawdą, opromieni chwałą i zaszczytem".

Bóg – pisał Wincenty – „zachowuje wszystkie insygnia królewskie, a mianowicie koronę, berło i włócznię, schowane w skarbcu katedry w Krakowie, który jest stolicą i siedzibą królewską, aż przyjdzie ten, który powołany jest przez Boga tak jak Aaron i dla którego one są odłożone".

Innymi słowy: utrata korony i rozbicie kraju były karą za grzech Bolesława, ale czas gniewu Bożego się kończy i wkrótce objawi się sprawiedliwy władca, Boży wybraniec, który przywróci moralny ład, zjednoczy państwo i odzyska koronę.

W ten sposób Stanisław został patronem zjednoczenia monarchii piastowskiej. Był to już czas kształtowania się poczucia jedności państwowej, a wspólny

Trzy dekady po kanonizacji Stanisława Piastowie postanowili **przechwycić opowieść o jego męczeństwie** dla celów monarchii.

święty był dla niej niezwykle mocnym spoiwem. Paradoksem historii jest fakt, że nie był to święty władca, lecz dostojnik kościelny, który władcy się sprzeciwił. Zostawmy na boku psychoanalityczne dywagacje, czy i jak wpłynęło to na polski charakter narodowy.

Pieszo na Skałkę

Hagiograficzne utwory Wincentego były popularne, kaznodzieje głosili na ich podstawie kazania, przez co proroctwo o zjednoczeniu stało się powszechnie znane. Musiało jednak minąć pokolenie, by zamysł dominikanina zrozumieli sami książęta. Należał do nich wspomniany Leszek Czarny.

Jego pieczęć to pierwsze plastyczne przedstawienie św. Stanisława jako patrona Polski i próba „przechwycenia" – antydynastycznej przecież – opowieści o jego męczeństwie dla celów monarchii.

Leszek oczywiście siebie widział w roli przyszłego króla, dlatego na pieczęci występuje – według interpretacji Zenona Piecha – jako „wybraniec biskupa" i osoba godna poprowadzenia „działań, którym biskup patronuje". Scena przedstawia moment tuż przed komunią: można w niej widzieć „podkreślenie faktu, iż winy ciążące na dynastii, a więc pośrednio na Leszku Czarnym, zostały całkowicie wymazane, albowiem przedstawiciel dynastii został ponownie dopuszczony do obrzędu mszy św., w czasie której biskup został ongiś zamordowany" – ocenia Piech.

Jednak Leszek nie zjednoczył Królestwa Polskiego – uczynił to dopiero w 1320 r. jego krewniak Władysław Łokietek. W czasach, gdy już także do szerokich elit politycznych dotarło, iż zjednoczenie to być albo nie być kraju otoczonego przez silnych i drapieżnych sąsiadów.

Kult Stanisława zrósł się zatem z monarchią oraz z państwowością. Wyrazem tego stała się – poprzedzająca każdą koronację (przynajmniej od czasów Władysława Warneńczyka) – piesza procesja następcy tronu z Wawelu na Skałkę i z powrotem. Ceną za „pomoc" Stanisława w odbudowie państwa stał się hołd składany mu przez monarchów.

Czarny charakter

A co z drugim bohaterem dramatu z 1079 r.?

Bolesław Szczodry – dawniej zwany Śmiałym – był w istocie prawdziwym twórcą polskich struktur kościelnych (te założone wcześniej przez Chrobrego zostały bowiem zniszczone podczas buntu pogańskiego). Diecezje utworzone dzięki zabiegom Szczodrego u papieża, przetrwały do dziś. Król był też hojnym fundatorem kościołów i klasztorów – być może także tego w Tyńcu, w którym według jednej z hipotez mogły spocząć jego szczątki. W fundowanych i uposażanych klasztorach w Mogilnie, Lubiniu, Lubiążu czy Łęczycy widział zaplecze do dalszego szerzenia chrześcijaństwa.

Aż do upowszechnienia się Kadłubkowej wersji wydarzeń król Bolesław był wspominany 3 kwietnia, w domniemaną rocznicę swojej śmierci, w księgach wielu kościołów i klasztorów, a nawet... w katedrze krakowskiej. Duchowieństwo w ten dzień modliło się za jego duszę – jako wielkiego dobroczyńcy Kościoła. Najwyraźniej przez długi czas dominowała dobra pamięć tego władcy.

Po kanonizacji Stanisława ta tradycja zanikła. Bolesław stał się czarnym charakterem: bezbożnikiem, zbrodniarzem i świętokradcą. Jego zasługi zaczęto przypisywać jego ojcu, księciu Kazimierzowi Odnowicielowi. Dominikanin Wincenty, apologeta Stanisława, tak oceniał, czy raczej oczerniał Bolesława: „wygubił rycerstwo i lud, przyćmił chwałę królestwa, zamienił Polskę w pustynię".

Kościołowi udało się na tyle obrzydzić tę postać, że większość Piastów – z wyjątkiem linii mazowieckiej i śląskiej – przestała nadawać synom imię Bolesław.

Kto wie, czy – gdyby nie zakończony przelaniem krwi tajemniczy spór z biskupem krakowskim – Bolesław Szczodry nie zostałby pierwszym polskim świętym monarchą?

©℗ MACIEJ MÜLLER

Powstanie styczniowe. 160 lat pamięci

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 37/2023

ONI POWSTALI

WOJCIECH KALWAT, HISTORYK:

Powstanie styczniowe miało kluczowe znaczenie dla dalszych losów Polski. Wtedy stworzono polityczne zręby późniejszej II RP. Dla walczących o niepodległość w czasie I wojny światowej stanowiło moralny i patriotyczny punkt odniesienia.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Czym dziś dla Polaków jest powstanie styczniowe?

WOJCIECH KALWAT: Z pewnością nie ma takiego rezonansu społecznego jak choćby powstanie warszawskie, co oczywiście wynika z upływu czasu. Powstanie styczniowe miało skomplikowany przebieg, dlatego też w historiografii od zawsze trudno było zbudować o nim prostą, powszechnie zrozumiałą opowieść. Brakuje wyrazistych, łatwo uchwytnych momentów, na których można by oprzeć linię narracji. Na przykład w powstaniu listopadowym mamy zdobycie Arsenału, a potem kolejne wydarzenia na linii frontu. Powstanie styczniowe zaś składało się przede wszystkim z bardzo wielu potyczek, głównie o znaczeniu lokalnym, które rozgrywały się na terenie całego Królestwa Polskiego i części zaboru rosyjskiego, czyli terenach dzisiejszej Litwy, Białorusi i Ukrainy.

A bohaterowie powstania?

↦

↦ Było ich bardzo wielu, ale brakuje postaci, które można by nazwać bohaterami uniwersalnymi.

Czyli jakimi?

Weźmy ziemię świętokrzyską, gdzie działała Anna Henryka Pustowójtówna czy Marian Langiewicz – odegrali oni niezwykle ważną rolę, lecz zapisali się przede wszystkim w pamięci lokalnej. Na terenie choćby Wileńszczyzny nie zyskali takiego uznania i rozpoznawalności, bo tam aktywne były inne postaci. Powstanie styczniowe w swojej istocie było wydarzeniem o charakterze silnie lokalnym, powiatowo-gminnym. W wielu miejscach nie tyle się szło na wojnę, co raczej wojna przychodziła do zwykłych ludzi. W niektórych regionach niemalże każda wieś, nie mówiąc o miasteczkach, została dotknięta w taki czy inny sposób przez powstanie – przede wszystkim poprzez obecność samych powstańców. Góry Świętokrzyskie, Lubelszczyzna, Podlasie – tam działania zbrojne były najintensywniejsze, tam też pamięć o powstaniu styczniowym jest najsilniejsza. Szczególnie że wzmacniana jest pamięcią rodzinną, bo zachowały się wspomnienia o przodkach, którzy wtedy poszli walczyć. Z kolei w dużych miastach powstanie było odczuwane znacznie słabiej. Przygotowując naszą wystawę, zadaliśmy sobie dużo trudu, aby dotrzeć właśnie do potomków powstańców, aby sprawdzić, jak ta pamięć wygląda dziś.

I co się okazało?

Wciąż jest bardzo silna i powszechna. Zapraszamy do odwiedzenia strony powstanie1863-64.pl, gdzie zamieściliśmy wiele rozmów z rodzinami powstańców, w tym z potomkami Traugutta czy Pustowójtówny. W naszych pracach badawczych odwoływaliśmy się oczywiście do romantycznego ducha, tego XIX-wiecznego pragnienia wolności, pchającego wówczas Polaków do walki, ale odnosimy się również do rosyjskiej agresji w Ukrainie, bo, jak się okazuje, idea wojny imperialnej wciąż jest aktualna.

W Waszej opowieści o powstaniu pojawiają się także takie miejsca jak Wrocław – dlaczego?

Wynika to ze skomplikowanej historii Polski XIX, ale i XX wieku. Niezwykle ważnym miejscem dbania o pamięć o powstaniu styczniowym był Lwów. Do Galicji zbiegło wielu powstańców, a ich potomkowie po II wojnie światowej zostali przesiedleni na Dolny Śląsk.

> Powstanie nie byłoby możliwe bez zaangażowania tysięcy kobiet. Niektóre poszły walczyć z bronią w ręku, większość odgrywała ogromnie ważną rolę na drugiej linii walk. Płaciły za to olbrzymią cenę, na równi z mężczyznami.

Z dzisiejszej perspektywy o powstaniu styczniowym mówi się, że było z góry skazane na porażkę.

W przeddzień wybuchu sytuacja wyglądała zgoła inaczej. Liczono na to, że uda się zdobyć większe ilości broni. Szykowano się do innej walki, takiej, która byłaby zbieżna z romantyczną wizją bohaterstwa i pola bitwy. Szybko jednak okazało się, że rzeczywistość będzie wyglądać zupełnie inaczej. Powstanie styczniowe było wojną partyzancką, trudną i wykańczającą, brudną wręcz, bo trzeba pamiętać, że w pewnym sensie była to wojna domowa. To istotna analogia z powstaniem warszawskim. Kolejna to fakt, że w 1863 roku powstańcy przybierają pseudonimy konspiracyjne i pojawiają się zalążki państwa podziemnego – ze sprawnymi agendami cywilnymi, w tym sądownictwem i ciałami ustawodawczymi. Dziś często o tym zapominamy, ale działania z czasów II wojny światowej bazowały w wielu obszarach na doświadczeniach z powstania styczniowego.

Powstanie miało też duże znaczenie społeczne.

Wtedy zaczęły się procesy związane z uwłaszczeniem chłopów, a szerzej – z narodzinami nowoczesnego społeczeństwa. Inny ważny aspekt – powstanie nie byłoby możliwe bez zaangażowania tysięcy kobiet. Niektóre, około stu, poszły walczyć z bronią w ręku, większość odgrywała ogromnie ważną rolę na drugiej linii walk – choćby w kwestii zaopatrzenia czy pomocy medycznej. Płaciły za to olbrzymią cenę, na równi z mężczyznami. Niektóre były zsyłane na Sybir, a te, które zostawały w kraju same, bo ich mężowie ginęli albo trafiali do więzień, musiały zadbać o siebie i swoje rodziny, co znacząco przyspieszyło proces emancypacji. To w tym pokoleniu masowo pojawiają się nauczycielki, guwernantki, ale też kobiety biznesu – może nie na wielką skalę, wszystko to jednak było znaczącym przesunięciem społecznej roli kobiet. Lata 60. i 70. XIX wieku to w ogóle czas wielkich zmian, a przez to wielkich kontrastów.

Jakie inne konsekwencje miało powstanie styczniowe dla dalszych losów Polski?

Wtedy stworzono zręby późniejszej II RP. Dla żołnierzy walczących o niepodległość w czasie I wojny światowej i zaraz po niej było ono niezwykle ważnym moralnie i patriotycznie punktem odniesienia. Sam Piłsudski był wielkim piewcą powstania styczniowego – wychowany w jego kulcie, był nawet jego historykiem. Co prawda pisał o nim jako o walce straceńczej, ale jego zdaniem o Polskę walczyć należało zawsze, nawet wbrew militarnym i politycznym kalkulacjom, czego sam był najlepszym przykładem. Z jego inicjatywy w II RP zaopiekowano się – symbolicznie i materialnie – żyjącymi jeszcze weteranami powstania. Nazywano ich wręcz żywymi pomnikami.

A politycznie?

Poza walką partyzancką w czasie całego powstania styczniowego trwała również intensywna walka polityczna – rządy formowały się i upadały, ścierały się różne światopoglądy i pomysły na nową rzeczywistość. To kolejna trudność w budowaniu opowieści o tamtych wydarzeniach. Z tego chaosu potem wyłoniły się nowoczesne partie polityczne. Jedną z konsekwencji powstania były silne represje ekonomiczne, co znacząco osłabiło frakcje postulujące dalszą walkę zbrojną z zaborcami. Istnienie narodu jako pewnej wspólnoty, także interesów materialnych, zostało poważnie zagrożone. Zaraz po powstaniu krytyka tego typu działań była wszędzie niezwykle silna. Szczególnie w Krakowie – grupa Stańczyków zawiązała się właśnie w ramach sprzeciwu wobec takiej polityki, weźmy choćby słynne potępienie *liberum conspiro*. Twór-

ANNA OLCHAWSKA / MATERIAŁY PRASOWE MNK

Sztandar z powstania styczniowego z herbem trójdzielnym

Matejki, którą dziś odbieramy jako emanację patriotyzmu, również miała źródła w klęsce powstania – w wielkim rozczarowaniu i smutku po jego upadku. To piętno widać na wielu obrazach mistrza. Z kolei rozgoryczeni weterani powstania często mówili o sobie jako o „wyklętych", na których zrzucono odpowiedzialność za upadek nadziei niepodległościowych. Jak wiemy dziś, słowo to będzie jeszcze powracać w polskiej debacie publicznej.

Z dzisiejszej perspektywy porażka powstania styczniowego była nieuchronna. A jak to wyglądało przed samym jego wybuchem?

Nastroje patriotyczne na przełomie lat 50. i 60. XIX wieku były niezwykle silne. Odbywały się liczne manifestacje, brali w nich udział przede wszystkim ludzie młodzi, ambitni, którzy nie chcieli spędzić reszty życia pod zaborem rosyjskim. Ich zapał wiązał się z tym, że często mieli niewiele do stracenia. Powszechnie wierzono też, co wydaje się naiwne z perspektywy czasu, że łatwo i w dużej ilości uda się zdobyć broń. Wielu miało nadzieję, że oficerowie rosyjscy im w tym pomogą. Do tego dochodzi olbrzymie poczucie dumy narodowej – przekonanie, że nam, Polakom, wolność się po prostu należy, że racja moralna jest po naszej stronie. Zwłaszcza że nieco wcześniej Rosja poniosła dotkliwą klęskę w wojnie krymskiej, co zrodziło polityczny ferment w całej Europie. Niewiele też wskazywało na to, że Włochom uda się zjednoczyć, a jednak działo się to na oczach przyszłych powstańców. No i, jak zwykle, liczono na pomoc Francji.

Zawiodły bezpośrednie przygotowania?

Struktury państwowe były świetnie zorganizowane, udało się zbudować sprawny aparat administracyjny, jednak komponent wojskowy od początku kulał. Dotkliwie brakowało broni, szczególnie na początku. Zdarzało się, że młodzi powstańcy szli do walki z gołymi rękami albo uzbrojeni w to, co im wpadło w ręce, na przykład w sztachety wyrwane z płotu.

Albo w słynne kosy osadzone na sztorc.

Kosynierom czasem udawały się rzeczy niezwykłe, jak choćby zdobycie części rosyjskiej artylerii w bitwie pod Węgrowem. To przykład niezwykłego bohaterstwa. Tak jednak było na początku walk – rzeczywistość szybko weryfikowała nadzieje walczących, którzy w obliczu olbrzymiej przewagi wroga rezygnowali. To kolejna charakterystyczna cecha tego powstania – olbrzymia rotacja walczących, których szeregi zasilali ochotnicy z pozostałych zaborów. Gdyby udało się ich wszystkich zmobilizować w jednym momencie, szanse na sukces byłyby całkiem spore. Niefortunna była też sama data. Środek zimy to nie najlepszy moment do zaczynania walk partyzanckich. Podsumowując – entuzjazm dla walki był olbrzymi, szczególnie wśród młodych. Widać to w licznych wspomnieniach weteranów. A jednocześnie wielu podkreślało, że ojcowie i dziadkowie byli mu przeciwni, bo nie widzieli szans na zwycięstwo. Znamy to dobrze z historii, nie tylko Polski.

O czym opowiada Wasza wystawa?

Tytuł wystawy to „Powstali 1863-64", tak samo nazywa się film animowany, który jej towarzyszy. W ten sposób oczywiście nawiązujemy do samej nazwy – powstanie styczniowe – ale zależało nam bardzo na ludzkim komponencie – że to ktoś powstał, że oni powstali w jakimś celu. O tamtych wydarzeniach opowiadamy przez pryzmat pojedynczych biografii ludzi walczących o wartości, w które wierzyli. Wolimy unikać niepotrzebnego zadęcia i trudnego języka naukowego, bo chcemy zbudować opowieść zrozumiałą dla szerokiego odbiorcy, ale też aktualną, pokazującą, że powstanie styczniowe było jednym z kluczowych wydarzeń w historii Polski.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Wystawa **POWSTALI 1863-64**

Od maja można było ją oglądać kolejno w Warszawie, Łowiczu, Węgrowie, Ostrołęce, Tykocinie, Małogoszczu, Sandomierzu, Tarnowie i Zamościu.

Od 31 sierpnia do 10 września można ją oglądać w Lublinie na placu Litewskim. Wstęp wolny.

Kuratorzy wystawy:
Wojciech Kalwat, Sebastian Pawlina

Projekt plastyczny i wykonanie:
Studio projektowe Sowa-Szenk

Organizator: Muzeum Historii Polski

Wystawa dofinansowana ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Darczyńca: Bank Pekao S.A.

Patroni medialni: Polskie Radio, Telewizja Polska, TVP3, Polska Press Grupa, Nasza Historia, Gość Niedzielny, Dzieje.pl

MACIEJ CIOCH / MATERIAŁY PRASOWE MHP

Inaugurujący obchody 160. rocznicy powstania styczniowego koncert „1863. Ku wolności" w Teatrze Narodowym w Warszawie, 22 stycznia 2023 r.

160 lat pamięci

WOJCIECH KALWAT, SEBASTIAN PAWLINA

Powstanie styczniowe rozgrywało się przede wszystkim w małych miastach, miasteczkach i wsiach. Chcemy sprawić, aby to, co przez dekady było słabością opowieści o styczniowej insurekcji, czyli jej funkcjonowanie na prowincji, dzisiaj stało się siłą.

W sobotę 21 stycznia 1933 r. na stokach warszawskiej Cytadeli, w której więziono i stracono wielu powstańców styczniowych, generał Edward Śmigły-Rydz mówił do weteranów insurekcji 1863 roku: „Wyście swą walką sprawili, że dni naszej młodości nie były dniami posuchy i pustki, lecz były czarownymi dniami tęsknoty i woli; wyście naszej młodości dali poezję buntu przeciw słabości, rezygnacji i zadowoleniu. Na was myśmy z przejęciem całej duszy młodzieńczej »równali«, gdyśmy w żołnierskim pierwszy raz stawali szeregu. Wasze mogiły wołały wielkim głosem do naszego wodza: »Idź i czyń!«".

Na pamięci o bohaterach zrywu wyrosło nie tylko pokolenie, które wywalczyło niepodległość w 1918 r., ale także kolejne – dorastające w II Rzeczypospolitej, walczące w II wojnie światowej. Upływ czasu, ale także charakter powstania sprawiły jednak, że pamięć o nim, sprowadzona do kilku haseł, uległa zatarciu. W ten sposób zniknęło wiele elementów niezbędnych do zrozumienia tamtych ludzi i wydarzeń. Okazją do ich przypomnienia jest obchodzona w tym i przyszłym roku 160. rocznica, której towarzyszą obchody w całym kraju.

Pierwsze wydarzenia odbyły się już w listopadzie 2022 r. Wówczas otwarto wystawy „Powstanie styczniowe. W 160. rocznicę zrywu", zorganizowaną w krakowskich Sukiennicach przez Muzeum Narodowe w Krakowie, a także „Ramię przy ramieniu", przygotowaną przez Żydowski Instytut Historyczny i opowiadającą m.in. o udziale w powstaniu Polaków żydowskiego pochodzenia. W styczniu swoje ekspozycje zwiedzającym udostępniły m.in. Narodowe Centrum Kultury oraz Zamek Królewski w Warszawie.

Oficjalnym początkiem cyklu wydarzeń rocznicowych była jednak uroczystość państwowa pod Bramą Straceń na warszawskiej Cytadeli – w tym samym miejscu, w którym 90 lat wcześniej przemawiał Śmigły-Rydz – z udziałem prezydentów Polski i Litwy, przedstawicieli Ukrainy oraz demokratycznego ruchu białoruskiego. „Jesteśmy tutaj razem, jako członkowie narodów, które walczyły o zrzucenie rosyjskich kajdanów i powrót własnego niepodległego państwa", mówił wówczas prezydent Andrzej Duda. Pamięć o tej dawnej wspólnocie, symbolizowanej przez trójdzielny herb, którym posługiwali się powstańcy styczniowi, w obliczu wydarzeń za naszą wschodnią granicą nabiera dzisiaj szczególnego, niestety bardzo aktualnego charakteru.

Dzień wcześniej, w niedzielę 22 stycznia, w Teatrze Narodowym w Warszawie można było zobaczyć widowisko muzyczne „1863. Ku wolności". Zaprezentowane wówczas nowoczesne aranżacje utworów z okresu powstania i trochę późniejszych pozwoliły nadać im nowe i bardziej współczesne oblicze.

Szczególną rolę w działaniach rocznicowych pełni Muzeum Historii Polski, koordynujące obchody w całym kraju, ale także realizujące swoje projekty. Wśród

nich znalazły się trzy wystawy. Otwarcie najważniejszej z nich odbyło się w maju. „Powstali 1863-64" to mobilna i multimedialna ekspozycja składająca się z dwóch elementów. Pierwszym z nich jest opowiedziana na 16 modułach historia zrywu – od przedstyczniowych manifestacji, przez przebieg walk, udział w nich wybranych postaci oraz różnych grup społecznych, po doniesienia światowej prasy o wydarzeniach, powstańczą modę z epoki i pamięć o zrywie. Centralną częścią wystawy jest kopuła, w której prezentowane są animacje przedstawiające wybrane epizody styczniowej insurekcji. Wystawie towarzyszy pakiet edukacyjny oraz wiele innych form aktywności. Do września można było ją oglądać w szeregu miast, m.in. w Warszawie, Łowiczu, Zamościu i Lublinie. W kolejnych tygodniach będzie dostępna m.in. w Katowicach i we Wrocławiu. Planujemy także wyjazdy w przyszłym roku, w tym na Litwę. Chcemy w ten sposób podkreślić wieloetniczny charakter powstania i jego znaczenie nie tylko dla Polaków.

Ważne miejsce w działaniach Muzeum Historii Polski zajmuje portal powstanie1863-64.pl, stworzony specjalnie z okazji 160. rocznicy. Prezentowane są na nim aktualności na temat wydarzeń kulturalnych i relacje z obchodów w całym kraju. Na portalu znajdują się także artykuły, opracowania i źródła historyczne, wywiady z historykami i specjalistami, filmy, audiobooki, a także materiały edukacyjne do pobrania. Jednym z najciekawszych elementów strony są podkasty zawierające rozmowy z potomkami powstańców styczniowych. Ten unikalny materiał pozwala wniknąć głębiej nie tylko w tę wielką historię, ale także w indywidualne losy uczestników zrywu i w pamięć o nich wśród bliskich.

Portal, tak jak i całe obchody, jest częściowo projektem społecznym. Staramy się bowiem, aby współtworzyli go organizatorzy wszelkich wydarzeń kulturalnych i naukowych nawiązujących do powstania styczniowego. Dzięki temu jesteśmy w stanie opowiedzieć nawet o tych najmniejszych miejscowościach, w których pamięć o uczestnikach walk 1863 i 1864 roku jest szczególnie żywa. Stanowi to odbicie specyficznego charakteru tamtego zrywu, który w większości toczył się właśnie w małych miastach, miasteczkach i wsiach. Chcemy sprawić, aby to, co przez dekady było słabością opowieści o styczniowej insurekcji, czyli jej funkcjonowanie na prowincji, dzisiaj stało się siłą.

Żeby jednak te projekty, realizowane często przez niewielkie fundacje i domy kultury, miały szansę na przebicie się do świadomości ludzi, Biuro „Niepodległa" powołało specjalną edycję programu dotacyjnego. Łączna kwota dofinansowania wyniosła 4,5 mln zł. Pod koniec 2022 r. wyłoniono w jego ramach 130 podmiotów samorządowych i instytucji kultury. Dzięki grantom finansowane są m.in. wystawy muzealne, akcje edukacyjne, gry terenowe, warsztaty komiksów czy rekonstrukcje historyczne. Te ostatnie, odtwarzające zarówno bitewne starcia, jak i realia życia obozowego, cieszą się dużym uznaniem i zainteresowaniem odbiorców. Ze względu na dwuletni charakter obchodów rocznicy powstania (2023-2024) zostanie ogłoszona druga edycja programu dotacyjnego.

Ale obchody to nie tylko duże, oficjalne projekty – to także setki drobnych działań społeczności lokalnych, w ramach których odbywają się pikniki, koncerty czy uroczystości patriotyczne i religijne, upamiętniające bohaterów insurekcji.

W ramach obchodów organizowane są konferencje naukowe o wymiarze międzynarodowym i lokalnym. Wydawane są publikacje naukowe i popularnonaukowe, rozwijające naszą wiedzę o powstaniu i realiach walk zbrojnych. Powstają programy telewizyjne, radiowe oraz filmy dokumentalne poświęcone bohaterom powstania styczniowego. Wśród nich „Złota obrączka", opowiadająca o losach Zygmunta Sierakowskiego, przywódcy powstania na Litwie, „Dziewczyna smok" – historia Henryki Pustowójtówny, walczącej z bronią w ręku w powstańczych szeregach, czy też „Cudzoziemcy w powstaniu styczniowym", dokument o obcokrajowcach, którzy z całej Europy przyjeżdżali walczyć pod powstańczymi sztandarami. Obecnie realizowane są także filmy poświęcone Konstantemu Kalinowskiemu oraz ostatniemu powstańcowi – księdzu Stanisławowi Brzósce.

Dzień po uroczystościach na stokach Cytadeli w 1933 r., podczas odsłonięcia tablicy upamiętniającej Romualda Traugutta na ścianie domu, w którym mieszkał przed aresztowaniem, generał Edward Śmigły-Rydz powiedział, że „z tego domu promieniowała i biła nadludzka energia, niewzruszona wiara i olbrzymia siła moralna, zaprzeczająca potężnemu carowi prawa do Polski. Ta energia i siła moralna sięgała stąd w dalekie krańce Polski, w odwieczne puszcze grzmiące strzałami powstańców, wkładała w mdlejące, znużone dłonie, z których broń wypadła, tę broń z powrotem. Ona tworzyła w wyobraźni wroga groźną legendę o polskim rządzie narodowym, a z siedziby dyktatora, a więc z tego tu domu, robiła jakiś potężny gmach, pełen tajemnic i wielkości. Tron białego cara runął – siła moralna, idea żyje".

Dzisiaj chcemy obudzić pamięć o tej idei oraz o ludziach, którzy dla niej żyli i za nią ginęli. Nie po to, aby czcić przegrane powstanie, ale żeby przypomnieć, jak piękną i drogą rzeczą jest wolność. Wolność, która nigdy nie jest dana na zawsze. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 37/2023
REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | GRAFIKA NA OKŁADCE: Powstańcy styczniowi z oddziału żuawów śmierci 1863 roku, Walery Rzewuski / Biblioteka Narodowa
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran, Jan Stanisławski | FOTOEDYCJA: Jacek Taran | OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska

PARTNERZY
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
MUZEUM HISTORII POLSKI
160. ROCZNICA POWSTANIA STYCZNIOWEGO

„Ogólnopolski program obchodów rocznicy Powstania Styczniowego 2022–2025". Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

NAUKA

GDZIE WBIĆ GWÓŹDŹ

Geolodzy spierają się dziś, czy żyjemy w nowej epoce – antropocenie. I jak to właściwie udowodnić.

ŁUKASZ LAMŻA

Jest 20 lutego 2022 roku. Na tafli zamarzniętego jeziora Crawford we wschodniej Kanadzie rozkłada się grupka geologów oraz przedstawiciel rdzennego ludu Anishinaabe. Po stosownej ceremonii geologowie przebijają się przez lód i opuszczają w zimną toń metalowy cylinder, chłodzony od środka mieszaniną suchego lodu i etanolu. Na głębokości 20 metrów trafiają na dno. Cylinder wkręca się delikatnie w kolejne warstwy mułu, które przymarzają do jego powierzchni.

To ważny moment: dokładnie 10,7 cm pod powierzchnią mułu znajduje się cieniuteńka warstewka, która – być może – już niedługo stanie się koronnym dowodem na to, jak ważny jest człowiek.

Jak masełko na patelni

Zaczęło się w 2000 r. od chemika-noblisty Paula Crutzena, który stwierdził, że „holocen" – to oficjalna nazwa obecnej epoki geologicznej – powinien się raczej nazywać „antropocen", tak znaczny jest wpływ człowieka na świat. Błogosławieństwo i tragedia bycia noblistą są zaś takie, że nawet swobodne uwagi przy konferencyjnej kawie potrafią się przyjąć. Słowo weszło do obiegu i jest dziś coraz szerzej rozpoznawanym hasłem wywoławczym. „Antropocen" jest trochę jak „średniowiecze" – to nieformalne określenie na pewną epokę dziejów, które przemyca przy okazji jej interpretację. W pierwszym przybliżeniu to „epoka, w której człowiek psuje świat".

Równolegle z upowszechnianiem się tego słowa w języku codziennym trwa proces innego rodzaju: grupka geologów postanowiła uczynić z antropocenu element formalnego nazewnictwa geochronologicznego. Przyznać się – kto jeszcze pamięta ze szkoły: kambr, ordowik, sylur, dewon... albo: miocen, pliocen, plejstocen...? To właśnie do tego towarzystwa miałby trafić „antropocen".

Rdzeń mułowy z Crawford stał się ostatnim ogniwem potrzebnym do zgłoszenia tej propozycji do Międzynarodowej Komisji Stratygrafii (ICS). Ta sama w sobie fascynująca historia pokazuje też, jak na naszą działalność patrzą ludzie, dla których globalne zlodowacenia przychodzą i odchodzą jak pory roku, a kontynenty pływają po Ziemi niczym kostka masełka na ciepłej patelni.

Stupiętrowy tort

Geologia we współczesnym sensie rozwija się od ok. 250 lat, a jedną z jej pierwszych dziedzin była stratygrafia – nauka o warstwach skalnych. W XIX w. stratygrafowie nie tylko wiedzieli już, że skały ziemskie często układają się w warstwy, ale też jakie warstwy powtarzają się po sobie w skali kontynentalnej i globalnej. Ujawniły się też granice – czasami spektakularne, między skałami powstającymi w różnych warunkach – świadczące o przemianach zachodzących na naszej planecie. Spora w tym zasługa paleontologii i teorii ewolucji, dzięki którym zrozumieliśmy, dlaczego z czasem znikają albo pojawiają się różne organizmy.

THILINA KALUTHOTAGE / AFP / EAST NEWS

Na przełomie XIX i XX w. zaczęła się już też rysować skala czasowa ewolucji Ziemi, liczona w dziesiątkach i setkach milionów lat – z tego wszystkiego stopniowo wykształciła się dzisiejsza drabina czasu geologicznego (zob. ramka).

Dla geologa warstwy skalne i przedziały czasu to dwie strony tej samej monety. Przykładowo, charakterystyczne skały znajdowane w Jurze na granicy francusko-szwajcarskiej przyjęło się określać jako skały jurajskie. Z czasem okazało się, że skały powstałe w podobnych warunkach, zawierające ponadto bardzo podobne skamieniałości, znajduje się na całym świecie. Ten segment globalnego „tortu skalnego" określa się dziś jako system jurajski, a przedział czasu, kiedy skały te powstawały – jako okres jurajski.

Granice pomiędzy takimi przedziałami powinny wiązać się z globalnym wydarzeniem, które zostawiło w skałach widoczny ślad. Czasem udaje się znaleźć coś oczywistego. Spójrzmy na granicę między erą mezozoiku i kenozoikiem, czyli – gdy zejdziemy o jeden ząbek w głąb tabeli geologicznej – okresami kredy i paleogenu. Zdefiniowana jest przez jedno z wielkich wymierań, zainicjowane prawdopodobnie upadkiem sporego meteorytu 66 mln lat temu. To wtedy wyginęły m.in. prawie wszystkie dinozaury.

Wyobraźmy sobie jakieś miejsce na Ziemi, gdzie 66 mln lat temu odkładały się osady, np. w spokojnym tempie jednego metra na tysiąclecie. Jeśli osady takie zostaną pogrzebane na głębokości liczonej już w kilometrach, to zostanie z nich stopniowo wyciśnięta woda, dojdzie do ich scementowania i powstanie skała (np. z piasku – piaskowiec). Gdy ogląda się coraz młodsze skały „typu kredowego", to na pewnej wysokości nagle znikają niektóre skamieniałości (wielkie wymieranie), a w określonym punkcie występuje ponadto cieniutka warstewka pyłów pochodzenia meteorytycznego. To punkt graniczny okresu kredowego.

Aby dochować formalności, stratygrafowie wybierają najlepiej zachowany profil skalny obejmujący daną przemianę – to jej „profil idealny", czyli stratotyp. W nim wybiera się warstwę reprezentującego jakieś charakterystyczne zdarzenie – np. zniknięcie konkretnego gatunku albo nagły „pik" w określonym parametrze ↦

Plaża w Colombo, Sri Lanka, sierpień 2023 r.

CZAS GEOLOGICZNY

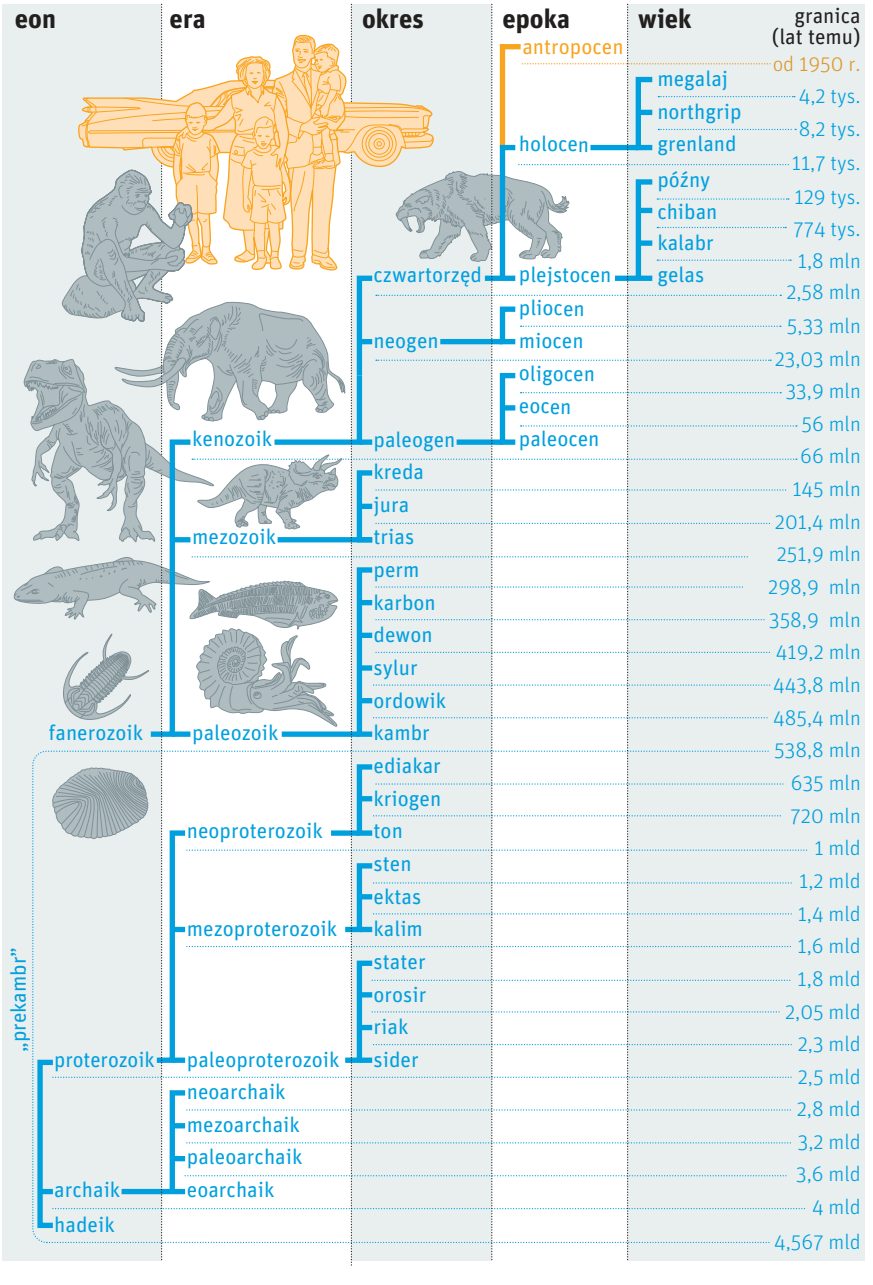

LECH MAZURCZKK

fizycznym. Techniczna nazwa tak wybranej granicy to GSSP. Po jej zatwierdzeniu przez ICS zwyczajowo w skałę wbija się w odpowiednim miejscu „złoty gwóźdź” – wykonany z brązu znacznik, który mówi: „Od tego miejsca w górę zaczyna się już paleogen”.

Miasta, pył, rolnicy

Zawiązana w 2009 r. grupa robocza do spraw antropocenu (odpowiadająca przed ICS) musi więc znaleźć w warstwach skalnych wyraźny, niepodważalny sygnał aktywności człowieka, a następnie zdefiniować dla niego stratotyp i standard GSSP. Dopiero wtedy „antropocen” mógłby stać się formalnym pojęciem geologicznym.

Na pozór zadanie wydaje się proste. Członkowie grupy roboczej przypominają na swojej stronie internetowej niektóre ślady aktywności człowieka. To ponura lektura: wzrost tempa erozji; zaburzenie cykli obiegu węgla, azotu i fosforu; globalne ocieplenie; zakwaszenie oceanów; powstawanie nowych „minerałów” i „skał”, jak beton czy plastik; „technoskamieniałości”, takie jak plastikowe butelki...

Jako początek antropocenu proponowano najpierw pojawienie się rolnictwa, pierwszych miast albo wytop metali. Zgodnie z zasadami stratygrafii granica epok musi być jednak globalna. Rozwój cywilizacji jest zaś niejednorodny: rolnictwo nawet i dzisiaj nie występuje wszędzie. Uwaga „antropocenistów” szybko skierowała się więc ku krokom milowym, które pozostawiają po sobie globalny ślad w atmosferze, jak wynalazek silnika spalinowego – dzięki niemu cała atmosfera ziemska szybko „wzbogaciła się” o drobiny popiołu lotnego. W 2019 r. planetolog James Lovelock zaproponował, aby symbolicznym początkiem antropocenu stał się rok 1712, kiedy to Thomas Newcomen opisał swój „atmosferyczny silnik parowy”.

Daty symboliczne nie wszystkich zadowalają – badacze skał wolą coś, co daje ewidentny ślad w osadach. Ostatecznie w 2016 r. członkowie grupy roboczej ustalili na głosowaniu w Cape Town, że punktem odniesienia przy definiowaniu antropocenu powinna być połowa XX w., a konkretniej: globalne ślady izotopowe po testach broni atomowej.

Pozostał teraz – bagatela – wybór odpowiedniego miejsca (stratotypu). To jednak powoduje problemy jeszcze poważniejsze, pokazujące przy tym jak na dłoni, czym różni się antropocen od wszystkich pozostałych jednostek czasu geologicznego domagających się swojego złotego gwoździa. W przypadku antropocenu po prostu nie ma go w co wbić!

Gwóźdź w muszli

Typowy czas trwania epok geologicznych to miliony lat, a odpowiadające im warstwy skał mają grubości liczone w dziesiątkach i setkach metrów. Już holocen, którego początek zdefiniowano na 11,7 tys. lat temu – gdy skończyło się ostatnie zlodowacenie – stanowił ewenement i ukłon w stronę „geologii człowieka”. 12 tys. lat to dla geologa chwilka, niewystarczająca nawet dla pełnego wykształcenia się skały osadowej. Specjalnie dla holocenu pozwolono więc na zdefiniowanie GSSP w odniesieniu do grenlandzkiego rdzenia lodowego. Antropocen wymaga jeszcze innego podejścia, skoro miałby się zacząć zaledwie 70 lat temu.

W 2018 r. członkowie grupy roboczej opublikowali długą listę lokalizacji, które mogłyby posłużyć jako złoty standard dla nowej epoki. Przykład: osady na dnie Morza Karaibskiego, z zagłębienia o nazwie basen Cariaco. Okazuje się jednak, że odległe trzęsienia ziemi powodują rozmycie się warstewek tamtejszych osadów w skali „nawet" kilku milimetrów, co wprowadza zaburzenie datowania rzędu kilku lat. Dla syluru to może błahostka, ale dla antropocenu – sporo. A co z osadami głębokomorskimi, oddalonymi od kontynentów? W końcu i tam trafiają dziś ślady naszej aktywności. Są to już miejsca spokojne, jednak osady narastają tam w tempie 1-4 milimetrów na tysiąc lat. Cały antropocen reprezentowałaby więc warstwa mułu o grubości ułamków milimetra. Mówimy o sygnałach, które zaburzyć mógłby nawet pierwotniak.

„Antropoceniści" rozważali nawet umieszczenie „złotego gwoździa" w muszlach mięczaków i pniach drzew (wymieniono m.in. konkretną sosnę z podkrakowskich Niepołomic). Ostatecznie stanęło na mule z dna jeziora Crawford: na głębokości ok. 11 cm rzeczywiście znaleziono w nim sygnał izotopowy po pierwszych bombach termojądrowych. To propozycja trochę solidniejsza od muszli ślimaka, ale i tak nowatorska: muł to jednak nie skała. Stąd konieczne było zamrażanie go na bieżąco, aby powstało coś na kształt „prawdziwego" rdzenia skalnego.

Co po nas?

W 2010 r., gdy grupa robocza złożyła wstępną propozycję wydzielenia antropocenu, członkowie ICS jednomyślnie zagłosowali przeciw. Od tego czasu regularnie publikowane są głosy krytyczne wobec propozycji antropocenu. Przyjrzyjmy się polemice, którą opublikowali w 2012 r. geolodzy Whitney Autin i John Holbrook. Najważniejsza sprawa: stratygrafia zajmuje się badaniem warstw skał, tymczasem nie ma właściwie jeszcze czegoś takiego jak skały antropocenowe. Możemy więc sobie co najwyżej wyobrażać, jak wyglądałyby współczesne osady, gdybyśmy odczekali, powiedzmy, milion lat.

Daleka przyszłość to ciekawy punkt widzenia, do którego sięgają również sami zwolennicy antropocenu. Popularna figura retoryczna odwołuje się do kosmitów, którzy badają Ziemię za wiele milionów lat (w domyśle: po wyginięciu ludzi). Czy oni wydzieliliby w ziemskich skałach osobną jednostkę geologiczną, zauważywszy w nich ślady po cywilizacji ludzkiej? Siłą rzeczy wkraczamy więc w sferę futurologii, ponieważ pytanie to każe nam zastanawiać się nad przyszłością naszego gatunku. Czy pokryjemy całą Ziemię warstwą plastiku? A może nastąpi technologiczny odwrót i następne stulecia spędzimy na pracowitym naprawianiu błędów młodości? W tym drugim przypadku po antropocenie nie pozostałby ślad!

Ponieważ jednak zwolennicy epoki antropocenu chcą ją zdefiniować dzisiaj argumentując, że ślady pozostawione przez nas już teraz są do tego wystarczające, możemy posłużyć się scenariuszem znanym z „Wielkiego solo Antona L." Herberta Rosendorfera: w ciągu nocy nagle, tajemniczo, znikają wszyscy ludzie (u Rosendorfera na Ziemi został tylko jeden człowiek, przyszły papież Hormizdas II). Systematyczniej opisał ten eksperyment myślowy np. Alan Weisman w książce „Świat bez nas". A więc wszyscy znikamy w 2023 r. Co po nas zostaje?

Autin i Holbrook zauważają przede wszystkim, że większość tworów cywilizacji względnie szybko niszczeje. Według Weismana już po kilkuset latach miasta przemieniłyby się w rdzewiejące gruzowiska, stopniowo rozdrabniane i rozpuszczane chemicznie przez roślinność, grzyby i bakterie. Wszyscy wiemy, jak wygląda budynek porzucony dekady temu: a to przecież mniej niż mrugnięcie oka w skali geologicznej. Istniały całe cywilizacje roztarte w pył przez piaski i pochłonięte przez dżunglę. Co ciekawe, pośród obiektów szczególnie trwałych Weisman wymienia naczynia ceramiczne i niektóre eksponaty muzealne, np. posągi z brązu: czyżby więc najsilniejszy ślad geologiczny pozostawiły po sobie kultury dawne, a nie cywilizacja przemysłowa?

Nawet nasze najgorsze grzechy współczesności mają ograniczoną datę ważności. Gdy czyta się analizy tempa degradacji plastiku w naturalnym środowisku, można się przestraszyć, ale te same liczby brzmią inaczej, gdy patrzy się na nie z myślą o tablicy geologicznej. Największa liczba w sporej tabeli dołączonej do jednej z takich analiz to okres połowicznego rozpadu rury plastikowej (z polietylenu HDPE) zakopanej w ziemi: 5 tys. lat. To oczywiście sporo w skali ludzkiej, ale zdecydowanie za mało, aby rura taka trafiła do zapisu kopalnego: jej chemiczne pozostałości zostaną po kilkudziesięciu tysiącach lat rozproszone po biosferze. Weisman szacuje, że nawet silnie toksyczne substancje, jak składniki paliw, rozpuszczalniki albo smary przemysłowe, zostaną przekształcone przez bakterie do postaci chemicznie niegroźnej w ciągu setek lat, a w najgorszym razie, jak w przypadku plastyfikatorów dodawanych do polimerów albo niektórych pestycydów – tysięcy.

Ludzie i wulkany

Większość stratygrafów patrzy na ewolucję Ziemi z innej perspektywy niż ci badacze, którzy przekonują, że „człowiek stał się dziś dominującą siłą geologiczną na planecie". Pierwszym, który tak powiedział, był zresztą wspomniany Crutzen – w 2002 r. pisał w „Nature" o antropocenie jako o „nowej, zdominowanej przez człowieka epoce geologicznej".

Jest w tym stwierdzeniu odrobina megalomanii. Geolog, gdy myśli o siłach „dominujących", najczęściej ma jednak przed oczami procesy takie jak powstawanie i niszczenie kontynentów, wypiętrzanie się łańcuchów górskich albo wielkie wylewy lawowe o grubości setek, a nawet tysięcy metrów, pokrywające za jednym zamachem obszar wielkości kilku solidnych europejskich krajów. Jeżeli rzeczywiście chcemy się poczuć „dominującą siłą geologiczną na planecie", to najwyższy czas brać się do generowania trzęsień ziemi, produkowania archipelagów wysp wulkanicznych oraz otwierania i zamykania oceanów!

Oczywiście, niektóre wywołane przez nas zmiany są imponujące. Nasze manipulowanie przy stężeniach gazów cieplarnianych wyraźnie przyspieszyło globalne zmiany klimatyczne. Trwają dyskusje, czy tempo tych zmian jest bezprecedensowe w historii planety. Ot, ok. 8200 lat temu doszło do nagłego globalnego ochłodzenia, prawdopodobnie o ok. 2-3 st. Celsjusza w skali kilku dekad. Przyczyną było uwolnienie dużej porcji zimnych wód polodowcowych z Ameryki Północnej do Oceanu Atlantyckiego, co zajęło być może zaledwie kilka lat, a na kilkaset lat zaburzyło zasolenie oceanu, przebieg prądów oceanicznych i wywołało wahania każdego praktycznie parametru opisującego klimat ziemski. ↦

↦ Nie ulega wątpliwości, że tempo wymierania gatunków jest obecnie niepokojące i stanowi jeden z najmocniejszych argumentów na rzecz tezy, że stanowimy dziś siłę na skalę planetarną. Wielu naukowców twierdzi, że już teraz wolno nam mówić o „wielkim wymieraniu", dopiero szóstym lub siódmym w znanej historii Ziemi. Inni mówią jednak, że do naprawdę „wielkiego" wymierania dopiero może dojść – jeśli się nie opamiętamy. Jest też problem z jednoznacznym ustaleniem jego przyczyn. Jeszcze nie tak dawno wydawało się „oczywiste", że za niedawne wymarcie megafauny, np. mamutów, odpowiada człowiek. Dziś wielu badaczy twierdzi jednak, że ich zniknięcie spowodowały jednak głównie naturalne zmiany ekosystemów po cofnięciu się lądolodu.

Warto pamiętać, że nie jest to problem zero-jedynkowy. Historia naszej planety pisana jest zarówno przez wydarzenia w skali największej (pojawianie się kontynentów i oceanów, przemiana atmosfery z beztlenowej na tlenową), średniej (nadciąganie i odchodzenie globalnych zlodowaceń, powstawanie nowych typów ekosystemów), jak i mniejszej (zaburzenia klimatyczne, pojawianie się i znikanie gatunków). „Antropoceniści" nie chcą przecież, abyśmy ogłosili nadejście nowego eonu – sam wpływ człowieka na stan powierzchni naszej planety jest zaś bezdyskusyjny. To zresztą miałby być jeden z kluczowych obszarów w ramach „badań nad antropocenem": próba zrozumienia, jak poważne w skali planetarnej są działania człowieka.

Język uwikłany

W 2016 r. Stanley Finney, ówczesny przewodniczący ICS – a więc „szef szefów" grupy roboczej ds. antropocenu – opublikował wyważoną, ale mocną krytykę działań i postulatów tej grupy. Znalazły się tam uwagi organizacyjne, zwłaszcza ta, że jej członkowie są wyjątkowo głośni medialnie, np. ogłaszając rzekome sukcesy na drodze do formalizacji antropocenu, za którymi nie stoją żadne złożone do ICS dokumenty.

Większość zarzutów odwołuje się jednak do standardów panujących w stratygrafii. Finney konkluduje, że chociaż wpływ człowieka na Ziemię jest oczywisty, to stratygrafia, jako nauka o określonych zainteresowaniach, metodach i procedurach, po prostu nie jest stworzona do opisywania tak krótkotrwałych fenomenów. Wniosek: cała procedura ma raczej wymiar polityczny i światopoglądowy, a nie czysto geologiczny. ICS, pisze Finney, nie powinien zaś zabierać głosu w sprawach światopoglądowych, tylko spokojnie robić swoje: dbać o standardy naukowe w stratygrafii.

THILINA KALUTHOTAGE / AFP / EAST NEWS

Podobna historia wydarzyła się już zresztą w zoologii. W 2011 r. dziennikarz naukowy Julian Cribb zaproponował na łamach „Nature", aby oficjalnie zmienić nazwę gatunkową człowieka. *Homo* wcale nie jest *sapiens*, argumentował, powołując się zresztą na to samo, co „antropoceniści": degradację gleb, zaburzenie cykli obiegu pierwiastków, ocieplanie się atmosfery... Na temat propozycji Cribba wypowiedziała się m.in. Ellinor Michel z Międzynarodowej Komisji Nomenklatury Zoologicznej (ICZN), krótko wyjaśniając, że obowiązujące procedury nazywania gatunków po prostu nie pozwalają na tego typu fantazje – z dobrych powodów.

Oskarżenie o światopoglądowe, a nie naukowe, motywacje ruchu formalizacji antropocenu nie jest w rzeczywistości oskarżeniem, tylko stwierdzeniem faktu. Wystarczy z uwagą przeczytać ich własne dokumenty. W 2019 r. ukazała się spora praca zbiorowa pt. „Antropocen jako globalna jednostka czasu", której pierwszym redaktorem był Jan Zalasiewicz, wieloletni przewodniczący grupy roboczej. Znajduje się tam sekcja poświęcona użyteczności wydzielenia antropocenu. Argumenty geologiczne są w niej nieliczne, a miejscami mało przekonujące. Autorzy opowiadają, przykładowo, jak charakterystyczne są gleby antropocenu, obfitujące w śmieci oraz kawałki gruzu. To zaś, jak twierdzą, wpływa na proces projektowania i wznoszenia fundamentów: uznanie antropocenu miałoby więc znaczenie gleboznawcze i geotechniczne! Można jednak mieć rozsądną wątpliwość, czy inżynierowie przyszłości, projektując i wznosząc budynki, naprawdę skorzystają na wydzieleniu nowej jednostki stratygraficznej przez ICS. Większą część odnośnego rozdziału zajmują argumenty zgoła innego typu: wydzielenie antropocenu byłoby publicznym głosem geologów w sprawie naszego wpływu na planetę, podniosłoby powszechny poziom świadomości ekologicznej i mogłoby mieć skutki dla prawa międzynarodowego albo zdrowia publicznego.

■ ■ ■

Odłóżmy na bok wewnętrzne spory w łonie stratygrafii. Jako element języka codziennego i popularnonaukowego „antropocen" ma już swoje miejsce. To dogodny skrót myślowy, szybko nakierowujący nas na ustalony pakiet skojarzeń: globalne zmiany klimatyczne, mikroplastik itd. Słowem tym nazywa się grupy badawcze i czasopisma naukowe – albo projekty w dziedzinie popularyzacji nauki, jak zrobiliśmy to my w „Tygodniku". Pod parasolem „badań antropocenu" gromadzą się badacze systemów ziemskich, ewolucji atmosfery, ekologii środowiska miejscowego albo inżynierowie wytwarzający materiały biodegradowalne. Skojarzenie ze sobą ludzi pracujących w dziesiątkach dziedzin rozrzuconych po krajobrazie nauki, którzy jednak mogą się od siebie wiele nauczyć i wzajemnie się inspirować, może mieć wymierne korzyści. Nauka to nie tylko formalne reguły nazewnictwa – chociaż bez nich zapanowałby w niej chaos. ©℗ ŁUKASZ LAMŻA

Ministerstwo Edukacji i Nauki

Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Edukacji i Nauki w ramach Programu „Społeczna Odpowiedzialność Nauki II"

ELIZA

Kącka:
Ucisk w czaszce

PLAŻA GDYŃSKA, DŁUŻSZY SPACER. SIADAM na murku, przyglądam się pulsującej tafli, o ton ciemniejszej niż niebo, ale tylko o ton. na tafli mewy jak blade inkrustacje. oddech morza wilgotny, ciężki od niedotrawionej morskiej flory, więc kojący, organiczny. kładę się. niedaleko siada gość w długiej kamizeli i kapeluszu. „przy morzu dobrze leżeć" – on do mnie. „a dobrze na płask" – odpowiadam. „mam swoje przemyślenia na temat". „a chętnie poznam" – mówię. „wie pani, że Ziemia się spłaszcza?". „że teraz? ale jest jeszcze okrągła?". „nie powiedziałbym. poszedłbym w dynię". „uuu, to poważne. co nam to robi?". „na pewno działa na mózg". „no, spodziewam się". „mewom działa, są dziwnie pobudzone, kradną mi żarcie. pani dużo rozmawia z ludźmi?". „no tak, mamy tu konkurs literacki...". „mój Boże, literaci, na nich na pewno działa". „to spłaszczenie? stuprocentowo". „wolę nie myśleć o skutkach...". „uspokoję: nie kradną żarcia". „ale pobudzeni są?". „jak nigdy". „wiedziałem! ja pani mówię, oni są wrażliwi jak mewy. będą odczuwać wielki ucisk w czaszce". „hm, ale to chyba wszystkich ludzi dotyczy?". „tak, oczywiście, prędzej czy później, ale moje mewy i pani pisarze już tego doświadczają". „no, to biedne są". „mewy?". „pewno wszystkie płaszczaki". „pani za rok zobaczy, co tu się będzie działo. Słońce przejdzie w dynię". „uuu, to na pewno zwariujemy". „eeetam, już zwariowaliśmy".

Gdynia, zmrok, kępa sosen nad taflą. doszłam, zawracam. wtem drogę przecina mi patyk, potem aport. „bardzo panią przepraszam! – z plaży woła gość. – myślałem, że nikogo nie ma, pies musi się wyżyć". „spokojnie" – zapewniam. „o tej porze mogę sobie rzucać". „ależ jasne". pauza, patrzymy w morze, jak sobie pracuje. „wie pani, ja się tu przeprowadziłem ze Śląska". „aha". „ale tu jest inaczej, ta woda bierze oddech". „ano". „Śląsk jest piękny, ale ja nie miałem odczucia, że coś tam żyje, no...". „autonomicznie". „tak można powiedzieć. a tu mieszkam na skraju jakiegoś organizmu". „jasne". „i jest mi to potrzebne". „uhm". „głupio, ale mam poczucie, że w tym jest ratunek". „jest". „tu leży wielki człowiek pod powierzchnią wody. i oddycha". „a Polska się dusi". „właśnie".

Przystanek autobusowy przy Dworkowej, dwie kiele sześćdziesiątki nadają z ławki: „i jak tam, pani Jadziu?". „córka moja u mnie mieszka od miesiąca". „o, jak miło!". „mąż ją rzucił". „ajajaj". „póki nowego nie złapie, oszczędza". „ale jak: nowego? to Krystyna brała ślub cywilny?!". „no co też!". „pani Jadziu, u nas nie ma rozwodów". „są, kościelne". „a to co innego. macie podstawy?". „wszystko da się załatwić z Bogiem". „czyli?". „powiedziałam Krysi: ma nie być grzechu w rodzinie. idź do księdza, niech wymyśli dobry powód". „tak, trzeba działać z ludźmi konsekrowanymi". „a ja zaczynam trzy nowenny". „o święty rozwód". „wszystkie wieczyste".

autobus 106, jazda na Powiśle, korek. tuż przy kabinie kierowcy gość niemal napiera na drzwi, telefonuje w popłochu, rozgląda się na boki. starszy pan z siedzenia za kierowcą: „może panu wskazać ulicę?". „nie, poradzę sobie". starszy: „jestem z Warszawy od urodzenia". „ja też, z Kopernika". „w pana wieku?!". „no przecież ludzie się tu rodzą, to normalne". „niby tak". „jak to: niby? ja córkę mam, dwunastoletnią". „to miasto kiedyś pachniało inaczej". młody na zobojętnieniu: „interesujące". „tak, to był organizm, wie pan, trochę spocony, prosty, ale organizm". „to cenne". „czy córka zna Marka Nowakowskiego?". „proszę pana, ona ma dwanaście lat!". „a wie, gdzie było kino Skarpa?". „proszę pana!". starszy sceptycznie: „no dobrze, nie szkodzi, już wiem". „?!?". „ona się tu urodziła, ale nie jest stąd".

Przychodnia przy Chełmskiej, dwie starsze czekają ze mną pod drzwiami gabinetu. siedzimy, notujemy, „no i co, przeczytałaś ten artykuł, co ci mój mąż dał?". „to o przekrętach? przeczytałam, straszne". „potwór, prawda?". „tak, Boże jedyny, takie manipulacje, takie majątki!". „eeetam, to pomówienia, zawsze ktoś coś spreparuje". „ale jak to, tu jest czarno na białym...". „tak to! naszych polityków zawsze szkalują. ten pismak to potwór". „?! bo chce prawdy?". „jakiej prawdy, Zosiu, jakiej prawdy?". „no nie wiem, faktów? tu są przekręty wykazane...". „żałuję, że ci to dałam". „bo co?". „ty nie jesteś nasza". „ach, rozumiem". „ja ci powiem: każdy wielki człowiek, który chce coś zrobić dla tego kraju, będzie niszczony jak Jezus". „aha". „ale tego to jeszcze nie było, żeby tyle danych zbierali, mącili, to jest jakiś nowy gatunek ludzi". „może mają podstawy?...". „jakie podstawy?! to jest banda wariatów! ja bym się ich bała". „bo?". „nie znają żadnych świętości!". „Marysiu, świętości, w polityce...?". „polityka to służba. dobrzy politycy nic nie mają, tylko służą, i za to są szkalowani. ale taki dziennikarz...". „no?". „to jest potwór". „bo chce wiedzieć?". „wiedzieć! co tu wiedzieć! to są niebezpieczni ludzie!". „hm, a prawda?". „no też! ja bym zabroniła. Polskę mamy do wygrania, a ty mi tu o prawdzie!". ©

POŻEGNANIE

Z wielkim bólem żegnamy

Krystynę Engelking

pięknego człowieka
wieloletnią członkinię naszej wspólnoty

Wyrazy współczucia dla Rodziny

KLUB „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" WARSZAWA

KOSMOS I GRANICA

JULIA FIEDORCZUK, PISARKA:

Patrzę na życia innych istot, które będą się toczyć i ewoluować nawet wtedy, gdy my już stąd odejdziemy. Nie wszystko jest o nas i dla nas – czy to nie wspaniałe?

URSZULA HONEK: Czujesz się związana z Podlasiem? W najnowszej powieści – „Domu Oriona" – ponownie tam wracasz.

JULIA FIEDORCZUK: Stamtąd pochodzili moi rodzice. Dziadkowie mieszkali na Podlasiu i pierwsze wspomnienia z tego regionu są związane właśnie z nimi. Poprzednią powieść – „Pod słońcem" – luźno oparłam na moich historiach rodzinnych. Wyrastałam jednak na mazowieckiej wsi, a potem w małym miasteczku. Kiedy odwiedzałam dziadków na Podlasiu, miałam poczucie, że cofam się w czasie.

W jakim sensie?

Rodzice mojego ojca mieli niewielkie gospodarstwo. Były zwierzęta, uprawiali trochę żyta. Mieli też sad, w którym rosły stare odmiany drzew owocowych, dziś już rzadko spotykane. Mieszkali w maleńkim drewnianym domku i kiedy zobaczyłam go po latach, uderzyło mnie, że tyle życia się tam zmieściło. Przyszło na świat siedmioro dzieci, ale nie wszystkie przeżyły. Musiało się tam toczyć pełne i bogate życie, mijały lata i dekady, a ten domek nie powiększał się. Stał sobie na skraju wsi, tuż pod lasem.

Blisko lasu? To ważne?

Dziadkowie i moi rodzice mieli instynktowny szacunek dla przyrody. A w stosunku do zwierząt hodowlanych i domowych wiele empatii, co wcale nie było powszechne na wsi. Mięso się jadało, ale jednak niezbyt często. Pamiętam zadbanego i łagodnego konia, na którego sadzał mnie dziadek, to były jedyne momenty w życiu, gdy siedziałam na końskim grzbiecie. Mam nadzieję, że ta kochana kobyła miała u moich dziadków dobre życie. Były też krowy i kury. Wyznaczały dobowy rytm, bo opiekowanie się tyloma istotami jest projektem na całe życie; szczelnie wypełnia wszystkie pory dnia.

Poznałaś tam Puszczę?

Z tatą chodziłam do lasu głównie na Mazowszu, Puszczę tak naprawdę poznałam później, już jako osoba dorosła. Ojciec uczył mnie szacunku dla innych istot tylko dlatego, że po prostu istnieją. Szukaliśmy grzybów, bardzo to lubiłam. Do dziś zdarza mi się jesienią zarwać robotę, żeby iść na grzyby. A dawniej ojciec upominał, żebym nie deptała tych niejadalnych, bo las jest ich miejscem i mają prawo tam istnieć. To, że coś jest nieprzydatne z mojego punktu widzenia, wcale nie oznacza, że mogę decydować o jego istnieniu. Moi rodzice byli nauczycielami w wiejskiej szkole, uczyli właściwie wszystkiego, także przyrody.

Eliza, bohaterka „Domu Oriona", w dzieciństwie często obserwuje z ojcem gwiazdy. Też tak robiłaś?

Zawsze bardzo lubiłam patrzeć w gwiazdy. Pamiętam czarne noce na Podlasiu, wolne od zanieczyszczenia światłem; nie było żadnych latarni, do najbliższego miasteczka – kilkanaście kilometrów drogi. Nagle w domu dziadków, i w tych pięciu pozostałych domach we wsi, gasło światło. Robiło się zupełnie ciemno. To są moje pierwsze wspomnienia związane z Podlasiem: ciemność i gwiazdy. Ojciec uczył mnie astronomii, interesował się nią amatorsko. Nie urządzał jednak typowych lekcji, lecz wspólnie patrzyliśmy i przeżywaliśmy; przy tym jednak chłonęłam jakąś podstawową wiedzę. Moi rodzice przejawiali ciekawość wobec świata i różnych zjawisk. Przejęłam to po nich – najcenniejsze, co dostałam. Myślę, że gdybym drugi raz miała wybierać ścieżkę kariery, zdecydowałabym się na nauki ścisłe, i pewnie byłaby to astrofizyka.

A pamiętasz, co czułaś jako dziewczynka patrząc w gwiazdy?

Zawrót głowy, niepokój.

Mimo to nie przestawałaś patrzeć?

Nie. Lubiłam myśleć o granicach kosmosu. Gdzie są? Co to znaczy, że kosmos się rozszerza? Co jest poza nim? Zastanawiałam się wtedy. Budowa czasoprzestrzeni jest sprzeczna z tym, co intuicyjnie podpowiadają nam zmysły. Ludzkie zmysły działają wewnątrz czasu i przestrzeni, więc nikt tak naprawdę nie jest w stanie objąć tych zjawisk myślą. Czas i przestrzeń są – okazują się – dwoma aspektami tego samego zjawiska: to odkrycie zupełnie mną wstrząsnęło. Widziałam w tym wszystkim wielką tajemnicę i miałam poczucie, że pewne rzeczy mogą być niepojęte. I jeszcze ta ciemność wokół, która budziła podskórną grozę.

↦

JULIA FIEDORCZUK
jest pisarką, poetką, tłumaczką i wykładowczynią literatury amerykańskiej. Laureatka Nagrody im. Wisławy Szymborskiej (2018) za tom „Psalmy". Prowadzi stronę internetową www.ekopoetyka.com. Wraz z Filipem Springerem stworzyła działającą przy Instytucie Reportażu Szkołę Ekopoetyki.

ALBERT ZAWADA / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA LITERACKIEGO

↦ **A teraz? Co czujesz, gdy patrzysz w nocne niebo?**

Wciąż mam poczucie konfrontowania się z czymś tajemniczym, ale nie czuję już grozy. Czuję ulgę.

Dlaczego?

Bo wydarzają się rzeczy, o których nie mamy żadnego pojęcia, a struktura rzeczywistości jest tak bardzo złożona, że rozumiemy tylko niewielki wycinek – mimo naszej naukowej potęgi. To temperuje ludzką arogancję. Fakt, że istnieją te ogromne połacie tajemnicy i niewiedzy, sprawia mi właśnie ulgę. Patrzę na życia innych istot, które być może będą się toczyć i ewoluować nawet wtedy, gdy my już stąd odejdziemy. Nie wszystko jest o nas i dla nas – czy to nie wspaniałe? Kiedy byłam dzieckiem, towarzyszyło mi narcystyczne, jak to u dzieci, przekonanie, że znajduję się w centrum świata, a moje istnienie jest najważniejsze. Potem zdałam sobie sprawę, że jestem tylko małą cząstką ogromnej, bardzo złożonej rzeczywistości.

W „Domu Oriona" ludzi ogląda się przez mapy satelitarne, albo znajduje się po nich ślady w Puszczy, na przykład rękawiczkę.

W listopadzie 2021 roku pojechałam na Podlasie, na rezydencję literacką w Dworku Rousseau. Obowiązywała wtedy strefa stanu wyjątkowego, niektóre części Podlasia zostały zamknięte dla ludzi z zewnątrz. Granica strefy, na którą mówiło się „zona", przebiegała tuż przy dworku. Pytasz o obecność technologii, Google Maps, Zooma. Te narzędzia weszły na dobre do naszego życia podczas pandemii. W Puszczy zaś telefon jest zupełnie podstawowym narzędziem. Ludzie w drodze orientują się w terenie, wysyłają wiadomości czy tak zwane „pinezki", bo mają smartfony. „Pinezka" określająca czyjeś położenie – na przykład położenie osoby, która pilnie potrzebuje pomocy – to punkt na mapie, w jakimś innym telefonie. Technologia ratuje życie, choć miewa także bardzo negatywny wpływ na ludzkie życie, wiąże się z przemocą systemową, o tym także piszę w książce. Byłaby ona w każdym razie zupełnie inna, gdyby nie tamten wyjazd i doświadczenie sytuacji na granicy białoruskiej.

Co się wydarzyło?

Na miejscu okazało się, że w budynku obok mieszkają ludzie z grupy Medycy na Granicy. Byłam świadkiem ich pracy, sporo z nimi rozmawiałam. Wykonywałam też drobne prace: sortowałam dary, pakowałam plecaki, które potem były zabierane do lasu. Kiedy skończyła się rezydencja, wracałam tam wielokrotnie już na własną rękę. Często zdarzało mi się znajdować ślady czyjegoś życia, czyjejś drogi. Ze ściśniętym żołądkiem podchodziłam do śpiwora, który był ułożony w taki sposób, jakby ktoś znajdował się w środku. Nigdy nie było wiadomo, czy upuszczona rękawiczka oznacza, że ktoś został złapany przez pograniczników, czy też wsiadł do tzw. taksówki, która miała wywieźć go na Zachód.

Wyszłam ze szpitala **po śmierci matki i uderzyła mnie z wielką siłą myśl, że oto zostałam sierotą.** Byłam już po czterdziestce i nigdy bym nie pomyślała, że mogę coś takiego poczuć.

W Twojej książce właściwie wszystkim jest zimno: uchodźcom, bohaterce i jej matce.

Sama dotkliwie odczuwam zimno. Kiedyś przeczytałam, jak wygląda przebieg hipotermii, i nie mogłam tego z siebie wyrzucić. Czy wiesz, przez co musi przejść osoba w sile wieku, żeby umrzeć z wycieńczenia i zimna? To nie jest szybka śmierć, jak np. od kuli, lecz powolny proces, któremu towarzyszy niewyobrażalne cierpienie. Organizm zdrowej osoby tak szybko nie odpuszcza, broni się. Ból ustępuje na samym końcu, gdy się już umiera. Dopiero wtedy robi się ciepło, a potem gorąco. Któregoś razu siedziałam z medykami na poddaszu i zadzwonił ktoś na FaceTimie. Zgłoszenie przyszło z zony, czyli medycy nie mieli prawa tam pojechać. Dzwonił młody mężczyzna, trzymał w objęciach słabnącą kobietę. Tylko mówił. Powtarzał: „She is so cold".

To wszystko musiało być dla Ciebie trudne. Dlaczego wracałaś?

Podlasie jest moim przybranym domem i działy się w nim dramatyczne i przełomowe rzeczy. Czułam, że nie napiszę niczego, jeżeli nie spojrzę w tę rzeczywistość. Nie mam natury ucieczkowej, nigdy nie przyjmowałam takiej strategii wobec życia i pisania. Mistrz zen, Roshi Jakusho Kwong, nauczyciel w świątyni na górze Sonoma w Kalifornii, mówi czasem do swoich uczniów: „Przed niczym nie uciekniesz". Myślę, że te słowa wyrażają głęboką prawdę. Można próbować chować głowę w piasek albo zrobić tak, jak radził ojciec bohaterce „Domu Oriona", nakrywać głowę ramionami, ale to nic nie da. Może to zabrzmi banalnie, ale uważam, że warto powstrzymać impuls ucieczki, żeby pewne rzeczy przyjąć i przeżyć. Nie ma innego wyjścia, jeżeli traktuje się serio własne życie. Ucieczka byłaby rezygnacją z jedynego życia, jakie mam.

Eliza z „Domu Oriona" nie ucieka, lecz szuka śladów po bliskiej osobie.

Może wiąże się to też z tym, że wyjeżdżanie z Podlasia jest elementem podlaskiego losu? Wystarczy wspomnieć słynne autobusy kursujące kilka razy w tygodniu między Siemiatyczami a Brukselą po wejściu Polski do UE – zdaje mi się zresztą, że nadal jeżdżą. Wszyscy chcieli albo na Zachód, albo do Warszawy. Ludzi, którzy mieszkają od pokoleń na Podlasiu, nie ma wielu. Są tacy jak ja, którzy tam wracają albo w jakimś momencie poznają to miejsce i się osiedlają. Do tego dochodzi nieprzepracowany i nie do końca opowiedziany wątek bieżeństwa, czyli uchodźstwa z 1915 r. Figura domu, do którego się wraca, choć to już nie jest twój dom, silnie we mnie rezonuje. Bo Podlasie jest i nie jest moim domem.

Uchodźstwo to historia również Twojej rodziny?

Moja babcia urodziła się na uchodźstwie, a prababcia zmarła w trakcie drogi. O tym dowiedziałam się od ciotek. W dzieciństwie słyszałam historie, że ktoś gdzieś jechał, wracał, o mało nie umarł. Bieżeńcy uciekali przed „Niemcem" w głąb Rosji, gdzie wkrótce wybuchła rewolucja. Różnie układały się ich losy, niektórzy zostali, wielu zmarło. Część wróciła po tym, gdy Polska odzyskała niepodległość, czyli wrócili do kraju, w którym tak naprawdę nigdy nie mieszkali. Te historie znam tylko

Psalm XXIX

kogóż będę się lękać?
kiedy czas przysnął na chodniku
jak zmęczony pies, punkt
dla nas: odkurzamy porcelanę,
zdjęcia, magnetowid; poezję,
politykę i miłość. dwudziestoletnia,
taka ci wychodzę w ramach okna,
póki nie zblakną ogniste piksele
miasta, póki się nie wyleje
dzień. w bladym kadrze, ten,
który ucisza zgiełk mórz: spustoszenie –

Psalm XXX

jak kolumny z mgły, tak
maszerują nasze policzone dni, jak
śpiew z prochu, tak zanosimy siebie
do najdłuższej nocy. Co istnieje
gdzie nie widzimy, do kogo
się zwraca? „Emergency
warning for Eden", że zapłoną
sny, których jeszcze nie śniliśmy
i płatki sadzy odtańczą żałobę
po tym czego nie:

▪ WIERSZE Z TOMU „PSALMY"

w strzępach. Trochę udało mi się zrekonstruować dzięki wybitnej książce Anety Prymaki-Oniszk „Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy", a trochę ze wspomnień członków mojej rodziny. Sporo jest białych plam.

Na pewno ciekawym wątkiem do przemyślenia jest to, w jaki sposób doświadczenie bieżeństwa i uchodźstwa Podlasian wpłynęło na ich podejście do ludzi w lesie. Aktualne doświadczenie bardzo dzieli ludzi, powoduje konflikty między tymi, którzy pomagają wędrowcom, a tymi, którzy uważają, że właściwym rozwiązaniem jest wezwanie Straży Granicznej. Jednak bardzo często Podlasianie zachowują się naprawdę w porządku.

Sporo piszesz o kryzysach: uchodźczych, humanitarnych, ale też osobistych. Bohaterka Twojej powieści jest bardzo samotna.

To prawda. Może w człowieku, niezależnie od tego, jak układa się życie, są miejsca, w których zawsze jest sam? W pewnym wieku zaczynamy widzieć siebie bardziej trzeźwo, stajemy w prawdzie. Nie ma czasu na oszukiwanie się i przyjmujemy życie takim, jakie ono jest. Eliza dopiero do tego dochodzi. Musi przekroczyć własną granicę i pogodzić się z utratą. Szuka przyjaciółki, która była jej miłością. Dotarło do niej, że tracąc z nią kontakt, straciła też kontakt z najbardziej żywotną częścią samej siebie. Można czytać ten wątek queerowo, bo Eliza naprawdę kochała Lou. Jest to też opowieść o straconej szansie. W pewnym momencie otworzyła się dla niej możliwość wejścia w relację z kimś wyjątkowym, Eliza poszła jednak inną drogą, a tamto miejsce już się zamknęło. Nie ma powrotu. Trzeba iść gdzie indziej.

W „Białej Ofelii", prozie wydanej w 2011 r., również pojawia się wątek silnej i niejednoznacznej relacji pomiędzy kobietami. Te więzi kobiet są dla Ciebie tak ważne?

Ludzki erotyzm jest bardzo złożony i niejednoznaczny, piękny i trudny. Przyjaźnie miewają silny erotyczny rys, nawet jeżeli nie stają się relacjami seksualnymi. Interesuje mnie ta szara strefa, to, co poza mapą. Moje bohaterki w momentach najintensywniejszej przyjaźni i bliskości bywały w związkach z mężczyznami, ale nie do końca wiemy, co wydarzało się między nimi. Były dla siebie siostrami, kochankami, przewodniczkami. Chciałam, aby ten szczególny rodzaj napięcia był wyczuwalny w lekturze.

Wierzę, że kobiecy eros ma siłę wywrotową, a postać Lou jest jego ucieleśnieniem. W jednej ze scen Lou rysuje gwiazdozbiory, po swojemu, inaczej łącząc gwiazdy. Coś przestawia w tytułowym „Domu Oriona". Trochę majstruje przy jego konstrukcji.

Twoja książka opowiada o żałobie na wielu poziomach – jest też żałoba po matce. Może najbardziej ukryta.

Ojciec zmarł, kiedy byłam nastolatką, więc żyję bez niego dłużej, niż żyłam z nim. Moja matka – gdy pisałam „Pod słońcem"; byłam wtedy mniej więcej w połowie powieści. To dla mnie wciąż niedawno, mam wrażenie, jakby nie minęło pięć lat, lecz pięć minut. Odejście matki zapoczątkowało proces głębokiej przemiany całego mojego życia, a właściwie – tego, kim jestem. Kiedy wyszłam ze szpitala po jej śmierci, uderzyła mnie z wielką siłą myśl, że oto zostałam sierotą. Byłam już wtedy po czterdziestce i nigdy bym nie pomyślała, że mogę coś takiego poczuć. „Dom Oriona" jest także o tym, że trzeba się pożegnać. ↦

Jak wyglądają takie pożegnania?

Żałoba nie przebiega linearnie, raz jest bardzo trudno, raz mniej. Moją pierwszą w życiu głęboką żałobę – po ojcu – przechodziłam inaczej niż tę po matce. Byłam wtedy bardzo młoda, miałam perspektywę całego życia przed sobą. Inaczej się żegnasz z bliskimi, gdy tej perspektywy już nie ma – wyraźniej odczuwa się wtedy własną śmiertelność. Im jesteśmy starsi, tym bardziej nasze pożegnania pozostają niedomknięte – tak mi się wydaje. Ale żałoba w „Domu Oriona" ma dla mnie także wymiar planetarny, bo ta książka w pierwszym rzędzie dotyczy planetarnych splotów i splątań: losów, historii, minerałów, ciał – ludzkich i nieludzkich. To żałoba po świecie, który odchodzi, wyniszczony przez ludzką cywilizację opartą na ekstrakcji wszelkiego rodzaju dóbr, czyli tak zwanych „zasobów". Eliza słyszy lament w lesie – kto to płacze? To musi pozostać zagadkowe, jednak przepuszczenie tego lamentu przez własne ciało jest kluczowym zadaniem Elizy. Ona po to tam jest. Dopiero potem może zacząć skutecznie działać w świecie.

Skąd ten pociąg do sytuacji granicznych. Potrzebujemy ich?

Na pewno tego potrzebuje moja bohaterka, taka jest jej droga. Ona trochę też prowokuje pewne zdarzenia, bo intuicyjnie czuje, że musi poznać swoją granicę i ją przekroczyć. To dość klasyczna ścieżka duchowa: przez ciemność do wolności. Wyobrażam sobie, że jest osobą, która przeszła przez mrok i wróciła ze światłem. Wiele tradycji duchowych postuluje odłączenie się od świata, a to działa w dwie strony. My odłączamy się od świata, a on od nas. Jedna z interpretacji szabatu zakłada, że kiedy człowiek odpoczywa, to równocześnie świat odpoczywa od człowieka. Przestajemy robić coś, w czym jesteśmy znakomici jako ludzkość: cały ten szum wokół siebie.

© Rozmawiała URSZULA HONEK

Julia Fiedorczuk
DOM ORIONA
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023

Czarny język

PIOTR KOFTA

Hollywoodzcy scenarzyści pytali Raymonda Chandlera o to, kto właściwie zabił szofera w jego „Wielkim śnie". Usłyszeli: „Nie mam pojęcia". Nie o to przecież chodzi w powieści noir. Nawet jeśli jest kryminałem.

Wydawnictwo Karakter podjęło się wznowienia wszystkich siedmiu powieści Raymonda Chandlera w nowych przekładach Bartosza Czartoryskiego (zadanie prawie zrealizowane, do kompletu brakuje jeszcze dwóch ostatnich: „Długiego pożegnania" i „Playbacku"). Cykl firmują znakomite okładki projektu Przemka Dębowskiego, nawiązujące minimalistycznym stylem do PRL-owskich serii kryminalnych – „Klubu srebrnego klucza" oraz serii „Z jamnikiem".

Nobilitacja

Nowe chandlery – a zwłaszcza ich okładki – rozpaliły we mnie skromny ogienek nostalgii, a za nostalgią przyszło wspomnienie pierwszej lektury; wydaje mi się, że zacząłem od „Żegnaj, laleczko", czyli już na wstępie musiałem się natknąć na niesłychaną charakterystykę Myszki Malloya: „Neonowi przyglądał się jakiś facet. Spoglądał na zakurzone okna w ekstatycznym skupieniu, jak imigrant z Europy, który pierwszy raz ujrzał Statuę Wolności. Był to olbrzymi mężczyzna, mniej więcej sześć stóp i pięć cali wzrostu i gruby jak cysterna na piwo. Stał kilka kroków dalej. Ręce zwiesił bezczynnie, spomiędzy olbrzymich paluchów dymiło mu zapomniane cygaro. Zwinni, cisi Murzyni mijali go w pośpiechu, nie zatrzymując się, obrzucając ukradkowymi spojrzeniami.

A było na co spojrzeć. Miał na sobie włochaty kapelusz borsalino, szarą sportową marynarkę z samodziału z białymi golfowymi piłeczkami zamiast guzików, brązową koszulę, żółty krawat, szare flanelowe spodnie w kant i buciki z krokodylej skóry, ozdobione białymi rozpryskami na noskach. Z kieszonki na piersiach kipiała mu chusteczka tego samego jaskrawożółtego koloru co krawat. Za wstążką kapelusza tkwiło kilka farbowanych piór, i to już była przesada. Nawet na Central Avenue, na której tłum wcale nie jest szary, wyglądał mniej więcej tak dyskretnie jak na przykład tarantula na biszkoptowym cieście" (przeł. Ewa Życieńska).

Kiedy to czytałem po raz pierwszy, był – przypuszczalnie – rok 1986 albo 1987, miałem jakieś 13, góra 14 lat, nie wiedziałem praktycznie nic ani o sobie, ani o świecie, o Chandlerze też nic nie wiedziałem. Co ciekawe, udało mi się wówczas nie zauważyć, że akcja tych powieści (zaraz po „Żegnaj, laleczko" zabrałem się za następne tytuły) nie rozgrywa się współcześnie. Kiedy wróciłem do Chandlera po kolejnych paru latach, nagłe odkrycie, że Philip Marlowe jest bezdyskusyjnie postacią z czarno-białego świata

MATERIAŁY PRASOWE APPLETV

Rebecca Ferguson i Chinaza Uche w serialu „Silos", 2023 r.

epoki jazzu i wojny światowej, aż zaparło mi dech.

Niewątpliwie byłem czytelnikiem naiwnym. Być może też Kalifornia lat 40. nie różniła się nadmiernie materialnym poziomem życia od PRL-u lat 80. (a nawet przewyższała PRL pod względem liczby telefonów i samochodów). Ale sądzę, że zdecydowało co innego: kulturowa oczywistość estetyki noir, dostępna – wprawdzie instynktownie – nawet dla tak niedoświadczonego konsumenta kultury jak 13-letni ja w roku 1987.

Estetyka noir dożywa już prawie setki – narodziła się w czasach tuż po wielkim kryzysie – i wciąż ma się dobrze: przenika kulturę popularną nie tylko jako nostalgiczny powidok stylowej przeszłości, lecz także jako niezmiennie wpływowy, użyteczny zestaw pewnych fabularnych i wizualnych wyobrażeń rzeczywistości.

Ciemne, zalane deszczem ulice wielkiej metropolii, wizualne kontrasty czerni i bieli, gra cieni, cyniczni, rozczarowani detektywi – romantyczni rycerze zdruzgotani przez nowoczesną cywilizację – a także podejrzane typki i kobiety fatalne, co kryją się w cieniu zdeprawowanego i złego świata, którego nijak nie da się zmienić; świata fałszywych masek i póz, w którym nikt nie jest tym, za kogo się podaje. Znamy to, nawet jeśli nikt nam nie powiedział, że to właśnie noir. To nasz język i nasza wyobraźnia: nierealistyczne, choć prawdziwe.

Ów mroczny nurt tak dobrze nadaje się do opisywania społecznych kryzysów, poznawczych napięć, egzystencjalnego niepokoju – oraz ironicznego dystansu, jedynej broni, jaką dysponuje człowiek, któremu odebrano nadzieję – że film, literatura, komiks bądź gry komputerowe czerpią z niego pełnymi garściami bez zażenowania. Niewykluczone, że noir to jedyna powszechnie eksploatowana klisza, która po prostu nie wywołuje u autorów i autorek „lęku przed wpływem"; wręcz przeciwnie, tworzenie w konwencji noir nie jest czystym naśladownictwem, lecz nobilitacją.

Wyrwać się z matni

Amerykański literaturo- i filmoznawca James Naremore napisał: „Zawsze było łatwiej rozpoznać film noir, niż zdefiniować to pojęcie". Jest tak być może dlatego, że pisarze i filmowcy stworzyli konceptualny język estetyki noir spontanicznie i oddolnie, nie mając świadomości, że w ogóle kreują jakąś estetykę. Ich naczelna motywacja była czysto merkantylna: pisali i kręcili dla masowej publiczności, która chętnie płaciła za produkty ich pracy. „Żaden z pisarzy noir nie myślał o sobie jako o pisarzu noir" – stwierdza Piotr Stasiewicz w pracy „Sześć odcieni czerni. Szkice o klasykach powieści noir".

Noir, wywodzący się z nurtu groszowej, czasopiśmiennej literatury gangsterskiej, został dostrzeżony i uchwycony dopiero wówczas, gdy przetworzyło go z powodzeniem hollywoodzkie kino lat 40. i 50. Samego aktu dostrzeżenia i nazwania dokonali francuscy krytycy filmowi, gdy po II wojnie zaczęły do Europy spływać nowe amerykańskie filmy, brutalne, pesymistyczne, pełne sarkastycznych dialogów i czarnej ekspresji. Stąd francuskie, nie anglojęzyczne brzmienie tego terminu.

Nazwa francuska, ale produkt *made in* USA. Jego powstanie zbiega się z momentem narodzin w Stanach Zjednoczonych dojrzałego społeczeństwa miejskiego, przemysłowego i konsumpcyjnego. Momenty takich socjologicznych przejść bywają traumatyczne, wymagają mocnych, rytualnych objaśnień. Swoje parę groszy dołożyła też prohibicja (1920–1933, złote czasy gangsterki, nielegalnych knajp oraz alkoholowo-obyczajowej emancypacji kobiet – ten ostatni fakt jest ważny nie mniej niż kobieca ekspansja na typowo męskie miejsca pracy w czasie II wojny światowej) i wspomniany już wielki kryzys (1929-1933), potem zaś lęki wojenne i groźny początek ery atomowej.

Noir nadał formalne ramy opowieści – bądź to literackiej, bądź to filmowej – o desperackiej pustce życia w kapitalizmie i o równie desperackich (oraz bezskutecznych) próbach wyrwania się za wszelką cenę z tej szczególnej matni. Noir nie przewiduje happy endu z parą bohaterów oddalających się drogą ku nowemu życiu – bo nie ma żadnego nowego życia, co najwyżej gnostycka iluzja, jak w słynnej „Asfaltowej dżungli" (1950) w reżyserii Johna Hustona, gdzie główny protagonista patrzy w agonii na sielskie pastwiska dzieciństwa.

Cyniczna obserwacja

O czym są w istocie powieści i filmy noir? O emocjach, motywacjach, marzeniach, ↦

↦ kłamstwach i zaburzonej tożsamości, o mizantropii (w tym zwłaszcza mizoginii), paranoi i strachu, o przemocy, o pułapkach indywidualnych życiowych wyborów i nieuniknionych, nieheroicznych ustępstwach na rzecz zła. Pewien paradoks tkwi w tym, że w stosunkowo najmniejszym stopniu są detektywistycznymi opowieściami o zbrodni i śledztwie.

Pytanie o to, kto zabił, ma w tych utworach co najwyżej drugorzędny status. Zbrodnia jest interesująca psychologicznie, ale nie śledczo. Noir dokonał przewrotu w sposobie opowiadania o zbrodni: nie tylko zastąpił arystokratyczny salon mafijną spelunką połączoną z burdelem, lecz także zerwał pakt między autorem a czytelnikiem bądź widzem, w wyniku którego ci ostatni dostają jak na talerzu rozwiązanie zagadki oraz moralne pocieszenie, że ład został przywrócony. Otóż ład nie został przywrócony, bo to niewykonalne w moralnie zdegradowanym świecie.

Detektyw Sam Spade w „Sokole maltańskim" (1941) Dashiella Hammetta od początku wie, kto jest winien morderstwa; bardzo długo zachowuje tę wiedzę dla siebie (ukrywając to także przed czytelnikiem), bo ciekawi go cyniczna obserwacja zachowań ludzi zamieszanych w intrygę. Wedle znanej anegdoty hollywoodzcy scenarzyści „Wielkiego snu" pytali Chandlera o to, kto w jego powieści zabił szofera. „Nie mam pojęcia" – odparł podobno autor.

Pod koniec lat 50. okazało się, że noir wyczerpał się jako narzędzie do pomiaru poziomu amerykańskiej frustracji – przyszły czasy eisenhowerowskiej prosperity, kredytów, domków jednorodzinnych i kolorowych musicali. Ale zarazem noir już z nami został, powszechnie zaakceptowany jako uniwersalny, międzynarodowy, symboliczny język kryzysu wartości, język zmęczonego buntu i rozczarowanej kontrkultury. Jak mało która utrwalona konwencja wywodząca się z kultury masowej przyczynił się do postmodernistycznego zatarcia granicy między elitarnym wyrafinowaniem a popem, między tekstem a obrazem (przywołam tu – w celu potwierdzenia tej banalnej obserwacji – choćby takie neo-noirowe arcydzieła filmowe jak „Do utraty tchu" Jeana-Luca Godarda, „Rozmowa" Francisa Forda Coppoli, „Chinatown" Romana Polańskiego, „Podejrzani" Bryana Singera, „Tajemnice Los Angeles" Curtisa Hansona, „Podziemny krąg" Davida Finchera czy „Oldboy" Park Chan-wooka).

To cyberpunk lat 80. i zalane deszczem, neonowe, na wpół orientalne, na wpół zrujnowane **ulice Los Angeles z „Blade Runnera" zaprojektowały nam przyszłość.** Tak wyglądają od tego czasu jej popkulturowe wizje.

Zmaterializowane metafory

Współczesna powieść kryminalna, zapewne pod przemożnym wpływem Skandynawów, stała się w dużej mierze sztuką krytyczno-interwencyjną, służącą, w dużym uproszczeniu, poruszaniu społecznie ważkich problemów, czyli, mówiąc inaczej, poszła w polityczny utylitaryzm. Fantastyka z kolei, zwłaszcza ta futurystyczna (ale niekoniecznie: taki Wiedźmin to też w zasadzie postać rodem z konwencji noir), świetnie się czuje w mroku takiego fatalizmu. Ostatecznie nic w tym dziwnego, skoro mówimy o uniwersalnej poetyce czasów kryzysu – a perspektywy mamy zaiste apokaliptyczne. Noir to przecież kameralna dystopia: wystarczy dodać trochę scenograficznego rozmachu.

Ta historia zaczyna się na dobre z początkiem lat 80. – William Gibson, jeden z ojców założycieli cyberpunka, wydaje w 1984 r. debiutancką powieść „Neuromancer"; jest to rzecz o hakerach, cyberprzestrzeni (termin stworzony przez Gibsona), sztucznej inteligencji, elektronicznych modyfikacjach ludzkiego ciała i chemicznym podkręcaniu umysłów, ale świat nieodległej przyszłości, w którym owe sprawy mają miejsce, to czysty noir, tylko drapacze chmur są wyższe, neony większe, a pogoda jeszcze gorsza. Poza tym wszystko po staremu: przemoc, zdrada, brak zaufania, paranoja i brud.

Dwa lata wcześniej Ridley Scott kończy montowanie „Blade Runnera" (w wersji wymuszonej przez producentów – reżyser będzie przemontowywał ten film po swojemu jeszcze wiele razy), filmowej opowieści o detektywie-łowcy, który w futurystycznym, mokrym i mglistym Los Angeles, gdzie ciemność rozświetlają tylko gigantyczne reklamy, tropi i usuwa „replikantów", sztucznie stworzonych (pod)ludzi.

Zarówno Gibson, jak i projektanci ikonicznej scenografii „Blade Runnera", byli pilnymi czytelnikami książek Chandlera i amerykańskiej edycji francuskiego czasopisma komiksowego „Métal Hurlant", znanego ze swoich rysunkowych wizji zatłoczonych, neo-noirowych „wertykalnych dystopii".

Sam „Blade Runner" to interesujący przykład tego, jak świadome zastosowanie konwencji noir zmienia przekaz. Powieść Philipa K. Dicka „Czy androidy marzą o elektrycznych owcach?" z 1968 roku nie należy, delikatnie rzecz ujmując, do najbardziej udanych książek tego – wybitnego przecież – pisarza. Jest to przegadana i chaotyczna mieszczańska satyra z mnóstwem pobocznych ekskursów. Najpierw scenarzyści Hampton Fancher i David Peoples wycięli z niej niemal wszystko, a temu, co zostawili – głównemu wątkowi polowania na androidy – nadali kształt romantycznego, gotyckiego dramatu, którego tematem są w istocie miłość i empatia. Następnie Ridley Scott, wykorzystując konceptualne projekty Syda Meada, nadał owemu dramatowi olśniewającą, depresyjną, cyberpunkową oprawę wizualną. Oglądany po ponad 40 latach „Blade Runner" nadal wciska w fotel.

Wspominam o tym wszystkim, by zaznaczyć, że cyberpunk lat 80. i zalane deszczem, neonowe, na wpół orientalne, na wpół zrujnowane ulice Los Angeles z „Blade Runnera" zaprojektowały nam przyszłość, przynajmniej gdy idzie o wizje popkulturowe. A towarzyszyła im, ciągnąc za sobą ogon nostalgii, „czarna" estetyka zakurzonych, gangsterskich nor, szemranych klubów, oligarchicznych pałaców i zaułków, po których chodzi

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE WARNER BROS.

Sean Young w filmie „Blade Runner", reż. Ridley Scott, 1982 r.

– przynajmniej w ramach idealistycznej projekcji – „ktoś, kto sam nie jest nędznikiem, ktoś, kto nie jest ani zdemoralizowany, ani tchórzliwy. Taki właśnie musi być detektyw w powieści kryminalnej. To on jest bohaterem, on jest wszystkim. Musi być człowiekiem pełnym, człowiekiem przeciętnym, a jednak niezwykłym. Musi być – jeśli użyć wyświechtanego wyrażenia – człowiekiem honoru, z instynktu, nieuchronnie, wcale o tym nie myśląc, a już z pewnością nie mówiąc. Musi być najlepszym człowiekiem w swoim świecie i dość dobrym dla każdego świata" (Raymond Chandler, „Skromna sztuka pisania powieści kryminalnych", przeł. Ewa Budrewicz).

Właściwie zawsze, gdy współczesna fantastyka próbuje powiedzieć coś gorzkiego o świecie, z którego się wywodzi, albo który stara się ekstrapolować i przewidzieć, pojawiają się – niczym narzędzia z podręcznego zestawu majsterkowicza – elementy konwencji noir. Odbywa się to również dzięki temu, że fantastyka posiadła umiejętność dosłownej materializacji starych metafor.

Dawny noir – ten z czasów Chandlera, Humphreya Bogarta i niebezpiecznych platynowych blondynek – obsesyjnie zgłębiał dwa zagadnienia: wzmiankowane już kwestie tożsamości i (nie)możliwej ucieczki z pułapki złego świata. Fantastyka idzie o krok dalej: zadaje transhumanistyczne pytania o nieostre granice człowieczeństwa (jak w serialach „Battlestar Galactica" czy „Westworld" traktujących – przynajmniej pozornie – o totalnej wojnie ludzi z biorobotami) albo o integralność osobowości, gdy możliwe jest, wbrew śmierci, używanie kolejnych ciał niczym ubrań.

Analogicznie da się zakwestionować samą naturę rzeczywistości i założyć, że jest ona symulacją (jak w „Matriksie" albo „Trzynastym piętrze"), snem (jak w „Incepcji"), projekcją podświadomości (jak w powieści Harukiego Murakamiego „Koniec Świata i Hard-boiled Wonderland") bądź oszustwem (jak w dystopijnym serialu „Silos", który okazuje się w gruncie rzeczy smoliście czarnym kryminałem). Fantastyka wykorzystuje też częstą w nurcie noir metaforę nieprzenikalnej bariery między społecznymi światami (którą sforsować i której fałsz udowodnić może tylko detektyw): bariera ta może znajdować się bezpośrednio w podzielonym umyśle bohatera (jak we wspomnianym „Końcu Świata..." Murakamiego albo w serialowej czarnej, surrealistycznej komedii „Rozdzielenie"), albo w sferze polityczno-ideologicznego zakazu (jak w łączącej neo-noirowy kryminał i *weird fiction* powieści Chiny Miéville'a „Miasto i miasto", w której dwa miasta zajmują tę samą fizyczną przestrzeń, ale ich mieszkańcy są nauczeni wzajemnie się ignorować pod rygorem surowych kar).

Wreszcie: fantastyka potrafi wykorzystać także noirowe refleksje na temat amoralności kapitalistycznego sukcesu i bogactwa (jak w serialu „Peryferal", zresztą adaptacji jednej z książek Williama Gibsona, gdzie bohaterowie odkrywają, że oligarchowie i technokraci z przyszłości są w zasadzie wyłącznymi właścicielami ich życia, a nawet ich świata).

„Czarna" estetyka odniosła zatem wielki sukces, zasiedlając przestrzeń zbiorowej wyobraźni niezliczonymi klonami Philipa Marlowe'a i mrocznych *femmes fatales* (z czasem doszło też do odwrócenia ról: zdarzają się noirowe detektywki i *hommes fatales*). Nie wiem tylko, co powiedziałby Raymond Chandler na trzecie, czwarte i piąte cyberpunkowe, dystopijne i transhumanistyczne życie konwencji, której niegdyś nadał kształt. Skądinąd wiadomo, że miał raczej trudny charakter.

© PIOTR KOFTA

Wybudzanie ze śpiączki

ANITA PIOTROWSKA

Nic nie straszy i nie obezwładnia tak, jak szkielety pochowane we wspólnej szafie. „Limbo" Ivana Sena pokazuje spustoszenie związane z kolonialnym podbojem, odciśnięte na zbiorowej psyche Australijczyków.

Trudno wyobrazić sobie wczesne filmy Jarmuscha, „Listę Schindlera" czy „Idę" Pawlikowskiego bez monochromatycznego filtra – z pewnością zaliczyłyby lekki spadek w rankingach artystyczności. Kiedy ktoś decyduje się dzisiaj w kinie na czarno-białe zdjęcia, zazwyczaj służy to uszlachetniającej stylizacji, najczęściej w klimatach retro. Bywają jednak tytuły, w których ów wybór okazuje się bez mała polityczny. Na przykład w australijskim „Limbo", gdzie czerń i biel stanowi mniej lub bardziej ukryty kod. Gdzie nie tylko skóra, ale i współczucie, wina, sprawiedliwość, pamięć mogą mieć odmienny odcień czy wręcz kontrastową barwę.

„Jest pan kosmitą?" – pyta lokalny dzieciak, kiedy do australijskiego miasteczka pośrodku niczego przyjeżdża detektyw zajmujący się niewyjaśnionym przypadkiem sprzed lat. Tymczasem to cała okolica zdaje się dużo bardziej księżycowa: znajdujemy się na pustynnym Outbacku, podziurawionym przez przemysł wydobywczy, pociętym ogrodzeniami chroniącymi przed psami dingo. Ów krajobraz ma w sobie zrazu coś biblijnego. Motel „Limbo", gdzie zatrzymuje się bohater, został wykuty w skale, podobnie zresztą jak kościół czy prowizoryczne domostwa. Lecz samo miejsce, należące niegdyś do rdzennych społeczności, potem wyeksploatowane rękami europejskich przybyszów, teraz wydaje się kompletnie zapomniane przez jakichkolwiek bogów. Nie mówiąc o białych ludziach. Dlatego przyjazd miastowego gliniarza (w tej roli arcypowściągliwy Simon Baker, znany z serialu „Mentalista"), który rozpytuje o aborygeńską dziewczynkę uprowadzoną dwadzieścia lat wcześniej, nie może budzić zaufania.

Scenarzysta i reżyser Ivan Sen od początku robi wszystko, byśmy i my nie poczuli się nazbyt swojsko. „Limbo" to bowiem kino szorstkie, kolczaste i małomówne – niczym wymieszani rasowo, choć głównie niebiali tubylcy. Taki również jest Travis, pokiereszowany przez los główny bohater, który z całą swą odmiennością dziwnie wpasowuje się w ów pejzaż naznaczony wykorzenieniem, wyparciem i poczuciem degradacji.

Film Sena, mimo grubej otoczki gatunkowej, trochę z westernu, trochę w stylu noir, nie podąża bezrefleksyjnie tropem kryminalnej tajemnicy spod znaku „zaginiona dziewczyna, upiorne miasteczko i detektyw z mroczną przeszłością". Bardziej interesuje go tło, w znaczeniu kulturowym i czysto krajobrazowym, stąd sięga po raz kolejny do własnych aborygeńskich korzeni. Matka twórcy wywodzi się z przesiedlanej wielokrotnie grupy etnicznej Kamilaroi i należy do „straconego pokolenia" – jako dziecko została odebrana rodzicom, po czym zmuszana była do półniewolniczej pracy na farmie. Doświadczyła jednak nie tylko instytucjonalnej brutalności o podłożu rasowym, była też ofiarą przemocy domowej. Dlatego „Limbo" w żaden sposób nie idealizuje autochtonów.

Nie mamy za to wątpliwości, jakie czynniki wpłynęły na powszechny kryzys tożsamości, rozpad tamtejszych rodzin, nie mówiąc o życiu na wiecznym „socjalu" czy problemach z uzależnieniami. Jesteśmy na ziemi jałowej lub raczej w tytułowej otchłani, którą zewsząd straszą kaznodzieje, a tymczasem tutaj, na Ziemi, pogłębiają ją rasowe uprzedzenia, stereotypy i zaniedbania. To one sprawiły, że w śledztwie wokół młodej Aborygenki policja wymuszała zeznania, lekceważyła ewidentne znaki i ostatecznie sprawę zamieciono pod dywan. Tyle że dziś nikt już nie ma ochoty o tym rozmawiać, zwłaszcza z „białasem".

Toteż Travis porusza się na oślep, w wiecznej kurzawie, w kompletnie zdewastowanym pejzażu wewnętrznym i zewnętrznym. A także pośród własnych mroków, które zbliżają go jakoś do lokalsów. Na przekór okolicznościom wierzy w sens wznowienia śledztwa albo przynajmniej w to, że dla miejscowych, zwłaszcza najmłodszego pokolenia, jeszcze nie wszystko stracone. Być może cała nadzieja w tych krnąbrnych dziewczynkach i niewstydzących się swojej wrażliwości chłopakach, napotkanych przez naszego bohatera w miasteczku, kiedy z trudem próbuje przełamywać kulturowe i międzyludzkie dystanse.

Albowiem pomimo wspomnianej już scenerii i kaznodziejskich cytatów,

MATERIAŁY PRASOWE AURORA FILMS

towarzyszących również „upadłemu” Travisowi w jego aucie, „Limbo” nie uderza zbytnio w tony biblijne. Ani tym bardziej w apokaliptyczne, jak to się działo w przypadku innego Travisa za kierownicą, z filmu Martina Scorsesego. Odgórna perspektywa pozwala zobaczyć skalę ekologicznego, ekonomicznego i etycznego upadku, lecz reżyser nie stara się nią przykryć tego, co wydarza się między poszczególnymi ludźmi, w całej ich doczesnej nędzy. Nie zagłusza złowieszczymi trąbami tego, co wybrzmiewa tutaj najdotkliwiej, czyli zmowy milczenia, w której udział biorą i bezpośrednio umoczeni w sprawę zaginionej, i jej silnie straumatyzowani najbliżsi. Owa pokora wobec tematu i nadzieja, że pogrążeni w otchłani odzyskają kiedyś spokój, wpływają na kształt filmu – pozbawiony efekciarstwa, pracujący na wytłumionych emocjach i nastrojach.

Bo chociaż mówi się tu i o swoiście pojmowanym czasie, i o snach, Ivan Sen nie udaje Petera Weira, którego fascynował wzięty z aborygeńskiej kultury magiczny „czas snu”. Organicznie związany z tym dziedzictwem i młodszy o całe pokolenie reżyser „Limba” unika wszelkiego egzotyzowania. Nie jest też szczególnie oskarżycielski wobec cywilizacji chrześcijańskiej i tego, co uczyniła jego przodkom. Skupia się raczej na dzisiejszych relacjach między „białymi” i „czarnymi”.

Poprzez protagonistę o jasnym kolorze skóry (hiperpoprawni politycznie nazwaliby go z ironią „białym zbawcą”) i zarazem własną, w dużej mierze rdzenną perspektywę pokazuje nam, czym bywa fizyczne i duchowe spustoszenie, związane pośrednio z kolonialnym podbojem, mocno odciśnięte na zbiorowej *psyche* Australijczyków, bez względu na kolor skóry. Nic tak przecież nie straszy i nie obezwładnia, jak szkielety pochowane we wspólnej szafie.

Właśnie ów stan letargu, wywołany indywidualnym i kolektywnym zapomnieniem, podszyty niewiarą w sprawiedliwość i bierną zgodą na wpisane w system nadużycia, buduje osobliwą, półsenną, a jednocześnie intensywną aurę tego filmu. Dość długo trzyma nas w takim śpiączkowym stanie, zanim stopniowo zacznie wybudzać. Aczkolwiek, mimo dobrych intencji, pozostawia z gorzkim pytaniem, czy owe nieśpieszne pojednawcze gesty mogą być dzisiaj czymś więcej niż pobożnym życzeniem. ©

LIMBO
– reż. Ivan Sen. Prod. Australia 2023. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 8 września.

Ivan Sen jest australijskim filmowcem pochodzącym z rodziny aborygeńsko-chorwackiej. Zaczynał od dokumentów, a jego fabularny debiut „Pod chmurami” (2002) znalazł się w konkursie Berlinale. Kolejne filmy („Toomelah”, „Mystery Road”, „Goldstone”), doceniane w kraju i za granicą, są mocno osadzone w lokalnym pejzażu i dotykają problemów rdzennych mieszkańców kontynentu.

Na zdjęciu: Simon Baker jako detektyw Travis.

Lektor:
W świecie Wojtkiewicza

▪ *Piotr Paziński*
PRZEBIERAŃCY W NICOŚCI. RZECZ O MALARSTWIE WITOLDA WOJTKIEWICZA
Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2023, ss. 180 + osobna książeczka z ilustracjami.

Kiedy przechodzę ulicą Wielopole pod dawnym pałacem Pareńskich – nigdy nie był zbyt piękny, a po rozbudowie i adaptacji na hotel stał się po prostu paskudny – zamykam oczy i wyobrażam sobie, że tam, na pierwszym piętrze, wciąż jest salon, w którym pani Eliza przyjmuje gości. I może właśnie siedzi u niej pewien młody malarz, chory na serce, a w dodatku nieszczęśliwie zakochany w zamężnej córce gospodyni, Marynie.

To Witold Wojtkiewicz (1879-1909), jedna z największych indywidualności polskiej sztuki. Jego wielka wystawa w 1976 r. w krakowskim Pałacu Sztuki była dla mnie objawieniem. Pisali o nim Antoni Potocki i André Gide (który zobaczył jego obrazy na wystawie w Berlinie), Wiesław Juszczak poświęcił mu klasyczną już monografię, a dla Jerzego Ficowskiego był jednym z jego „trzech króli”, obok Schulza i Leśmiana. Zagadkowe dzieło Wojtkiewicza uwodzi i wciąga – doświadczył tego i Piotr Paziński, proponując przy tym nowe klucze i nowe odczytania.

W swojej książce skupia się na malarstwie autora „Ceremonii”, odnajdując tam wątki szczególnie sobie bliskie. „Przebierańcy w nicości” są jakby dalszym ciągiem dwóch znakomitych tomów esejów, „Rzeczywistości poprzecieranej” i „Atrap stworzenia”. Lalki, marionetki, dzieci i rekwizyty z pokoju dziecięcego ze szczególnym uwzględnieniem koników na biegunach, cyrk, postacie z commedii dell’arte, istoty o niedookreślonym statusie bytowym i rozmaite formy niedoistnienia – smutny świat Wojtkiewicza fascynuje Pazińskiego i budzi w nim wnikliwego interpretatora, który nie tylko wydobywa ukryte w obrazach i cyklach sensy, ale też analizuje, jak do ich budowy służy specyficzne traktowanie przez artystę koloru.

Proza Pazińskiego – bo poza wszystkim jest to kawał świetnej prozy – przylega jakby do tego malarstwa. I podsuwa nowe tropy, bo nie tylko przypomina „Krucjatę dziecięcą” Marcela Schwoba, bajki Wilde’a i „Historie maniaków” Romana Jaworskiego, ale też czyta malarskie opowieści Wojtkiewicza poprzez E.T.A. Hoffmanna, sięga do „Wilhelma Meistra” Goethego, a bohaterowie „Monomanii” kojarzą mu się ze wstrząsającymi „Zapiskami z domu wariatów” Austriaczki Christine Lavant (powstałymi oczywiście znacznie później). Czytamy, a potem idziemy do muzeum! ©℗

Literatura i kryzys migracyjny

GRZEGORZ JANKOWICZ

Prezentujemy Państwu program główny jubileuszowej edycji Festiwalu Conrada. Co rok proponujemy pewną opowieść o literaturze i świecie. Wydarzenia z naszego programu można traktować jako rozdziały tej historii: korespondują ze sobą, tworzą rodzaj sieci, w którą łapiemy rzeczywistość (bieżącą i przeszłą). Ta siatka jest również rodzajem ochrony dla wszystkich, którzy nie mogą się odnaleźć w dzisiejszym świecie, którzy próbują znaleźć własną drogę w gąszczu wydawanych dziś książek. Z naszym programem można zaprojektować swoje aktywności kulturalne na cały rok, zawiera on bowiem rekomendacje lekturowe, które wystarczą na wiele miesięcy.

Jednak Festiwal nie jest jedynie rozmową o książkach. Z zaproszonymi pisarkami i pisarzami podejmujemy refleksję na temat kondycji współczesnego świata. Sytuujemy się zawsze na styku literatury i rzeczywistości, sprawdzając, w jaki sposób te dwie dziedziny na siebie wpływają, jak dalece się determinują, jak literatura odpowiada na wyzwania rzeczywistości i jak kształtuje nasz obraz tej ostatniej. W tym roku będziemy rozmawiać o migracjach – tych wymuszonych i tych dobrowolnych. Zajmiemy się doświadczeniem osób, które musiały opuścić własne domy, a także tych, które same na taki krok się zdecydowały, gdyż dotychczasowe miejsca zamieszkania okazały się dla nich – z różnych powodów – niewystarczające. To złożone zjawisko jest obecne od dawna. Niestety, już nigdy nie przestanie być palącym problemem.

Zdarza nam się prezentować twórców, którzy nie są jeszcze w Polsce znani, a tych, którzy już są obecni, umieszczamy w nieoczywistych dla nich kontekstach. Festiwal jest dla wszystkich, dlatego niczego – żadnej idei, żadnego tematu, żadnej opowieści – nie uważamy za oczywiste. Zawsze staramy się formułować pytania w taki sposób, by zaskakiwać i inspirować. Pod względem organizacyjnym nieustannie szukamy najlepszych formuł i formatów naszych wydarzeń. Układamy je tak, by publiczność miała szansę komfortowo uczestniczyć w jak największej liczbie spotkań (naszą zasadą jest „mniej znaczy więcej"). Liczy się dla nas każdy detal: sposób, w jaki układamy program, gatunek tekstu, za pomocą którego opowiadamy o gościach, forma pojedynczego komunikatu.

Zapraszamy Was do Krakowa od 23 do 29 października. Bądźcie z nami, bądźcie z Festiwalem Conrada! ©℗

Zespół Festiwalu Conrada: dyrektor artystyczny – Michał Paweł Markowski, dyrektor programowy – Grzegorz Jankowicz, dyrektorka wykonawcza – Urszula Chwalba

Organizatorzy: Fundacja Tygodnika Powszechnego, Kraków, Instytucja Kultury Miasta Krakowa kbf:, Kraków – Miasto Literatury UNESCO

Partnerzy Strategiczni: Tygodnik Powszechny, allegro

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

CONRAD FESTIVAL
15. Międzynarodowy Festiwal Literatury im. Josepha Conrada
23 – 29.10.2023
conradfestival.pl

23.10. Poniedziałek

- **12.00**
  Lekcja Czytania
  z ŻANNĄ SŁONIOWSKĄ
- **16.00**
  Na granicy
  Dyskusja
  z KRZYSZTOFEM CZYŻEWSKIM, MIKOŁAJEM GRYNBERGIEM i OLGĄ HUND
  Prowadzenie: Kamila Łabno-Hajduk
- **18.00**
  O konieczności milczenia
  Spotkanie
  z LAURĄ FREUDENTHALER
  Prowadzenie: Kalina Kupczyńska
- **20.00**
  Czy literatura może nadążyć za światem?
  Spotkanie
  z JAKUBEM ŻULCZYKIEM
  Prowadzenie: Anna Pekaniec

24.10. Wtorek

- **12.00**
  Lekcja Czytania
  z MARKIEM RABIJEM
- **14.00**
  Czytanie Ukrainy
  Dyskusja z KATERYNĄ BABKINĄ, TAMARĄ DUDĄ i HAŁYNĄ KRUK
  Prowadzenie: Anna Łazar
- **16.00**
  Lektura za trzy grosze
  Dyskusja
  z INGĄ IWASIÓW, RYSZARDEM KOZIOŁKIEM i MAŁGORZATĄ LEBDĄ
  Prowadzenie: Agnieszka Budnik
- **18.00**
  Gdy nie można się ukryć
  Spotkanie
  z SAMANTĄ SCHWEBLIN
  Prowadzenie: Nina Pluta
- **20.00**
  Nieopowiedziane historie kobiet
  Spotkanie z SOFI OKSANEN
  Prowadzenie: Sylwia Chutnik

25.10. Środa

- **12.00**
  Lekcja Czytania
  z PAWŁEM MOŚCICKIM
- **16.00**
  Wypisać się z życia
  Spotkanie z GRÉGOIRE'EM BOUILLIEREM
  Prowadzenie: Elżbieta Janota
- **17.30**
  Jak doceniać literaturę?
  Spotkanie
  z AKADEMIĄ GONCOURTÓW
  Prowadzenie: Małgorzata Szczurek
- **19.00**
  Sami inni
  Spotkanie
  z PHILIPPE'EM CLAUDELEM
  Prowadzenie: Magdalena Nowicka-Franczak
- **21.00**
  Przeszłość nie jest nawet przeszłością
  Spotkanie
  z GEORGIM GOSPODINOWEM
  Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz

26.10. Czwartek

- **12.00**
  Lekcja Czytania
  z MARCINEM WILKIEM
- **14.00**
  Interpretować czy zmieniać świat?
  Spotkanie z MICHAŁEM PAWŁEM MARKOWSKIM
  Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz
- **16.00**
  Uchodźstwo zwierząt
  Spotkanie
  z DARKIEM GZYRĄ
  Prowadzenie: Beata Prokopczuk-Daab
- **18.00**
  Nie można wrócić do własnego domu
  Spotkanie
  z EDUARDEM HALFONEM
  Prowadzenie: Tomasz Pindel
- **20.00**
  Wszystkie moje narodziny
  Spotkanie
  z MARYAM MADJIDI
  Prowadzenie: Karolina Rakowiecka-Asgari

27.10. Piątek

- **12.00**
  Lekcja Czytania
  z MARTĄ ZDZIEBORSKĄ
- **14.00**
  Jądro ciemności jest w nas
  Spotkanie
  z MAKSEM CEGIELSKIM
  Prowadzenie: Georgina Gryboś-Szczepanik
- **16.00**
  Nagroda Conrada
  Spotkanie
  z NOMINOWANYMI
  Prowadzenie: Łukasz Wojtusik
- **18.00**
  Uciekające opowieści
  Spotkanie z BORĄ CHUNG
  Prowadzenie: Marta Niewiadomska
- **20.00**
  Nie dla świata
  Spotkanie
  z LINN STRØMSBORG
  Prowadzenie: Amelia Sarnowska

28.10. Sobota

- **14.00**
  Ktoś musi opowiedzieć tę historię
  Dyskusja
  z SZYMONEM OPRYSZKIEM, OLGĄ STANISŁAWSKĄ i DIONISIOSEM STURISEM
  Prowadzenie: Bernadetta Darska
- **16.00**
  (Nie)możliwa neutralność
  Spotkanie
  z NATASHĄ BROWN
  Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz
- **18.00**
  Dyktatura we krwi
  Dyskusja
  z NONĄ FERNÁNDEZ i MARTÍNEM KOHANEM
  Prowadzenie: Aleksandra Lipczak
- **20.00**
  Nieprzewidywalność wędrówki
  Spotkanie
  z INTAN PARAMADITHĄ
  Prowadzenie: Marianna Lis

29.10. Niedziela

WARSZTATY

- **12.00**
  Jak jeździć na rowerze z Georges'em Perekiem?
  Prowadzenie: RENÉ KOELBLEN i STANISŁAW WASZAK
- **14.00**
  Jak spacerować z Robertem Walserem?
  Prowadzenie: ŁUKASZ MUSIAŁ
- **16.00**
  Jak czytać literaturę karaibską w zimnych krajach?
  Prowadzenie: OLGA GODLEWSKA i BARTOSZ WÓJCIK

SPOTKANIA

- **14.00**
  Bilet w jedną stronę
  Spotkanie z BALSAM KARAM
  Prowadzenie: Agata Teperek
- **16.00**
  Przez skórę
  Spotkanie
  z MAŁGORZATĄ REJMER
  Prowadzenie: Maciej Robert
- **18.00**
  Podróże do wysp odległych
  Spotkanie
  z JUDITH SCHALANSKY
  Prowadzenie: Paulina Frankiewicz
- **20.00**
  Gala Nagrody Conrada

Opisy poszczególnych spotkań oraz informacje na temat miejsc festiwalowych i wejściówek na wydarzenia znajdują się na stronie **www.conradfestival.com**

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do zmiany programu.

OLGA

Drenda: *Słownik letnich komunałów*

Pracownik sektora słowa – to z pewnością nie jest najbardziej uciążliwe zajęcie na świecie, a nawet daje się lubić. Dlatego narzekanie na jego minusy od razu wydaje się pretensjonalnym szukaniem dziury w całym: „ma tak dobrze i jeszcze marudzi". Przed marudzeniem lepiej się strzec, więc tego nie zamierzam robić, ale jak na przedstawicieli każdego zawodu, również i na nas czyhają zasadzki.

Zmierzająca powoli ku końcowi pora wakacyjna ujawnia ich szczególnie wiele. Autorom bowiem (oraz oczywiście autorkom) także zdarza się czasami udawać na wakacje – i to niekoniecznie takie stylowe i pisarskie, jakie podpowiada wyobraźnia: z wyjazdem do wód, przechadzaniem się brzegiem morza w cylindrze i z laseczką albo z układaniem kalamburów przy koniaku w złotym towarzystwie innych pisarzy. Chodzi o zwykłe wakacje zwykłego obywatela, z ich standardowymi przyjemnościami i nieprzyjemnościami, z kuchenkami na kempingu, komarami, pływaniem w morzu i luksusem droższej niż zwykle pizzy.

I tu właśnie pojawia się zasadzka na pisarza. To pokusa wyrabiania sobie szybkiej opinii na podstawie pobieżnych obserwacji. Przeciętny obywatel i tak z trudem przechodzi nieraz do trybu wypoczynkowego, myśli o mailach albo o postępach remontu. A ktoś, kto żyje z wyrobu myśli i słów, natychmiast zaczyna szukać pretekstu do szybkich diagnoz i pospiesznie się nimi dzieli. Udowadnia w ten sposób, że lekturą dobrą na co dzień i od święta, również pod namiot i na plażę, pozostaje nieodmiennie nieśmiertelny „Słownik komunałów" Flauberta.

Kiosk w stanie spoczynku

OLGA DRENDA

Idąc w ślady wielkiego pisarza, spisałam sobie pobieżny zestaw komunałów letnich, gwarantujący przyjemny harmider w internecie wokół naszej osoby, podczas gdy my przebywamy na plaży:

Jest TŁOCZNO – znaczy, że ludzie śpieszą się przed końcem świata i uskuteczniają bal apokaliptyczny, na pewno zagłuszają lęki. Jest PUSTO – to na pewno objaw wszechogarniającej epidemii samotności. Jest GŁOŚNO – upadek obyczajów, zdziczenie, na pewno wszystko przez internet i media społecznościowe (warto wywróżyć na odległość preferencje wyborcze). Jest CICHO – ludzie przestali ze sobą rozmawiać, na pewno tylko siedzą w internecie. Poza tym Polacy nie umieją cieszyć się życiem. Jest TANIO – globalna nadprodukcja dóbr mami nas kiczem. Jest DROGO – globalna nadprodukcja dóbr kusi naszego wewnętrznego snoba. Jesteśmy W POLSCE – dookoła sami Polacy, co to mówi o naszym społeczeństwie? Jesteśmy ZA GRANICĄ – dookoła sami Polacy, patrz wyżej; w przypadku braku Polaków – co obecność nie-Polaków mówi o naszym społeczeństwie itp. (ważne: policzyć dzieci i psy, odnotować, jak się zachowują wobec nich dorośli, im gorzej, tym lepiej, w szczególnej cenie dzisiaj są opinie kontrowersyjne, zwłaszcza gdy w grę wchodzą dwie wymienione kategorie). Warto dodać, że miejscowość, w której się znaleźliśmy, skupia w sobie problemy współczesności – koniecznie JAK W SOCZEWCE.

Oczywiście umieściłam ten poradnik w nadziei, że słowo „komunał" uczyni te zabiegi spalonymi, nada im cechy żenady i sprawi, że ludzie zaczną zastanawiać się nad czymś innym. Nie wyłączając siebie – nie bez przyjemności uświadomiłam sobie, że nic się nie stanie, jeśli sama nie tylko nie podzielę się obserwacjami z wakacji, ale w ogóle powstrzymam się od chęci posiadania przemyśleń na tematy doraźne oraz od wyrabiania sobie zdania. Po pewnym czasie szczęśliwie pojawiają się znacznie ciekawsze, bo pozbawione presji natychmiastowości, myśli.

Przypominany ostatnio (i słusznie) myśliciel i teolog Josef Pieper pisał, że prawdziwy odpoczynek nie może być odmianą pracy, czyli nie powinien służyć żadnemu celowi. Ma za to pozwolić odczuć, że świat stworzył Bóg – dlatego, by odpocząć, trzeba pohamować odruch planowania, mierzenia, ważenia i kalkulowania w sobie, pytania „po co to jest" i „co z tego wynika". Pieper był człowiekiem wiary, więc chodziło mu o obecność absolutu, ważniejszą niż czyjeś małe interesy (by posłużyć się nieśmiertelnym cytatem z Papcia Chmiela). Ale jego myśl przyda się równie dobrze i niewierzącym: poza pracą, choćby w postaci wyrobu myśli i opinii, jest przecież świat i życie, i trzeba czasem skonfrontować się z tym, że one istnieją w sposób bardziej złożony, niż pozwalają na to nasze odruchowe etykietki. Życzę państwu i sobie podobnych budujących konfrontacji na koniec lata. ©

PAWEŁ

Bravo:
Niskokaloryczne piękno

A może mały domek w Danii? Na przykład w Aalborgu, rodzinnym miasteczku Adriana Zandberga, lub gdziekolwiek indziej, może tylko z dala od przemysłowych hodowli norek lub świń, które znaczą dobrze zorganizowanym cierpieniem tę łaskawą dla rowerzysty płaską ziemię wbitą klinem między dwa morza. Ja bym najbardziej lubił zamieszkać w pobliżu pewnej wytwórni maślanych ciastek w okrągłej płaskiej puszce, która potem zwyczajowo służy do przechowywania nici i kordonków.

Lepiej nie folgować łakomstwu, bo ile takich puszek poustawianych jedna na drugiej pomieści szafka z robótkami? Mebel to nie spodnie, nie da się poluzować guzika. Garderoba też ma swoje ograniczenia, ale Duńczycy w związku z tym dokonali ostatnio kapitalnych odkryć, które skłoniły mnie, by na moment zająć się tamtejszym rynkiem nieruchomości. Otóż ostatnio można wziąć w Danii kredyt hipoteczny na znacznie korzystniejszych warunkach niż w sąsiednich krajach europejskich, bowiem bank centralny utrzymuje stopy na dość niskim poziomie, by zniechęcić inwestorów do duńskiej korony. Ta bowiem i tak bez przerwy trzyma wysoki kurs do euro. A to dlatego, że firma farmaceutyczna Novo Nordisk nieustannie zwozi do Danii wagony pełne dolarów zarobionych na rynku światowym, wymieniając je zaś na lokalną walutę, powoduje jej umocnienie. Wartość rynkowa tej spółki wzrosła w tym roku o jedną trzecią i wynosi więcej niż całe duńskie PKB. W prasie fachowej padają już głosy, by rozmaite wskaźniki ekonomiczne dla Danii wyliczać z wyłączeniem wyników Novo Nordisk, bo ten kolos zakrzywia parametry jak czarna dziura czasoprzestrzeń.

Tu musi chodzić o coś więcej niż zwyczajowe wysokie zyski branży farmaceutycznej. Otóż jedna z opracowanych w NN dla cukrzyków substancji – semaglutyd – okazała się piorunująco skuteczną formułą, pozwalającą skutecznie odchudzić bogaty Zachód. Zajęliśmy się tym w „Tygodniku" parę miesięcy temu, wspominając o popycie na ozempic, najbardziej znany preparat z tej rodziny, działający m.in. na nasz mózg w ten sposób, że czujemy się zawsze syci i po prostu nie chce nam się jeść. Potem dołączył lek wegovy, już wprost, a nie ubocznie, rejestrowany jako środek na otyłość. Amerykanie zużywają go takie ilości, że firma musiała ograniczyć wprowadzenie go w innych krajach, aby obecni klienci mieli bezpieczny dostęp do dawek. Bo to nie jest jednorazowy strzał, lecz dożywotnie comiesięczne zastrzyki.

Prawie żaden ubezpieczyciel nie refunduje kuracji, ale leku brakuje. W Nowym Jorku mieszkańcy bogatego Upper East Side, choć cukrzyca i poważne formy otyłości dotykają ich dwa razy rzadziej niż w biedniejszych dzielnicach, kupują dwa razy więcej wegovy niż sąsiedzi np. z Brooklynu. „Zamiast w kółko spotykać się na kolacje czy drinka, odkrywamy teraz ze znajomymi nowe sposoby spędzania czasu, np. spacer w Central Parku" – opowiada nowojorskiej gazecie jedna ze sławniejszych tiktokerek lansujących się dzięki „witaminie O".

To są nasi *kaloi k'agathoi*, ucieleśniający ideał piękna splecionego z dobrem, dzisiejsi odpowiednicy tamtych ponadczasowo eleganckich atletów, wojowników i myśliwych z greckich waz czerwonofigurowych. Oni też byli – a przynajmniej chcieli, byśmy takimi ich zapamiętali – gibcy, szczupli i, podobnie jak spacerowicze z Central Parku, należeli do elity, która w sporcie szukała drogi wzwyż, bo ich ciała mogła deformować raczej gnuśność niż praca. Zresztą ceramika, która syci nasze oczy ich niskokalorycznym pięknem, to też oznaka wysokiego statusu. Największa dziś w Europie spółka giełdowa to koncern LVMH, dominujący we wszelkich gałęziach luksusu, od torebek, przez spinki, po koniaki. Depcze jej po piętach Novo Nordisk, wzbogacony dzięki wynalazkowi pozwalającemu w naszym mózgu wyłączyć niepotrzebny, szkodliwy wręcz (w warunkach żywnościowego bezpieczeństwa) głód. Gdyby jeszcze znaleźli podobną pigułkę na – niepotrzebną, odkąd przestaliśmy żyć w stadach – potrzebę dominacji i agresji... ©℗

PAWEŁ BRAVO

Jak wiecie, jestem wielkim miłośnikiem risotta, które niestety jest skrobiową bombą, a do tego jeszcze wymaga na ogół sporo masła. Goszcząc przy stole ludzi dotkniętych cukrzycą, zrobiłem minimalistyczną, ale nie mniej smakowitą wersję risotta dyniowego.

Z małej dyni hokkaido wyrzucamy gniazda nasienne, obieramy i kroimy w drobną kostkę. Solimy i dodajemy listki szałwii, pieczemy do miękkości pod folią aluminiową w brytfance polanej cienką warstwą oliwy (teraz, kiedy dynie są świeże, zajmuje to ok. 40 minut). Na dużej ciężkiej patelni prażymy na sucho (!) 300 g ryżu, delikatnie mieszając, aż będzie naprawdę gorący w dotyku, ale nie zacznie brązowieć. Gasimy kieliszkiem białego wina. Potem gotujemy, podlewając wrzący bulion warzywny albo na kurzym skrzydełku. Po ok. 10 minutach dodajemy upieczoną dynię, delikatnie mieszamy, kończymy gotowanie w momencie, gdy ryż będzie miękki. Wyłączamy ogień, dodajemy 150 g gorgonzoli (którą częściowo zastąpiłem bryndzą). Jeśli lubicie, możecie popróbować z jej pikantną wersją. Przykrywamy, żeby odpoczęło, na minutę. Na wydaniu posypujemy upieczonym burakiem pokrojonym w kosteczkę – dzięki temu na talerzu uzyskamy efekt przypominający Tequila Sunrise.

ART LOSS REGISTER / MATERIAŁY PRASOWE

TABLICA Z YORKU

Złodziej zabrał jeden nieduży obraz, w sam raz, by go niepostrzeżenie schować. Przez 44 lata nie udało się go odnaleźć. Aż do teraz.

MAGDALENA ŁANUSZKA

Na dzień dobry musiałam podpisać oświadczenie, że w razie, gdyby zdarzył się napad z bronią w ręku, nie będę zgrywać bohatera. A przecież chodziło o spokojną pozornie pracę w York Art Gallery, gdzie w ramach projektu National Inventory of Continental European Paintings, od jesieni 2014 do wiosny 2015 r. opracowywałam do bazy online obrazy „kontynentalne" – europejskie, ale spoza Wysp Brytyjskich.

Oświadczenie to wydawało mi się bardzo zabawne – kazali mi dosłownie potwierdzić, że mam świadomość, iż moje zdrowie i życie jest warte więcej niż jakiekolwiek dzieło sztuki – dopóki nie dowiedziałam się, z czego ono wynika. Otóż napad z bronią na York Art Gallery, gdy napastnicy sterroryzowali muzealników, miał faktycznie miejsce – zaledwie kilkanaście lat wcześniej. Okazało się zatem, że nawet mała i raczej prowincjonalna placówka muzealna nie jest całkowicie bezpiecznym miejscem.

Wkrótce dowiedziałam się o innym przestępstwie, które również tam popełniono. O kradzieży dzieła sztuki, która miała miejsce kilka dekad temu. Kradzież była jeszcze dziwniejsza, bo bez rozboju. Ktoś zdjął ze ściany późnogotycki obraz i wyszedł. Obrazu nie odnaleziono – aż do teraz.

Dzieje kolekcji

Historia galerii sztuki w Yorku zaczęła się w 1879 r., początki zaś kolekcji zakorzenione są w zapisie Johna Burtona (1799-1882), lokalnego bogatego farmera i handlarza końmi. Kolekcjonował on głównie modne w jego czasach „wiktoriańskie" obrazki, których zgromadził 127. Zamierzał je zapisać National Gallery w Londynie, ale najprawdopodobniej George Kirby (1845-1937), który później został pierwszym kuratorem nowo powstałej galerii w Yorku, przekonał Burtona (na miesiąc przed śmiercią kolekcjonera) do zmiany testamentu.

Kolekcja Burtona miała być eksponowana w całości i opatrzona jego nazwiskiem – jednak większość z tych obrazów pozostaje w muzealnym magazynie. Dzieła te nie przetrwały próby czasu i dziś postrzegamy je jako mało wartościowe, często kiczowate. W bardzo wielu muzeach, nie tylko w galerii w Yorku, magazyny pełne są umownych „jeleni na rykowisku".

Kolekcja York Art Gallery (wówczas zwanej City Art Gallery) radykalnie zmieniła się w połowie XX wieku, gdy kuratorem był Hans Hess (1907-1975). Stało się to dzięki hojnemu darowi bogatego przemysłowca. Francis Denis Lycett Green (1893-1959) zaczął kolekcjonować obrazy w latach 20. XX wieku i nawiązał współpracę z najlepszymi ówczesnymi historykami sztuki, którzy służyli mu radami w sprawie zakupów w kolejnych dekadach. Green niewątpliwie skorzystał na turbulencjach, jakie na europejskim rynku sztuki wywołała II wojna światowa.

Do schyłku lat 40. zgromadził ponad 130 obrazów reprezentujących w zasadzie wszystkie najważniejsze szkoły europejskie, od XIV do XVIII wieku. Wśród nich sporo było dzieł naprawdę wysokiej klasy artystycznej; eksperci dobrze doradzali kolekcjonerowi. Nie są to obrazy Leonarda da Vinci czy Petera Paula Rubensa, lecz późnośredniowieczne i nowożytne prace malarzy „drugiej i trzeciej ligi", jeśli można tak powiedzieć, oraz dzieła anonimowe, które jednak trzymają wysoki poziom artystyczny. Od tablicowych obrazów późnogotyckich po rokokowe płótna, ze znaczącą liczbą XVII-wiecznych dzieł holenderskich małych mistrzów.

Francis Denis Lycett Green miał przewlekłe problemy zdrowotne od czasu, kiedy został ranny na froncie I wojny światowej. W poszukiwaniu lepszego klimatu przeniósł się zatem do Kapsztadu, a w 1952 r. zaproponował ofiarowanie swej kolekcji Galerii Narodowej RPA. Wszedł jednak w konflikt z dyrekcją placówki (zależało mu na zachowaniu integralności kolekcji, czego nie chciano mu zapewnić) i w rezultacie odesłał wszystkie obrazy z powrotem do Anglii. Hans Hess wypożyczył całą kolekcję i zaprezentował w galerii w Yorku; w 1955 r. Green zdecydował się podarować swoje obrazy właśnie temu muzeum.

Dwie tablice

Kolekcjoner zmarł w 1959 r.; przedtem jednak uzupełniał swój dar nowo nabytymi dziełami. I tak w 1957 r. przekazał do galerii w Yorku dwie późnogotyckie dwustronnie malowane tablice. Zakupił je w Arcade Gallery w Londynie; wcześniej para ta została sprzedana z anonimowej prywatnej kolekcji w Christie, Manson & Woods w Londynie (15 lipca 1955 r.). Znana proweniencja tablic sięga kolekcji Louisa Breitmeyera – urodzonego w Stuttgarcie w 1853 r. Był on jednym z tzw. Randlords: kapitalistów najczęściej wywodzących się z niemieckiej klasy średniej żydowskiego pochodzenia, którzy u schyłku XIX wieku zbijali fortuny na wydobywaniu złota i diamentów w Południowej Afryce (rękami lokalnych górników), a następnie przenosili się do Anglii, gdzie wiedli życie przedstawicieli klasy wyższej.

Jednym z bardzo ważnych aspektów budowania nowej pozycji społecznej było tworzenie kolekcji dzieł sztuki dawnej, nabywanych na rozmaitych aukcjach. Nie wiemy, skąd Breitmeyer wziął owe dwie tablice – zostały one sprzedane we wspomnianym już Christie, Manson & Woods 27 czerwca 1930 r., gdy po śmierci kolekcjonera jego majątek trafił pod młotek.

Obie tablice, malowane na drewnie, mają takie same wymiary (25 na 49,1 cm) i są ujęte w identyczne ramy. Na jednej stronie ozdobione zostały przedstawieniami świętych (po trzy postacie) ujętych w półpostaciach, na złotym tle. Po drugiej stronie każda z tablic ma tło ciemne – na jednej jest tam kolejna trójka świętych, a na drugiej dwóch świętych i Archanioł Gabriel z grupy Zwiastowania. Obie tablice malowane były przez tę samą parę malarzy: jeden wykonał wizerunki na stronach ze złotym tłem, a drugi te na tle ciemnym.

Niestety, bezpośrednio mogłam zbadać tylko jedną z tej pary tablic, ponieważ druga została skradziona. Stało się to 13 listopada 1979 r. – kuratorem galerii był wówczas Richard Green, obecnie emerytowany, z którym miałam okazję porozmawiać o tym wydarzeniu. Nie było to włamanie – w ów listopadowy wtorek, przy bardzo niewielkim ruchu w galerii, ktoś po prostu zdjął ze ściany obraz i wyszedł z nim niezauważony. Green spekulował, że nie była to raczej kradzież na zlecenie. Być może złodziej zabrał pod wpływem impulsu akurat ten jeden nieduży obrazek, który był w stanie schować. Nie udało się odnaleźć sprawcy ani dzieła.

Historyk sztuki przy pracy

Każdy z ponad 230 obrazów, które opracowywałam w Yorku, miał w Galerii swoją teczkę. W teczce tej znajdowały się rozmaite dokumenty dotyczące danego dzieła: listy związane z pozyskaniem dzieła do kolekcji, korespondencja i notatki kuratorów, czasem kopie jakichś artykułów, ewentualnie raporty z konserwacji, oraz dokumentacja dotycząca wypożyczeń danego dzieła. W niektórych przypadkach teczki były bardzo grube i samo przekopanie się przez ich zawartość zajmowało po kilka dni. W innych zaś były zupełnie puste. ↦

JENNIFER ALEXANDER / ARCHIWUM PRYWATNE

Autorka przy pracy nad ocalałą tablicą w pracowni York Art Gallery. Powyżej z lewej: odnaleziona tablica prezentowana przez Art Loss Register.

Na s. 86 skradziona tablica YORAG 898a: u góry front z przedstawieniami św. Mikołaja, św. Augustyna (lub Adolfa z Metz) i św. Serwacego; poniżej tył z przedstawieniami św. Wawrzyńca, św. Sebalda oraz Archanioła Gabriela ze Zwiastowania.

Na s. 87 ocalała tablica YORAG 898b: u góry front z przedstawieniami św. Katarzyny Aleksandryjskiej, św. Barbary i zapewne św. Dominika; poniżej tył z przedstawieniami św. Katarzyny Sieneńskiej, św. Urszuli i zapewne św. Tomasza z Akwinu.

ART LOSS REGISTER / MATERIAŁY PRASOWE X2

↦ O parze późnogotyckich tablic w teczce nie było prawie nic. Notka w katalogu kolekcji, wydanym w 1961 r., określała je jako skrzydła ołtarza, autorstwa nieznanego artysty ze „szkoły norymberskiej", datując na ok. 1480 r. Kiedy to przeczytałam oraz zobaczyłam samo dzieło, ogarnęła mnie wielka ekscytacja. Oto bowiem miałam przed sobą wysokiej klasy zupełnie nieopracowane dzieło późnogotyckie, a postacie, szczególnie na stronie ze złotym tłem, wyglądały na twórczość znanego mi warsztatu.

Zatem szybki rzut oka do bazy online kolekcji Germanisches Nationalmuseum w Norymberdze – i wszystko stało się jasne: tablice z Yorku bez wątpienia można powiązać z warsztatem Hansa Pleydenwurffa, którego pracownia była jedną z najważniejszych w Norymberdze w trzeciej ćwierci XV wieku. Jedynym źródłowo udokumentowanym dziełem Pleydenwurffa jest ołtarz główny z kościoła św. Elżbiety we Wrocławiu, z którego, niestety, zachowały się tylko fragmenty. Na podstawie analizy stylistycznej można jednak wiele innych dzieł powiązać z tym warsztatem, który był niewątpliwie prężnie działającym przedsiębiorstwem. Po śmierci Pleydenwurffa w 1472 r. pracownię przejął Michael Wolgemut, ożeniwszy się z wdową po poprzednim właścicielu. Uczniem Wolgemuta natomiast był sam Albrecht Dürer.

Niestety, moja ekscytacja perspektywą ogłoszenia, że odkryłam nieznane dotąd w literaturze dzieło z warsztatu Pleydenwurffa, nie trwała długo. Jak to zwykle bywa, zawsze gdy wydaje się nam, że odkryliśmy coś nowego w studiach średniowiecznych, to okazuje się, że jakiś Niemiec już o tym sto lat temu napisał. I tym razem szybko zorientowałam się, że tablice z Yorku są znane w niemieckiej literaturze – tylko po prostu nikt z brytyjskich muzealników na to nie trafił. W Niemczech zostały uznane za skrzydła predelli – czyli podstawy ołtarza szafiastego – z ołtarza św. Katarzyny Sieneńskiej z kościoła dominikanek w Norymberdze. Kościół ten (pw. św. Katarzyny) już nie istnieje; zamknięty w czasie reformacji i zsekularyzowany w XVII wieku, został zniszczony w roku 1945. Z ołtarza, konsekrowanego 20 sierpnia 1464 r., zachowały się tablice z malowanych skrzydeł (był to pentaptyk, czyli miał dwie pary skrzydeł) – cztery w Germanisches Nationalmuseum w Norymberdze i jedna w North Carolina Museum of Art w Raleigh, USA. Wedle najnowszej literatury, skrzydła te malował Hans Pleydenwurff oraz pracownicy jego warsztatu.

Żeby nie było jednak, że niemieccy badacze wszystko wiedzą – otóż nie mieli oni świadomości, że owe tablice z Yorku należą do jednej z publicznych kolekcji w Wielkiej Brytanii. Przez dziesięciolecia powtarzali za artykułem Pietera Striedera (1975), że obrazy te, ostatnio zanotowane w Arcade Gallery w Londynie w 1956 r., są przechowywane w nieznanym miejscu. Pierwszą publikacją niemieckojęzyczną,

YORK ART GALLERY / MATERIAŁY PRASOWE X2

która podała, że tablice te należą do kolekcji York Art Gallery, był dopiero nowy katalog obrazów średniowiecznych w zbiorach Germanisches Nationalmuseum w Norymberdze, wydany w 2019 r. jako efekt prowadzonego przez kilka lat projektu Die Deutsche Tafelmalerei des Spätmittelalters. A to dlatego, że skontaktowałam się w tej sprawie z badaczami zaangażowanymi w ów projekt, informując ich, że tablice należą do muzeum w Yorku, jeszcze zanim niemiecki katalog został opublikowany.

Ostatecznie napisałam artykuł naukowy o tablicach z Yorku, bo jednak miałam coś do dodania do istniejącego stanu badań. Owszem, nie mam wątpliwości, że są to skrzydła predelli. Poza Europą Środkową wielu historyków sztuki nawet nie wie, że szafiasty późnogotycki ołtarz mógł mieć nie tylko skrzydła przy części głównej, ale również właśnie przy podstawie. Było to modne m.in. w Norymberdze – zachowane księgi zakrystyjne z kościołów św. Sebalda (ok. 1482) i św. Wawrzyńca (1493) zawierają instrukcje, w jakie dni roku liturgicznego należało otwierać poszczególne fragmenty ołtarzy – część z tych wskazówek dotyczy jedynie zamykania i otwierania predelli.

Zauważyłam też, że ramy są wtórne. Zapewne w XIX lub w początkach XX wieku obie tablice zostały oprawione tak, by sprawiać wrażenie kompletu. Tymczasem na jednej z tablic pod ramami są ślady po zawiasach, a ponadto postacie, choć tych samych rozmiarów, w jednej z tablic są po bokach przycięte; pierwotnie zatem skrzydła te zapewne nie były tej samej wielkości. Ustawienie postaci względem siebie nawzajem sugeruje, że mamy do czynienia z dwoma skrzydłami lewymi. Na jednym z nich po stronie zewnętrznej (skrzydła zamknięte) widnieje Archanioł Gabriel ze Zwiastowania; drugie skrzydło musiało mieć zatem postać Marii, zapewne w towarzystwie dwójki kolejnych, zwróconych ku lewej stronie świętych. Tymczasem skrzydło bez Archanioła zawiera wizerunki Katarzyny Sieneńskiej i Urszuli zwróconych ku sobie nawzajem oraz zapewne św. Tomasza z Akwinu zwróconego w prawo – tam powinno zatem być drugie skrzydło o podobnej kompozycji, przez co całość ukazywałaby szóstkę świętych zwróconych ku sobie parami.

Analiza ikonografii tablic oraz zachowanych do dziś XVIII-wiecznych opisów ołtarza św. Katarzyny Sieneńskiej z dawnego kościoła dominikanek z Norymbergi pozwalają stwierdzić, że tablice z Yorku nie stanowiły elementów tej akurat nastawy, choć niewątpliwie powstały w tym samym warsztacie i zapewne w zbliżonym czasie. Ponadto przynajmniej jedna z nich, sądząc po doborze przedstawionych świętych, pochodziła z ołtarza z kościoła dominikańskiego.

Zaskakujące odnalezienie

Publikując informacje o skradzionej tablicy po angielsku w otwartym dostępie liczyłam po cichu na to, że może taka publikacja przyczyni się do odkrycia, gdzie dziś się owa tablica znajduje – o ile złodziej po prostu nie trzyma jej sobie wciąż na własnej ścianie. Czy tak się stało, nie wiem, ale faktem jest, że oto nagle w mediach pojawiła się sensacyjna wiadomość.

W domu aukcyjnym Duke's w Dorchester, która to instytucja chwali się 200-letnią tradycją, w listopadzie 2022 r. wystawiona została dwustronnie malowana tablica. Określono ją jako „w stylu piętnastowiecznym" i wyceniono wstępnie na jedyne 200-400 funtów. Anonimowa sprzedająca odziedziczyła ją po niedawno zmarłym ojcu. Na szczęście zanim obraz został kupiony, niemalże w ostatniej chwili jeden z pracowników domu aukcyjnego zorientował się, że może to być dzieło kradzione. Sprzedaż nie doszła do skutku, eksperci z Art Loss Register potwierdzili zaś, że oto znalazła się owa tablica z York Art Gallery! ↦

Sprzedająca oczywiście zapewnia, że jej ojciec nie wiedział o nielegalnym pochodzeniu dzieła. Na etapie wstępnej wyceny i opisu w aukcyjnym katalogu pracownicy Duke's nie wykazali się profesjonalizmem. Lakoniczna notka dostępna online zawiera prawie same błędy: tytuł to „A 15th Century Style Double-Sided Altar Screen Fragment, Possibly Nuremburg", czyli „malowany z dwóch stron fragment nastawy ołtarzowej [nie rozpoznano, że to skrzydło predelli], być może z Norymbergi [z błędnie zapisaną nazwą miasta, powinno być „Nuremberg"], w stylu piętnastowiecznym". Następnie podano, że z jednej strony przedstawieni zostali św. Piotr (w rzeczywistości to św. Serwacy), św. Mikołaj i inny, z drugiej zaś: św. Sebald, św. Wawrzyniec i inny (przy czym ów „inny" to wszakże Archanioł Gabriel ze Zwiastowania). Dodatkowo zamieszczono informację, że święci Sebald i Wawrzyniec byli czczeni w Norymberdze (znów z błędem w zapisie angielskiej wersji nazwy miasta), jako że w mieście tym były poświęcone im kościoły. Chyba tylko na tej podstawie ktoś w ogóle skojarzył tę tablicę z Norymbergą.

Taką niekompetencję domu aukcyjnego byłam w stanie sobie wytłumaczyć jedynie tym, że sprzedająca, przynosząc tę tablicę, mogła przekazać informację, że jest to coś neogotyckiego, przez co „eksperci" nie wycenili jej wysoko ani nie przyłożyli się do wykonania rzetelnego opisu. Być może zatem ojciec sprzedającej kupił ten obraz właśnie jako „stylizowany na gotycki", i jako taki znajdował się on w jego domu przez ostatnie czterdzieści kilka lat. Jest to o tyle prawdopodobne, że hipotetyczny złodziej-amator, który wyniósł z galerii tablicę, mógł po prostu bezpieczniej sprzedać ją za niewielkie pieniądze w jakimś małym antykwariacie jako obraz współczesny czy XIX-wieczny. Być może starczył mu mniejszy zarobek za cenę większego bezpieczeństwa?

Napisałam do specjalistów z Duke's, pytając ich, czy mają jakiekolwiek informacje o proweniencji tego dzieła, czy datowanie i opis, które zaproponowali, były może oparte na przekazie od sprzedającego. Odpisali mi krótko, że nie mają żadnych informacji. Może zatem po prostu ten dom aukcyjny nie współpracuje z historykami sztuki kompetentnymi w zakresie późnogotyckiej sztuki środkowoeuropejskiej.

> Zawsze gdy wydaje się nam, że odkryliśmy coś nowego w studiach średniowiecznych, **okazuje się, że jakiś Niemiec już o tym napisał sto lat temu.** Tak też było i w moim przypadku.

W Wielkiej Brytanii po prostu często nie docenia się tej właśnie sztuki. Brytyjczycy przede wszystkim doceniają malarstwo nowożytne; są też wielbicielami kultury włoskiej. Zainteresowanie wzbudza wszystko, co określane jest hasłem „Renesans". W przypadku malarstwa średniowiecznego popularności danemu dziełu sztuki może przydać włoskie pochodzenie. Tymczasem wyższej klasy dzieła późnogotyckie niemieckie czy austriackie nie wzbudzają aż takiego zainteresowania. Wielu muzealników wprost przyznaje także, że w zapoznaniu się z literaturą naukową dotyczącą tych obrazów przeszkadza im bariera językowa – no niestety, większość publikacji niemieckich i austriackich badaczy jest w języku niemieckim.

Wracając jednak do tablic z Yorku: mimo że zebrałam aktualny stan badań na temat tych dzieł (z zacytowaniem całej niemieckojęzycznej literatury) i opublikowałam to kilkakrotnie w języku angielskim online w otwartym dostępie, sensacyjne notki prasowe dotyczące odnalezienia skradzionej tablicy wciąż powtarzają błędne datowanie, starą atrybucję „szkole norymberskiej" oraz nieprawidłową identyfikację świętych na tych tablicach. Zapewne dlatego, że informacje z katalogu muzealnego z roku 1961 są wciąż powielane przez York Museum's Trust.

Sprzedająca, gdy dowiedziała się, że w rzeczywistości jest w posiadaniu bardzo wartościowego gotyckiego obrazu, który jednak jest kradziony, zdecydowała się oddać dzieło prawowitemu właścicielowi bez żadnej rekompensaty. W czerwcu 2023 r. tablica wróciła do York Art Gallery. Ku radości kuratorów okazało się, że jest w znakomitym stanie. Wreszcie też obie tablice powrócą na stałą ekspozycję – miejmy nadzieję, że ostatecznie zostaną jednak opisane zgodnie z najnowszym stanem badań.

No i monitoring jest. © MAGDALENA ŁANUSZKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Już pod koniec września jesienny

Włóczykij Kulturalny

z poleceniami najlepszych spektakli, wystaw i festiwali. Chcesz zaprosić Czytelniczki i Czytelników na wydarzenie, które organizuje Twoja instytucja? Napisz do nas na reklama@tygodnikpowszechny.pl

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 604/22 postępowanie z wniosku Gminy Jarocin o stwierdzenie nabycia spadku po Zofii Kubiak, zmarłej 15.09.2015 r., ostatnio zamieszkałej w Siedleminie. W skład spadku po zmarłej wchodzi udział w prawie własności nieruchomości położonej w Siedleminie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Starogardzie Gdańskim Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 234/22 toczy się sprawa o stwierdzenie nabycia spadku po Ryszardzie Orlikowskim, synu Tolomira i Józefy, zmarłym dnia 1 grudnia 2021 r. w Gniewie, ostatnio stale zamieszkałym w Borzechowie.

Sąd wzywa spadkobierców Ryszarda Orlikowskiego, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku pod sygn. akt I Ns 68/23 toczy się postępowanie z wniosku Agaty Ryba o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na jej rzecz własności nieruchomości składającej się z działki ewid. nr 755 o pow. 1,36 ha, położonej w Tymowej gm. Czchów.

Wymieniona działka powstała z p.grt. 1960/4 i 1769/50 z Iwh 527 gm. kat. Tymowa, w którym jako współwłaścicieli ujawniono: Józefa Niecia, s. Sebastiana oraz jego małoletnie dzieci: Karola, Zofię, Tadeusza, Kazimierza, Jana i Kunegundę Nieciów (wpis z 30.03.1937 r.).

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem na rzecz wnioskodawców, o ile zostanie udowodnione.

Sąd Rejonowy dla Krakowa-Podgórza w Krakowie I Wydział Cywilny prowadzi sprawę o sygn. akt I Ns 603/22/P z wniosku Skarbu Państwa – Naczelnika Urzędu Skarbowego Kraków-Stare Miasto o stwierdzenie nabycia spadku po Adamie Nieciągu, synu Franciszka i Rozalii, zmarłym w dniu 31 grudnia 2020 r. w Krakowie.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, w szczególności siostry Adama Nieciąga i spadkobierców Rozalii Jani, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosiły się w Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Podgórza w Krakowie i wykazały swoje prawo do dziedziczenia, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postanowieniu, stwierdzającym nabycie spadku.

W Sądzie Rejonowym w Starogardzie Gdańskim Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą I Ns 126/22 toczy się sprawa o zasiedzenie ½ nieruchomości położonej w miejscowości Wysoka, w Gminie Bobowo stanowiącej działki nr 103 oraz 106 o łącznej powierzchni 0,06 ha, dla której Sąd Rejonowy w Starogardzie Gdańskim prowadzi księgę wieczystą GD1A/00024175/8.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w szczególności spadkobierców Weroniki Pączek, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się i wykazali swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w toczącym się postanowieniu a sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydziale Cywilnym w sprawie o sygnaturze akt I Ns 514/21 z wniosku Skarbu Państwa – Nadbużańskiego Oddziału Straży Granicznej w Chełmie toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Zdzisławie Mirzwa, zmarłym w dniu 23 kwietnia 2020 r. w Okszowie, gmina Chełm, ostatnio zamieszkałym w Okszowie, gmina Chełm.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, a w szczególności spadkobierców Andrzeja Zdzisława Mirzwy, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w toczącym się postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

TYGODNIK POWSZECHNY

„Procesy, które doprowadziły do powstania na Ziemi białek, aminokwasów, bakterii i Jana Sebastiana Bacha, mogły powtórzyć się na miliardach innych planet czy księżyców”.

CZY NA PEWNO?

Odpowiedź w dziennikarskim serialu Wojciecha Brzezińskiego dostępnym tylko dla subskrybentów TygodnikPowszechny.pl

Za jedyne 49 zł do prenumeraty wydania papierowego dodaj subskrypcję online.
Zyskasz wygodny dostęp do wszystkich treści i razem z nami wyruszysz na poszukiwanie życia w Kosmosie. SPRAWDŹ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

STANISŁAW

Mancewicz:
Pomysły na jesień

Oto rozbrzmiały złowrogo dzwonki w szkołach i jesień za pasem. Gdy powoli liść wszelaki oraz źdźbło żółkną, dobrze zawczasu pomyśleć o relaksujących, ale także kształcących czynnościach, rozpraszających szare myśli, które – co świetnie wiemy – mają skłonność do czernienia.

Różne są pomysły na rozweselenie bądź rozproszenie jesiennych smutków, na rozruszanie mięśni i rozciągnięcie ścięgien. Wielu obywateli – co wiadomo – rusza właśnie ku lasom państwowym, by tamże zawzięcie grzybobrać. W tym roku chętnych będzie zapewne więcej niż zwykle, bowiem widmo zakazu zbierania runa, o którym w kampanii wyborczej mówił J. Kaczyński, skłoni przerażone eurodyktaturą rzesze do zbierania grzybów niejako na zapas. Część z niedoświadczonych grzybiarzy zbierze i spożyje a to halucynogenne psiury, a to sromotniki, a to huby. Jak się takie spontaniczne jesienne rozrywki kończą, wiemy: przykrym płukaniem żołądka, na glanc wygładzeniem kory mózgowej, pogrzebem bądź wyłamaniem jedynek. Mniemać można, że w tym roku będzie takich smutnych zdarzeń więcej. Już słychać tu i ówdzie ostrzeżenia przed łakomym pożeraniem każdego znalezionego grzyba. Obawy przed niezapowiedzianą wizytą brukselskiego kanara, który skonfiskuje nam w domu susz z podgrzybków, zmierzy ogórka i każe wyprostować banany, uważa się, owszem, za możliwe, ale jednak za przesadzone. Słowem, nie należy popadać w panikę, niedoświadczeni grzybiarze winni raczej spotkać się z certyfikowanym mykologiem.

Ludzie, którym chodzenie do lasu nie poprawia nastroju, ale żyją w słusznym niepokoju przed europejskimi regulacjami, pogłębianym przez jesień i pytania referendalne, powinni zaopatrzyć się w używany motor diesla. Należy go ustawić bądź to – jeżeli ktoś dysponuje – na podwórku, jeśli zaś mieszka w garsonierze – w łazience. Silnik ten należy uruchamiać, gdy łzy się cisną do oczu, gdy napada nas splątanie wynikające z inwazji ideologii LGBT, niepokój nadmierną seksualizacją polskiej rodziny, spiskami Żydów czy rychle spodziewane w Polsce zakazanie używania silników spalinowych. Otóż wdychanie na zapas zapachu silnika pracującego na oleju napędowym na pewno rozproszy te stany. Opiniotwórczy politycy w naszym kraju głoszą, że spaliny nie są szkodliwe, że ich emitowanie i wdychanie jest elementem polskiej tradycji, racji stanu i wolności, co należy traktować z rezerwą. Niemniej – co notujemy z obowiązku – jest to, zdaje się, jakaś metoda na rozproszenie smutków bądź strachów wynikających z działań Unii Europejskiej i jej agentury.

Gdy przyglądamy się hasłom kampanii wyborczej, nie możemy nie wspomnieć o nieco innym niż grzyby czy zapachy elemencie walki o wyborcę. Także dotyczy jadłospisu. Świetnie wiemy, że gdy Polak głodny, to zły, a gdy musi jeść robaki w jesieni, zły jest aż nadto. Każdy – jak tu ponuro siedzimy – wie, że Unia Europejska nakaże nam, Polakom, zjadać larwy i szykuje się do bezwzględnego zakazu smażenia kotletów schabowych, podawanych z purée ziemniaczanym i kapustą zasmażaną. Na to godzić się nie sposób, ale oczywiście międzynarodowe traktaty zobowiązują. Słowem, trzeba nasmażyć kotletów na zapas i zamrozić. To takie proste. O zaglądaniu do polskich zamrażarek przez kontrolerów z Brukseli ani J. Kaczyński, ani S. Mentzen jeszcze nic nie mówili, bo finisz kampanii dopiero przed nami, a tym samym najsmaczniejsze jej kąski także.

Można oczywiście wymienić więcej zajęć, podobnież rozluźniających i relaksujących, rozjaśniających jesienne mroki duszy polskiej i naszego zacisza domowego. Wartym uwagi pomysłem może być niedzielny wypad 15 października w Świętokrzyskie i przy okazji oddanie tam głosu w wyborach parlamentarnych. Ziemia Świętokrzyska obfituje w znakomite atrakcje turystyczne, począwszy od miejsc kultu, poprzez miejsca pamięci, po znakomite pomniki przyrody, również tej nieożywionej. Była areną wielu sensacyjnych wydarzeń w naszej historii i każdy może się przyczynić do wydarzenia kolejnego, rozpraszającego jesienną nudę. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

TYGODNIK POWSZECHNY

Spotkaj Autorki i Autorów „Tygodnika”. Zapraszamy!

biografie
razem i osobno

fot. Jacek Taran

FESTIWAL ŻAR LITERATURY 15-17 IX 2023

piątek 15 IX 2023

17.45-18.00 I Sala Konferencyjna
Uroczyste otwarcie Festiwalu Literackiego „Żar Literatury”

18.00-19.30 I Sala Konferencyjna
Jak napisać biografię i przeżyć?
Dyskusja otwierająca z udziałem Anny Arno, Andrzeja Franaszka i Magdaleny Grochowskiej. Prowadzenie: Wojciech Szot.

20.00 I Sala Konferencyjna
Gdzie jest nasza empatia?
Rozmowa z Wojciechem Tochmanem. Prowadzenie: Aleksandra Zawalska-Hawel.

15 IX – wydarzenia towarzyszące

11.00 I Sala Konferencyjna
Oswajanie literatury:
Zbigniew Herbert, „Pan Cogito szuka rady” – warsztaty dla młodzieży licealnej. Prowadzenie: Andrzej Franaszek.

13.00 I Sala Konferencyjna
Czy szkoła może nie wkurzać?
Seminarium dla nauczycieli. Prowadzenie: Mikołaj Marcela.

16.00-19.00 I Strefa Dzieci
Literacki plac zabaw
Gry i zabawy wokół książki dla najmłodszych.

17.00 I Sala Kinowa
Seans filmowy
Opowieść o życiu i twórczości Bronisławy Wajs, romskiej poetki zwanej Papuszą. Po projekcji dla chętnych dyskusja moderowana przez Monikę Pawliczek w ramach cyklu spotkań „uMOVIEni na wieczór”.

sobota 16 IX 2023

14.00-15.30 I Sala Konferencyjna
Polska: biografie krytyczne
Dyskusja z udziałem Joanny Ostrowskiej, Kacpra Pobłockiego i Ishbel Szatrawskiej. Prowadzenie: Michał Sowiński.

16.00-17.30 I Sala Konferencyjna
Szaleństwo i literatura
Rozmowa z Mirą Marcinów. Prowadzenie: Artur Madaliński.

18.00-19.30 I Sala Konferencyjna
Stary romantyzm, nowy mesjanizm – czy istnieje DNA narodu?
Dyskusja z udziałem Michała Rauszera, Karoliny Szymaniak i Piotra Śliwińskiego. Prowadzenie: Eliza Kącka.

20.00 I Sala Konferencyjna
Wowa, czyli jak powstają tyrani
Rozmowa z Wacławem Radziwinowiczem. Prowadzenie: Zbigniew Rokita.

16 IX – wydarzenia towarzyszące

11.00 I Sala Konferencyjna
Oswajanie literatury
Olga Tokarczuk, „Góra Wszystkich Świętych” – warsztaty dla młodzieży licealnej. Prowadzenie: Joanna Soćko.

14.00-19.00 I Strefa Dzieci
Literacki plac zabaw
Gry i zabawy wokół książki dla najmłodszych.

15.00 I Strefa Dzieci
Żar dla Rodzin
Mali-Wielcy – czyli kim była Astrid Lindgren; warsztaty literacko-plastyczne dla dzieci w wieku 5-9 lat. Prowadzenie: Aga Blazy i Magda Biedrończyk z „Tu czytamy”.

17.00 I Sala Kinowa
Seans filmowy
Historia powstawania najsłynniejszej powieści Trumana Capote’a „Z zimną krwią”. Po projekcji dla chętnych dyskusja moderowana przez Monikę Pawliczek w ramach cyklu spotkań „uMOVIEni na wieczór”.

niedziela 17 IX 2023

14.00-15.30 I Sala Konferencyjna
Czuły ornitolog patrzy na Auschwitz. Biografia totalitaryzmu
Rozmowa z Beatą Dżon-Ozimek i Michałem Olszewskim. Prowadzenie: Maciej Jakubowiak.

16.00-17.30 I Sala Konferencyjna
Życie jako materiał *(do pobrania)*
Dyskusja z udziałem Katarzyny Kubisiowskiej, Remigiusza Ryzińskiego i Katarzyny Surmiak-Domańskiej. Prowadzenie: Magdalena Kicińska.

18.00 I Sala Konferencyjna
Biografie przestrzeni
Dyskusja z udziałem Moniki Drzazgowskiej, Urszuli Honek i Grzegorza Piątka. Prowadzenie: Marek Mikołajec.

17 IX – wydarzenia towarzyszące

14.00-19.00 I Strefa Dzieci
Literacki plac zabaw
Gry i zabawy wokół książki dla najmłodszych.

15.00 I Strefa Dzieci
Żar dla Rodzin
Sadzimy drzewa (genealogiczne) – warsztaty z Michałem Kuźmińskim.

17.00 I Strefa Dzieci
Żar dla Rodzin
Mali-Wielcy - czyli kim był Pablo Picasso. Warsztaty literacko-plastyczne dla dzieci w wieku 5-9 lat. Prowadzenie: Aga Blazy i Magda Biedrończyk z „Tu czytamy”.

17.00 I Sala Kinowa
Seans filmowy
Historia artysty Christy’ego Browna, który z powodu częściowego paraliżu maluje swoje obrazy, używając lewej stopy. Po projekcji dla chętnych dyskusja moderowana przez Monikę Pawliczek w ramach cyklu spotkań „uMOVIEni na wieczór”.

wstęp wolny

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W ŻORACH IM. OTTONA STERNA
UL. RYBNICKA 6-8, 44-240 ŻORY

więcej o festiwalu na stronie www.zarliteratury.pl

ORGANIZATOR FESTIWALU | BIBLIOTEKA W ŻORACH

PATRONAT PREZYDENTA MIASTA ŻORY | ŻORY

PARTNER FESTIWALU | KSSE Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna

WEJDŹ DO HISTORII!

MUZEUM HISTORII POLSKI

Otwarte od 29 września 2023

Cytadela Warszawska

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

muzhp.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

REKLAMA